



Szkoła arabska w pustyni.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Wszyscy wiedzą, jakim wrogiem ładnej i czystej cery jest twarda i nieodpowiednia woda do mycia. Nic tak nie niszczy cery, jak woda zawierająca składniki żelaziste, siarczane, lub wapno w nadmiernej ilości. Dlatego, tam gdzie woda jest nieodpowiednia, trzeba ją odpowiednio przygotować i dopiero używać do mycia twarzy. Przegotować 1—2 litry wody, i wsypać do niej 1 łyżeczkę proszku *La Mollette*, który zmiękcza wodę i osadza części mineralne. Po paru godzinach można tak przyrządzoną wodą myć twarz, a nawet najdelikatniejsza cera, będzie ją znosić dobrze. Bardzo dobrze jest, do tak przyrządzonej wody przed samym użyciem dodać łyżeczkę płynu *Abarid*, który ma własności utrzymywać matową, gładką cerę, i potęguje działanie proszku *La Mollette*

M-me ERCEDES

Środki tu wymienione nabywać można w pierwszorzędnym perfumerjach i drogerjach. Skład główny: Warszawa, Szpitalna 10, perfumerja „Perfection”.

W Y D A W N I C T W O
KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA

ILUSTROWANY MIESIĘCZNIK
NAOKOŁO ŚWIATA

POD NACZELNĄ REDAKCJĄ FERDYNANDA GOETLA

Jest pismem pierwszorzędnie i bogato ilustrowanem, na którego treść składają się opisy podróży, literatura egzotyczna, artykuły popularno-naukowe ze wszystkich dziedzin wiedzy, obszerny dział beletrystyczny, przegląd humoru, rozrywki umysłowe i t. d.

MIESIĘCZNY NAKŁAD NAOKOŁO ŚWIATA PRZEWYŻSZA
25,000 EGZEMPLARZY

co umożliwia dostarczanie czytelnikom pierwszorzędnego i ciekawego materiału w wytwornej i pięknej formie.

KAŻDY NUMER NAOKOŁO ŚWIATA ZAWIERA NA 200 PRZESZŁO SZPAL-
TACH OKOŁO 8,500 WIERSZY DRUKU I 100 ILUSTRACYJ

Każdy numer stanowi zamkniętą w sobie całość.

ILUSTRATORAMI „Naokoło Świata” są następujący artyści:

M. BEREZOWSKA, K. GRUS, JAN HOLEWIŃSKI, K. MACKIEWICZ, B. NOWAKOWSKI, PROF. SIESTRZENCEWICZ, F. SIEDLECKI, PROF. WŁAD. SKO-
CZYŁAS, K. SOPOČKO, J. TOM, M. WALENTYNOWICZ, J. WOŁYŃSKI I INNI.

STAŁĄ OBSŁUGĘ FOTOGRAFICZNĄ STANOWIĄ:

ST. BRZOWSKI, CHUSSEAU-FLAVIENS, J. GRAUDENZ, J. MALARSKI,
Z. MARCINKOWSKI i J. RYŚ.

Adres Redakcji i Administracji miesięcznika „NAOKOŁO ŚWIATA”

Warszawa, Zgoda 12. Telefon 122-14. (Telefon ekspedycji 104-32)

F I L J E R E D A K C J I:

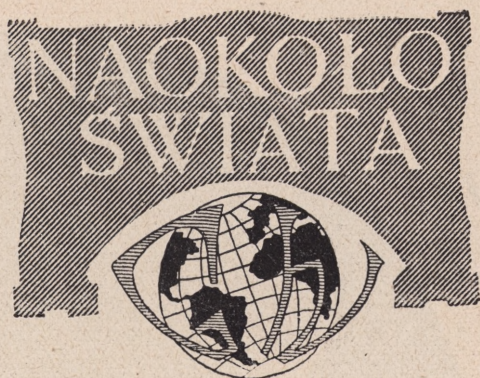
w Paryżu, Gebethner & Wolff 5, Rue du Cherche Midi;
w Londynie, W. C. I. The Penn Club 9 Tavistock Square

Cena numeru w kolorowej trójbarwnej okładce 2 zł. 50 gr.

PRENUMERATA kwartalna (za trzy numery z przes. poczt. w polec. opasce) 6 zł. 50 gr.

Cena okładki płóciennej na tom czterozeszytowy 2 zł. 50 gr.

Redakcja przyjmuje interesantów codziennie (prócz niedziel i świąt) od godziny 1 do 3-iej.





malował Norblin

Jasełka w Polsce w drugiej połowie XVIII wieku

Podróże cudzoziemców po Polsce

Napisał

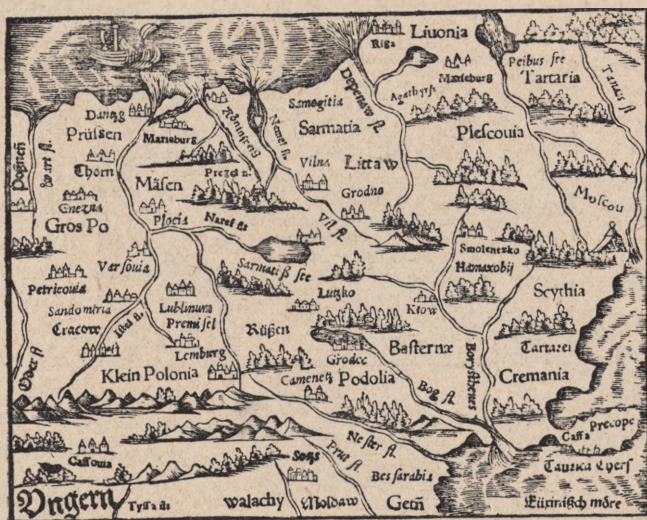
Jan Kwietniewski

Już geografowie i historycy starożytni mieli wiadomości o ziemiach środkowej Europy, na których następnie powstało i istniało przez tysiąc lat bezmała państwo polskie. Imienn podroźników, którzy, poznawszy te miejsca, opowiadali o nich później żądnym wiedzy uczonym geografom i historykom, tradycja nie przekazała, znamy za to imiona pisarzy, którzy umieścili w swych pismach wiadomości o ziemiach późniejszej Polski. Szereg ich jest dość długi, a spotykają się w nim najpoważniejsze imiona świata starożytnego naukowego, zarówno greckiego, jak rzymskiego. W dziełach Herodota, Pomponjusza Meli, Tacyty i t. d., i t. d. znaleźć można wiadomości o ziemiach, na których następnie rozłożyli się i zamieszkali Sarmaci. Nie jest moim zamiarem streszczać, czy referować te wiadomości, tak głęboko

przeszłość sięgać nie będę, a pragnę tylko przedstawić czytelnikom obraz historyczno-krajoznawczy podróży cudzoziemców po państwie Polskiem już zorganizowanem. W tym obrazie podam wiadomości jedynie o najwybitniejszych podroźnikach i ich relacjach z podróży.

Najdawniejszym podroźnikiem obcym, o którym posiadamy wiadomości, był geograf arabski Edrisi, który przybył do Polski z dworu normandzkiego króla Sycylii, Rogera, a następnie, powróciwszy na Sycylię, podróż swą opisał. Edrisi odwiedził Polskę w r. 1154

za panowania Bolesława Kędzierzawego. Był tu zapewne dość długo, gdyż miał czas dokładnie poznać kraj i ludność. Dzieło jego byłoby niezmiernie cenne, gdyby nie jedna wada. Mianowicie nazwy miejscowości sąprzeważnie tak niecelowości poprze-



Mapa Polski na początku XVI w.

kręcane, że bardzo często niewiadomo zupełnie o jakim mieście autor mówi, a odgadnąć także nie zawsze można z pewną dozą prawdopodobieństwa. Zato doskonale można zrozumieć to, co pisze on o ludności lub wogóle o kraju całym. Dowiadujemy się, że Edrisi uznał, iż Polska jest krajem kwitnącym i ludnym, otoczonym górami, oddzielającą ją od krajów sąsiednich; ziemia w Polsce jest żyzna, wiele jest w niej rzek, a także miast i wsi. Pisze dalej Edrisi, że w Polsce rosną oliwki; czy istotnie tak było w wieku XII, niewiadomo, jednak godzi się tę wiadomość przyjąć z powątpiewaniem.



*Wawel starożytny w przedstawieniu cudzoziemców
(rysunek pochodzi z początku XVI w.)*

Obszerniej opisuje Polskę znacznie późniejszy podróżnik, Gilbert de Lanney, (ur. 1386 zm. 1462) radca i szambelan księcia Burgundji. Uczestniczył on w wyprawie Krzyżaków przeciwko Polsce w 1413, a po zakończeniu wyprawy wojennej odbył podróż po Polsce od północy na południe; powtórnie zjawił się w Polsce w r. 1421, jako poseł króla angielskiego i francuskiego. Opisuje on miejscowości zwiedzane, obyczaje dworu polskiego i t. d.

Nieco później podróżnikiem był Eneaszy Sylwusz Piccolomini, (ur. 1405, zm. 1464), który za panowania Kazimierza Jagiellończyka pełnił funkcję legata papieskiego przy dworze polskim, później zaś sam został papieżem pod imieniem Piusa II. Podczas pobytu w Polsce poznał dokładnie kraj i ludność i w dziełach swych podał o Polsce

ówczesnej dokładne wiadomości. Pisze on, że głównym miastem jest Kraków, a prócz niego mało jest miast innych; domy lepią z gniecionej gliny, a kraj cały zacieniony lasami, za napój używają piwa z jęczmienia. Rolnictwo i chów bydła były głównym zajęciem mieszkańców, prócz tego polują oni chętnie.

Już w drugiej połowie tegoż wieku XV przejeżdżał przez Polskę delegowany przez rząd wenecki do Persji dla pobudzenia jej do wojny przeciw Turkom, którzy niedawno w r. 1453 zajęli Konstantynopol i zagrożali chrześcijaństwu, Ambroży Contarini, członek

jednego z najwybitniejszych rodów weneckich. Wyruszył on w podróż z Wenecji na początku r. 1474, a na wiosnę już był w Polsce, wjechawszy tu przez Mędzyczec w Wielkopolsce; przez kwiecień podróżował po Polsce, oglądając różne miasta, w końcu zaś kwietnia wyjechał na wschód do Moskwy i dalej do Persji. Po trzyletnim sprawowaniu

poselstwa na różnych dworach chrześcijańskich w powrotnej drodze nasz poseł zjawił się znów w Polsce pod koniec zimy r. 1477. Wrażenia, jakie zebrał w Polsce, wypowiada dość ogólnikowo, pisząc, że jechał krajem polskim, który cały jest w równinach i lasach, bez wygodnych miesz-



Gospoda polska z XVI w.

kań i dość ubogi.

Wiek szesnasty zaznacza się ożywieniem stosunków Polski z zagranicą; cudzoziemcy, szczególnie Włosi, legaci papiescy zjawiają się u nas często, posiadamy więc z tego wie-



Pasieka polska (XVI w.)

ku relacyj; o Polsce sporo, a wszystkie pisanie przez ludzi, umiejących patrzeć, zastanawiać się i opowiadać o tem, co widzieli. Szczególniej stosunki polskie w końcu panowania Zygmunta Augusta wzbudzały zainteresowanie, przybył więc do Polski wtedy w r. 1571, jeden z wybitniejszych cudzoziemców, kardynał Jan Franciszek Commendoni (ur. 1524, zm. 1584). Miał on polecenia natury politycznej; po załatwieniu swych czynności obowiązkowych na sejmie warszawskim r. 1571, puścił się Wisłą w podróż po Polsce; zwiedził miasta po drodze i dopłynął do Gdańska; zwrócił uwagę, że „u Polaków rzadkie są z kamienia domy; mając niezmiernie lasy, najwięcej z drzewa budują, a nadto niewiele dbają, by mieszkali ozdobnie”.

We dwadzieścia pięć lat po Commendonim, już za panowania Zygmunta III, przybył do Polski legat Henryk Gastani, wysłany przez papieża, celem utworzenia koalicji państw chrześcijańskich przeciw Turkom. Wjazd legata nastąpił od strony Śląska; pierwszy nocleg na ziemi polskiej przypadł w Zatorze. Stąd podróżni przyjechali do Krakowa, zwiedzili z zainteresowaniem miasto, a następnie wyjechali do Warszawy. W drodze mieli materace, na których w dzień siedzieli w powozach, a w nocy spali. Po upływie ośmiu dni od wyjazdu z Krakowa legacja wjechała do Warszawy. Szczegółów po-

dróży nie znajdujemy w dzienniku legacji, prowadzonym przez sekretarza Mucantiego, dowiadujemy się tylko, że domy były drewniane i że w Polsce bardzo często przytrafiają się pożary.

Podczas wojny trzydziestoletniej, w r. 1635, przybył do Polski nadzwyczajny poseł francuski, Klaudjusz de Mesnes hr. d'Avaux (zmarły r. 1650). Zadaniem tego posła miało być wciągnięcie Polski do wojny. Podczas pobytu w Polsce poseł francuski mało czynił obserwacyj obyczajowych, pochłonięty był bowiem całkowicie, zresztą bardzo naturalnie, polityką. Nie znajdujemy więc u niego wiadomości takich, jakie inni dyplomaci zapisują w swych dziennikach; jedynie w liście do ojca swego hr. d'Avaux pisze o nadzwyczajnym zbytku magnatów polskich. „Tu, kto ma tylko 25 koni chudo wygląda; zbytek i przepych Polaków jest nie do uwierzenia; są tu panowie, których dwór z pięciuset i sześciuset osób złożony, a wojewoda bełzski (Leszczyński) niedawno po śmierci swojej żony dwa tysiące szat żałobnych rozdał dworzanom. W tej chwili wybieram się po raz trzeci, jako poseł, do Króla Polskiego, który ma przybyć dziś do jednego z miast, oddalonego stąd o trzydzieści mil tylko; w tej drodze trzeba często iść piechotą”. Oto wszystko, co poza polityką pisał o Polsce hr. d'Avaux w tym liście z Malborga pisanym do ojca, więc niszczącym charakter prywatny.

W kilkanaście lat później przybyła znaczna ilość cudzoziemców, Francuzów, towarzyszą-



Tur obserwowany przez podróżników w Polsce w XVI w.

cych nowej królowej polskiej, Marji Ludwice Gonzaga. W r. 1646 dwór Marji Ludwiki Gonzagi zostawał pod kierunkiem marszałkowej Renaty de Guebriant i miał za sekretarza i historjografa młodego historyka francuskiego, Jana de Laboureux. Obowiązkiem tego sekretarza miało być prowadzenie dziennika w czasie podróży do Polski i z powrotem, a także podczas pobytu na miejscu. Przyjazd do Polski nastąpił od strony morza; Francuzi zatrzymali się naprzód w Gdańsku, następnie zaczęli przybliżać się ku Warszawie, a po kilkotygodniowym pobycie w stolicy Polski na wiosnę r. 1646

wyjechali w powrotną drogę. W relacji z pobytu w Polsce najwięcej znajdujemy wiadomości o uczciach, na które członkowie świty dworskiej francuskiej zapraszani bywali przez magnatów polskich.

Po abdykacji Jana Kazimierza w r. 1668 kandydaci do tronu poczęli przysyłać do Polski agentów, którzy mieli zadanie popierać kandydaturę na nadchodzącym sejmie elekcyjnym. Jeden z kandydatów, Karol książę Lotaryński (ur. 1643, zm. 1690), w charakterze swego agenta przysłał Kasptra hr. Chavagnaca. Chavagnac przybył przed elekcją do Warszawy, a dwór księcia Karola stanął w Tarnowskich Górach na granicy polsko-śląskiej; tam podejmowano szlachtę okoliczną dla zjednania na sejmie jej głosów. O podróży, o stanie Polski w owym czasie nie znajdujemy u Chavagnaca wiadomości, dowiadujemy się tylko o przekupstwie i intrygach, którym przodowały francuskie dwie żony magnatów polskich: Kanclerza litewskiego, Krzysztofa Paca i Hetmana koronnego, Jana Sobieskiego, późniejszego króla. Poznajemy tam bardzo nieciekawą moralność wielkiego świata politycznego.

W drugiej połowie XVIII-go wieku pojawia się w Polsce większa ilość turystów obcych.

Pierwszym w tej epoce, którego opis po-

dróży znamy, był znakomity swego czasu matematyk, ksiądz Józef Boscovich (ur. 1711, zm. 1787), z zakonu Jezuitów, pochodzący z Ilirji, z miasta Raguzy. Mieszkał on przez pewien czas w Konstantynopolu i dla poratowania zdrowia zamierzał z Turcji wyjechać. Przyłączył się zatem do ambasadora angielskiego, który również w tym samym czasie wyjeżdżał z Konstantynopola i razem odbyli podróż ku granicom Polski. Boscovich rozchorował się w drodze i zmuszony był pozostać we Lwowie. Opis jego podróży, niezbyt zresztą szczegółowy, dotyczy tyl-

ko południowo-wschodnich prowincyj Polski. Podróż tę Boscovich odbył w r. 1762.

Wiele wartości posiada dla nas podróżujący w tej epoce po Polsce późniejszy podróżnik, historyk angielski William Coxe, (ur. 1747, zm. 1788). Był on duchownym, a zarazem guwernerem bogatych młodych Anglików i w tym drugim charakterze towarzyszył swoim pupilom w podróżach po różnych krajach Europy. W lecie roku 1778 odbywał on podróż do Europy północnej, a droga wiodła przez Polskę. Sprawozdanie z po-



Jan Franciszek Commendoni

dróży po Polsce zaczyna nasz turysta od pewnego rodzaju krótkiego wstępu, zawierającego wiadomości o historii Polski i jej ustroju politycznym. Zwiedzanie Polski zaczął nasz autor od Krakowa, do którego przybył od strony Bielska. W Krakowie zastał sześćotysięczną załogę rosyjską; przy każdej bramie stała z jednej strony warta polska, z drugiej rosyjska. Wawel zajęty był wyłącznie przez wojska rosyjskie. Po zwiedzeniu Krakowa podróżni odbyli wycieczkę do Wieliczki dla poznania kopalni soli, a następnie wyruszyli w stronę Warszawy. Drogę między temi miastami Coxe opisuje tylko bardzo ogólnikowo — nie wymienia nazwy żadnej miejscowości i powiada poprostu, że nie przypuszczał, ażeby mogły gdziekolwiek istnieć miejscowości tak niepojęte i zanied-

bane. Wszędzie po drodze widać było tylko nędzne chaty, a dla podróżnych nigdzie nie było wygód, tak, iż spać musieli razem z rodziną gospodarza; podróżni więc przestali zatrzymywać się w karczmach i jechali noca dalej. W Warszawie podróżni przebyli tydzień, gościnnie podejmowani przez magnatów Czartoryskich, Poniatowskiego i t. d., a stąd wyruszyli dalej na północ w stronę Rosji przez Białystok i Grodno. W tej części podróży autor nasz zaczął więcej przyglądać się miejscowościom polskim; zwiedził Białystok i Grodno. W tej ostatniej miejscowości podziwiał świeżo założony ogród botaniczny. Na wstępie do Rosji zaobserwował stosunki pomiędzy stosunkami polskimi a rosyjskimi i czyni z tego powodu uwagę, że dopóki towarzystwo podróżne znajdowało się w Polsce, mogło zostawiać na noc wszelkie drobiazgi w powozie bez dozoru i nigdy nic nie zginęło. Zaledwie podróżni wjechali do Rosji, zauważyli, że ludność kradnie z powozów, zostawiali więc na noc w powozie służącego dla dozoru.

Jednocześnie z Cochem, lecz w innym kierunku i z innym celem odbywał podróże po Polsce Jan Filip Carosi. Nie posiadamy prawie zupełnie wiadomości o tym cudzoziemcu, który był w służbie polskiej i delegowany przez rząd polski odbywał u nas podróże. W sierpniu 1778 wyjechał on do południowo-zachodnich części Polski na poszukiwania soli. Przez Szydłowiec, Kielce, Chęciny, Opатовiec podążył do Krakowa, stąd odbył wycieczkę do Wieliczki, a następnie wyruszył w drogę powrotną, zbaczając tam, gdzie spodziewał się sól znaleźć. Marszruta powrotna była zupełnie odmienna, bardziej na wschód od poprzedniej. W następnym roku Carosi wyjechał powtórnie w podróż z celem podobnym; druga ta podróż trwała od połowy ma-

ja do końca lipca r. 1772. Powrotnej drogi do Warszawy autor tym razem nie opisywał. W obu tych podróżach Carosi jako fachowiec mineralog i geolog zwracał przede wszystkim uwagę na budowę geologiczną, zbierał okazy minerałów, badał stan górnictwa dawniejszy i nowszy, czynił też wszędzie obserwacje nad stanem miejscowości zamieszkałych, miasteczek, miast i wsi i wiele miast opisał dokładnie.

W rok później do wschodnich części Polski odbył przymusową podróż, delegowany przez rząd polski jako komisarz nadzwyczajny do

walki z powietrzem morowem, dr. Jan Wilhelm Moeller. Mamy o nim, podobnie jak o Carosim, nadzwyczaj szczupłe wiadomości. Był on z pochodzenia Niemcem, wezwany w charakterze lekarza na dwór któregoś z magnatów. Od tego czasu aż do końca prawie wieku ośmnastego mieszkał w Polsce i powrócił do ojczyzny w ostatnich latach tegoż wieku. Odbył on w Polsce dwie podróże dość długie. Pierwsza miała na celu zwalczanie dżumy, która w roku 1780 wybuchła na pograniczu tureckim. Jako człowiek inteligentny i



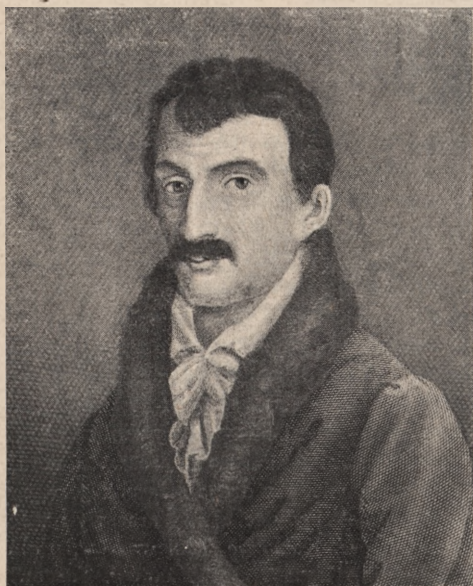
Jan Józef Kausch

wykształcony ogólnie, specjalista przyrodnik, Moeller, interesował się podczas podróży wszystkim, co tylko dostrzegł, wypytywał kogo mógł o różne szczegóły i wszystko zapisywał w dzienniku podróżnym. Uzbierał się w ten sposób bardzo obfity i urozmaicony materiał, niejako mozaika podróżna, w sposób zbyt może suchy podana. Nigdzie, przejeżdżając przez piękne i malownicze okolice Ukrainy, nie wypowiada ani słowa zachwytu, notuje tylko sumiennie, czy droga szła pod górę, czy na dół. Moeller wyjechał z Warszawy na Jeziorne, Górę Kalwarję, Gniewoszków, Puławę, Lublin, Krasnystaw, Różanpól, Targowicę, Krzemieniec, Jampol, Cudnów do Mironów. Następnie przez pół roku opiekował się

zadżumionymi na pograniczu tureckim, wreszcie po ustaniu zarazy przez Czezelnik, Ładyżyn, Niemirów, Winnicę, Berdyczów, Lubar, Zasław, Dubno wrócił do Warszawy.

W kilka lat po drugiej podróży Moellera zjawiał się w Polsce, lecz w innej jej stronie, bo w Małopolsce zachodniej, pastor berliński, zjadły prusak i nieprzyjaciel Polaków, Johann Fryderyk Zollner. Przyjechał on z Berlina na Śląsk, a stąd przez Tarnowskie Góry i Krzeszowice uczynił w lipcu r. 1791 krótką wycieczkę do Krakowa i Wieliczki, i wszystko, co widział podczas tej wycieczki, skrupulatnie opisał. Wyszczególnia więc wszystkie wioski, przez które przejeżdżał, zauważył, że przed chatami włościańskimi są starannie utrzymywane ogródki owocowe. Szczegółowo również opisał kopalnię w Wieliczce. Wogóle cały opis tej krótkiej podróży należy do najlepszych jakie istnieją; szkoda, że autor tak niewielką przełęcz: Polski zwiedził i opisał.

Nieco później, w r. 1793 przejeżdżał przez Polskę, od północy, dążąc do Tyrolu, literat niemiecki, pochodzący z Magdeburga, lecz osiadły w Mitawie, Fryderyk Schultz (ur. 1732, zm. 1798). Przejechał on pocztą całą Litwę według marszruty Janiszki, Szawle, Radziwiłiszki, Szadów, Kiejdany, Bopły, Kowno, Prony, Olita, Grodno, Białystok,



Jan Seume

Wojszki, Bielsk, Węgrów do Warszawy. Tu zatrzymał się czas dłuższy, stolicę Polski i jej życie poznał gruntownie, a następnie wyjechał przez Raszyn, Mszczonów, Rawę, Wolborz, Piotrków, Widawę, Sokolniki, Kępno, Oleśnicę do Wrocławia. Całą przebytą drogę Schulz opisuje dokładnie, mamy więc w jego opisie obrazy nędznych miasteczek litewskich, ich ludności, ich zabudowań i t. d. Wszędzie w miasteczkach ludność składała się przeważnie wyłącznie z żydów. Mówiąc o Kownie, Schultz nie zapomina oczywiście o słynnym miodzie kowieńskim. W Grodnie pobyt naszego podróżnika przypadł na czas przygotowań do sejmu, który odbyć się miał wkrótce: w mieście tem panowało przeludnienie i drożyzna: pokoik o jednym łóżku kosztował dziennie dukata, dwa albo nawet trzy, obiad ośm do dwunastu złotych polskich. Obecności króla i dworu królewskiego nie znać było w Grodnie. Całemu życiu grodzieńskiemu ówczesnemu ton nadawał silny garnizon rosyjski. W Grodnie i okolicy Schulz zwiędzał upadające zakłady przemysłowe Tyzenhauza; w Białymstoku podobał mu się pafac Branickich, o całym mieście wogóle powiada, że jestto najładniejsze miasteczko, jakie widział w tych stronach. Na południe od Warszawy turysta nasz widział za Raszynem bardzo mały, ale starannie utrzymywany laszek, (który następnie już w dziewiętnastym wieku sztucznie zasadzonym powiększono).

Jednocześnie prawie tę samą podróż z Tarnowskich Gór do Krakowa odbył lekarz ze Śląska, Jan Józef Kausch. Kraków tylko przez Kauscha dość szczegółowo został opisany, opisu Wieliczki nie znajdujemy; widocznie podróżnik nasz jej nie zwiedzał. Prócz opisu podróży do Krakowa, turysta nasz w swej książce, zawierającej wiadomości o Polsce, daje luźne opisy kilku miast: Poznania, Kalisza, Gniezna, Włna i Grodna, w których nie był i tylko dla uzupełnienia opisu podróży podaje wiadomości według źródeł obcych. Prócz wiadomości o Polsce i o Śląsku rozpatruje przemysł, warunki życia ludności, historję, literaturę, oświatę i t. d.

Po upadku Polski, w pierwszych latach wieku dziewiętnastego zjawiają się turyści już pod koniec panowania pruskiego

Pierwszym, który wówczas przejeżdżał



Wyjazd w podróż (XVIII w. sztych Chodowiteckiego)

przez Polskę, był zdolny poeta niemiecki, Jan Seume (ur. 1763, zm. 1810). Dziwne były koleje losu tego człowieka; w młodych latach, gdy jechał od Paryża, chcąc tam uzupełnić swe wykształcenie, został w drodze napadnięty przez werbowników jakiegoś księcia niemieckiego, którzy go oddali do wojska. Uciekwszy z tego wojska, został znów przez innych werbowników schwytany i oddany do wojska pruskiego. Tutaj wykupił się, zapłacwszy kaucję, która miała gwarantować, że powróci z otrzymanego urlopu. Zamiast wrócić do wojska, Seume osiadł w Lipsku i zajmował się literaturą. Tu został zaangażowany na sekretarza generała Igelströma, głównodowodzącego wojska rosyjskiego w Polsce. Engagement przyjął i tym sposobem dostał się do wojska po raz trzeci, tym razem już dobrowolnie. Wtedy poznał on Polskę, po której odbywał podróże. Z tych podróży jednakże nie posiadamy relacji. Znamy za to przebieg podróży późniejszej, którą autor przedsięwziął na wiosnę roku 1805 i opisał p. t. „Mein Sommer 1805”. Seume był zamiłowanym turystą, szczególnie zwolennikiem sportu pieszego; na kilka lat przedtem w roku 1802 odbył pieszą podróż, „przechadzkę”, jak nazywa, do Syrakuz na Sycylii, miejscowości wsławionej przez Archimedesą. W roku

1805 postanowił on udać się do Europy północnej; droga, oczywiście, wiodła przez znaną mu już z dawnych lat Polskę. Przybył on do Polski od strony Śląska i podążył dalej przez Piotrków i Rawę. Tylko w tych dwu miejscowościach znalazł nasz turysta porządne zajazdy. W Warszawie, którą Seume opuścił przed jedenastu laty, po jej opanowaniu przez Suworowa, wszystko jeszcze było w tym samym stanie. Dalszy ciąg drogi od Warszawy na północ posiadał więcej dla podróżnych udogodnień. Wybitniejsze miejscowości w tej stronie były: Brok, prowadzący znaczny handel drzewny, Ciechanowiec, Białystok, który najbardziej na całej tej drodze podobał się naszemu turyście i Grodno, miasto pograniczne zaboru rosyjskiego. Po wjeździe do zaboru rosyjskiego podróżny zauważył, że magazyny zbożowe urządzone tu były w szopach drewnianych lub stodołach, gdy tymczasem w zaborze pruskim rząd specjalnie w tym celu pobudował śpichrze muryrowane. Dalsza droga wiodła przez Kowno i Szawle, za którymi podróżny wyjechał za granice dawnej Polski.

W kilka miesięcy później, w lecie tego samego roku 1805 w kierunku ze wschodu na zachód przejechał przez Polskę inny literat niemiecki, Georg Reinbeck (ur. 1766, zm. 1849). Pochodził on z Berlina i był z usposobienia i poglądów typowym prusakiem. Po ukończeniu nauk w mieście rodzinnym wyjechał on w młodym wieku do Rosji, osiadł



Typy ludności polskiej (XVIII w.)

jako nauczyciel prywatny w Petersburgu i tam się zaaklimatyzował. Po kilkunastu latach jednak dał mu się odczuć szkodliwy dla zdrowia klimat tamtejszy, postanowił więc powrócić do ojczyzny. Pojechał więc z Petersburga do Moskwy, a stąd dalej na zachód przez Polskę. Do niej wjechał z gubernji smoleńskiej, o

której mówi, że należy do najurodzajniejszych w całej Rosji. Położeniem Smoleńska zachwyca się. Dalsza droga prowadziła przez Mińsk i Grodno. Podróże były wszędzie rozległe lasy, w Rosji brzoźowe, a na terytorjum dawnej Polski na ich miejsce wystąpiły ciemne lasy iglaste. W Białymstoku zachwycał się nasz podróżny pałacem Branickich. Z Warszawy Reinbeck wyjechał na Śląsk, a po drodze zboczył do Kalisza, który mu się podobał. O Polakach z zaboru pruskiego powiadał Reinbeck, że byli oni

przychylniej dla moskali niż dla prusaków usposobieni i mówili, że moskali przyjęliby z otwartymi rękami. W którymś małym miasteczku spotkała naszego podróżnego ciekawa przygoda, gdyż wzięty został przez ludność miejscową za Kościuszkę, o którym krążyły pogłoski, że w ważnych sprawach przejeżdżać miał do Petersburga. Długich usiłowań musieli użyć towarzysze Reinbecka, zanim udało im się przekonać mieszkańców tego miasteczka, że się mylą.

W północne strony Polski wprowadza nas

lekarz armji napoleońskiej z r. 1806, Jan Filip Grafenauer (urodzony 1775). Wstąpił on w październiku do wojska francuskiego i otrzymał stanowisko lekarza polowego. Gdy wybuchła wojna, odbył całą kampanję, wędrując ze swym szpitalem za armją. Jego podróż zatem to marszruta tej armji. Na te-

rytorjum polskie dostał się Grafenauer w okolicy Bytoma. Tu podróżni zaopatrywali się w żywność, ponieważ uprzedzono ich, że przechodzić będą okolicy bardzo ubogie i огоłocone z żywności. Stąd droga wiodła przez wsie polskie Stężyce i Żuków. W tej ostatniej miejscowości oglądali norbertanki, mające tu klasztor. Z Żukowa dostali się podróżni do Oliwy, gdzie była kwatery ósmego korpusu armji. W okolicy Oliwy na Karlsbergu stał dom chiński. Po kapitulacji Gdańska Graffenauer razem z wojskiem wszedł do tego



Zjazd górników do kopalni w Wieliczce (XVIII w.)

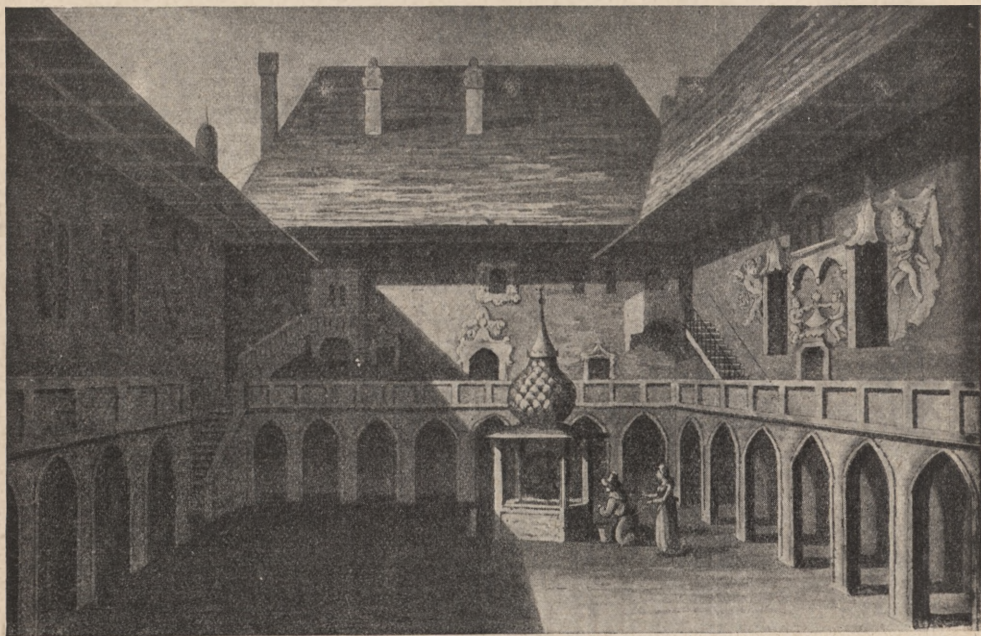
miasta, zwiedził je i opisał, ale zbyt ogólnikowo. Po wymarszu z Gdańska Graffenauer oglądał Malborg i z oburzeniem pisze o barbarzyństwie Prusaków, którzy tak piękny zabytek, szanowany przez Polaków, zmarnowali i zniszczyli. W zamku założyli koszary, magazyny i więzienia, refektarz przeistoczyli na salę ćwiczeń, a mieszkanie wielkiego mistrza oddano na mieszkanie pruskiemu generałowi. Dzięki temu zniszczeniu zamku Graffenauer nie mógł odnaleźć w nim nawet śladów wspaniałości dawniejszej. Stąd wojsko szło



Wnętrze kopalni w Wieliczce

przez Libsztat, Ornetę, Landsberg, Itawę, Domnowo do Królewca. Z Królewca wojsko poszło do Tylży i asystowało przy uroczystościach, związanych z zawarciem pokoju. Następnie armia otrzymała rozkaz wymarszu na Litwę dla obsadzenia granicy między Rosją a Księstwem Warszawskim; w Tylży więc wojsko jechało przez Pitkały i Wierzbołowo. Wieśniaków tutejszych opisuje, że zwykle są przyodziani skórą barania, włosom do góry zwróconą; chodzą najczęściej boso, włosy zwieszają im się około głowy, roją się od

długą podróż, zanim dostał się do Polski: wyjechał z Anglii w lecie r. 1813 i przez Niemcy Północne, Szwecję, Finlandję, dostał się do Rosji. Z Petersburga pojechał do Moskwy i w drodze u stóp gór wałdajskich, w Wałdaju napotkali podróżni świeżo wówczas założoną kolonję polską; pisze o niej James, że ludność jej nosi wyraźne ślady swego pochodzenia, głównie dzięki piękności kobiet. Z Moskwy podróżni wyruszyli przez Możajsk, Borodino ku Smoleńskowi, oglądając wszędzie po drodze miejsca, na których świe-



Podwórzec Biblioteki Jagiellońskiej (rysunek podróżnika z początków XIX w.)

robactwa albo też sterczą od kołtuna. Cała okolica, którą podróżni przejeżdżali, pokryta była wielkimi lasami. W Rajgrodzie Graffenauer asystował przy pogrzebie syna starosty miejscowego. Na cmentarzu ksiądz przemawiał, a słuchacze wiele łez wylali, następnie jeden z członków rodziny pożegnał zmarłego. Cały obchód zakończony został ucztą u starosty, na której całe towarzystwo było bardzo wesołe, spełniano liczne toasty, ale o zmarłym nie było już wcale mowy.

Pod koniec istnienia Księstwa Warszawskiego w południowej części Polski odbywał podróż Jan Tomasz James (ur. 1786, zm. 1829), późniejszy biskup Kalkuty. Odbił on

zo toczyły się walki. Ze Smoleńska podróżni pojechali ku południowi i koło Kijowa wjechali na terytorjum Polski. Poznali Żytomierz, Dubno, Brody, Lwów; podejmowani byli w Łańcucie, wreszcie przy końcu podróży zwiedzili kopalnię soli w Wieliczce, a dla odpoczynku zatrzymali się w Krakowie. Z Krakowa wyjechali na Śląsk i pod Bielskiem opuścili ziemie polskie.

W kilka lat po kongresie wiedeńskim i nowym podziale ziem dawnej Polski, przybył zwiedzić Wielkopolskę młodziutki wówczas i nieznanym, a później tak głośnym poetą niemieckim Henryk Heine (ur. 1799, zm. 1855). W relacji ze swej podróży, napisanej r. 1823

nietylko obiektywnie, ale nawet z pewną życzliwością dla Polaków, Heine powiada, że zabór pruski zwiedził bardzo dokładnie, w rosyjskim był, ale zajechał niedaleko, w austriackim nie był wcale. Bliższych szczegółów o zwiedzonych okolicach Heine nie podaje, charakteryzuje dość ogólnikowo ludność Polski, oburza się na uniżoność chłopów względem szlachty wiejskiej, zachwycą się pięknnością Polek, następnie pisze, że Polacy zwrócili się do studjów naukowych, utraciwszy możliwość odznaczenia się na polu

W dalszym ciągu opisu podróży pisze o przejeździe przez granicę polską, strzeżoną przez kozaków, chwali szosę w granicach Królestwa i wzmiankuje miasta, przez które przejeżdżał, mianowicie Kalisz i Łowicz.

W czasie powstania listopadowego po stronie pruskiej skonsygnowane zostało wojsko i posunięte ku granicy. W jednym z pułków rozłożonych w Wielkim Księstwie Poznańskim nad granicą Królestwa Polskiego znajdował się poeta niemiecki, Franciszek



Pałac ks. Lubomirskich w Łańcucie

walki. Z miast polskich opisuje Heine tylko Poznań; wzmiankuje niektóre kościoły, mówi o artystach teatralnych, zabytkach starożytnych i ich zbiorach, wreszcie narzeka na brak dobrej biblioteki w Poznaniu.

W kilka lat po Heinem, w r. 1828, przejazdem był w Wielkopolsce inny literat niemiecki, Harring (ur. 1798, zm. 1870). Postanowił on wstąpić do wojska polskiego i w tym celu przedsięwziął podróż do Polski. Zabór pruski, przez który przejeżdżał, uczynił na nim złe wrażenie; znalazł tu bardzo złe drogi, niedbalstwo i złe urządzenie pocztu pruskiej.

Gaudy (ur. r. 1800, zm. 1840). Pobyt w dawnej prowincji Polski nie wyszedł mu na zdrowie, gdyż rozchorował się ciężko na grasującą wówczas cholere. Po wyzdrowieniu humorystycznie Gaudy na rysunku chorobę swą przedstawił. Chory leży na łóżku, a śmierć z kosą wdiera się do pokoju, chcąc porwać swą ofiarę. Jeden z lekarzy wojskowych wygania śmierć szablą i nie chce jej wpuścić, drugi zaś z naczynia nocnego zaczerpuje do wielkiej szprycy płynu, chcąc również śmierć odegnąć. Po zakończeniu rewolucji listopadowej Gaudy, znudzony pobytem w małym



Teodor Mundt

miasteczku polskiem, opuścił służbę wojskową i powrócił do Niemiec.

Już po upadku powstania listopadowego bawił kilkakrotnie w Polsce historyk niemiecki, Konstanty Goehring. Żadnych szczegółów o tej osobistości nie posiadamy, wiemy tylko to, co sam o sobie w sprawozdaniu z podróży po Polsce napisał. Przybył on po raz pierwszy do nas w r. 1835 i od tego czasu kilkakrotnie przebywał w Warszawie i zwiedzał prowincję. Dzieło jego p. t. „*Polen unter russischer Herrschaft*” jest niesłychanie ciekawym i obszernym obrazem Polski w najcięższej epoce za czasów Mikołaja świeżo po upadku powstania listopadowego. Goehring opisuje podróż przez zabór pruski, następnie wjazd do Królestwa Kongresowego; następnie opowiada o miastach spotykanych w drodze do Warszawy: Kaliszu, Turku, Kutnie, Kominie, Sochaczewie, Błoniu. We wszystkich tych miejscowościach obserwował zwyczaje ludności miejscowej, zabudowania miejskie; pomiędzy miastami zwracał uwagę na stan dróg jezdnych i t. d. Z Warszawy ze znajomym obywatелем czynił wycieczki do południowej części Królestwa i poznał nie tylko duże miasta, jak Radom, Lublin, Zamość, ale nawet małe miasteczka, jak Wyśmierzyce, Białobrzegi, a także wioski i małe miejscowości, jak Koniówkę pod Radomiem. W tych podróżach, odbywanych poza traktami pocztowymi turysta nasz zebrał mnó-

stwo ciekawych obserwacji, dotyczących się wszystkich warstw ludności Polski, ze szczególną zaś ciekawością badał obyczaje i życie ludu wiejskiego i niektóre szczegóły z tego życia opisał. Znajdujemy więc opis pielgrzymki do Częstochowy, poboru do wojska na prowincji, a także wesela chłopskiego i pogrzebu chłopskiego na wsi.

Gry Goehring zwiedzał Królestwo Polskie, jednocześnie inny literat i podróżnik niemiecki, Teodor Mundt (ur. 1808, zm. 1861), prowadził równie sumienne studia nad ustrojem i życiem ludności ostatniego szczytka niaby niepodległego dawnej Polski, Wolnego Miasta Krakowa. Przesiedział on w dawnej stolicy Polski kilka letnich miesięcy i przez ten czas nie próżnował, jak to widać ze sprawozdania z podróży. Mundt należał do liczby ludzi życzliwie względem Polaków usposobionych; ubolewał on nad losem Polski i niejednokrotnie to wypowiadał. Zaczął on od zwiedzenia Wawelu, a przy tej sposobności wyłożył w krótkości historję powstania Rzeczypospolitej Krakowskiej; następnie odbył wycieczkę na kopiec Kościuszki i znów wypowiada słowa uwielbienia dla tego bohatera. Dalej już opisuje ogólne warunki życia



Gniazdo ptaka remiza, obserwowane przez podróżnika w XVIII w.

w Krakowie, charakteryzuje chłopów polskich i t. d. Specjalną uwagę Mundta zwróciło na siebie doroczne święto rocznicy ogłoszenia konstytucji Wolnego Miasta Krakowa w d. 11 września r. 1818. Jednym ze szczegółów tego obchodu była muzyka publiczna w dzień i iluminacja gmachów publicznych wieczorem. Dziwi się Mundt przy tej okazji, że lud ujarzmiony potrafił weselić się i ciekawie przyglądać iluminacji, która w rzeczywistości przyświecała tylko jego nieszczęściu. Święto konstytucji dało asumpt Mundtowi do rozpamiętywania stosunków politycznych krakowskich; porównywa on dwie konstytucje: pierwotną liberalną z r. 1818 i reakcyjną z r. 1833. Wyżej o wiele stawia pierwszą. Po kilkumiesięcznym pobycie w Krakowie nasz podróżnik razem z żoną wyruszył na Węgry, a po drodze zatrzymał się przez kilka dni w Tatrach, w Zakopanem i na halach dla poznania górali, których nazywa „Ludem naturalnym” (Naturvolk). Znajdujemy tu opis chat góralskich, ich ubiorów, ich charakterystykę, wiadomości o sposobie ich życia i t. p.; jest tu także opis nabożeństwa w kościele w Poroninie, do którego należało wówczas chodzić, gdyż w Zakopanem kościoła jeszcze nie było. Z Zakopanego turysta nasz odbył wycieczkę nad Morskie Oko, stąd

zśś udał się w dalszą drogę na Węgry.

Nieco później przez południową część Polski przejeżdżał od wschodu i dotarł aż do Krakowa geograf i krajoznawca niemiecki Johann Georg Kohl (ur. 1808, zmarł 1878). Przebywał on do r. 1838 na posadach nauczyciela domowego w różnych miastach Kur-



Franciszek Gaudy

landji i Rosji, a po opuszczeniu ostatniej posady puścił się w dłuższą podróż po Rosji, zamierzając stopniowo zbliżyć się do granicy i wyjechać do Niemiec. Zwiedził więc Petersburg i Moskwę, skąd wyjechał na południe Rosji do Charkowa i dalej na wschód do zaboru austriackiego, do Galicji. Tu zwracał uwagę na wszystko; interesowały go zarówno zwyczaje ludowe, jak budynki wiejskie i miejskie. Z Czerniowiec przez Sniatyn, Stanisławów i Stryj dostał się do Lwowa, wszędzie po drodze dokonywając ciekawych spostrzeżeń. We Lwowie zatrzymał się nieco dłużej i obszerniej stolicę Galicji opisał. Ze Lwowa droga wiodła naszego turystę podobnie jak przed nim Anglika Jamesa, przez Gródek, Mościska, Przemyśl, Jarosław. W dalszej drodze zwiedził Łańcut, którym podobnie jak James, bardzo się zachwyca. Wreszcie przez Tarnów dotarł do Wieliczki, a po dokładnem obejrzeniu kopalni podróżny nasz wyruszył w dalszą drogę ku granicy galicyjskiej, zatrzymał się w Krakowie i zwiedził go równie starannie jak Mundt. Przez Łancoronę i Białą wyjechał na Śląsk. Opis podróży Kohla pisany jest mniej zajmująco niż opis Mundta; nie zawiera uwag politycznych, i wogóle sposób pisania Kohla był nieco suchy.



Gaudy w karykaturze (rys. wł.)

W tym samym prawie czasie co Mundt odbywał podróż przez Polskę literat niemiecki, Aurelio Buddeus. Szczegółów życia nie znam zupełnie. Postanowił on zwiedzić prowincje, będące pod berłem rosyjskiem, ale nie rosyjskie etnograficznie; nazwał on te prowincje „w połowie rosyjskie” (halb-

russische). Tu zaliczył prowincje nadbałtyckie, razem ze stolicą państwa, Petersburgiem i Królestwo Polskie. Po zwiedzeniu Petersburga wybrał się do Polski. Obrat drogę wprost na południowy zachód, pocztą, gdyż kolei nie było jeszcze wtedy. Buddeus jechał więc przez Gątczynę, Ługę, Psków,

Ostrów do gubernji witebskiej, następnie przez Dynaburg do Kowna, a tu przekroczył granicę Królestwa Kongresowego. Wszędzie po drodze czynił obserwacje, dziwił się nędzy, panującej wśród ludności rosyjskiej. Wjechał do prowincji dawnej Polski, ubolewał nad uciskiem, którego ludność polska doznaje. Turysta nasz pisze, iż Polska dotknięta jest trzema plagami, które są następujące: żydzi, urzędnicy rosyjscy i kozacy.

Podróżnego, gdziekolwiek się zatrzyma, oblegają chmary żydowstwa, od którego niepodobna się uwolnić; kto się wreszcie od żydów wykupi, wpada w ręce czynowników, a kto i z tych rąk się uwolni i wyjedzie, wszędzie po drodze widzi wałęsających się, albo spoczywających gromadami kozaków. W

czarnych kolorach maluje Buddeus położenie Polski pod panowaniem rosyjskiem i powiada, że Rosja swoim barbarzyńskim postępowaniem z Polakami sama przyspiesza smutny dla siebie wynik stosunków wzajemnych. Spotykane w drodze miejsca, jak np. Ostrołęka albo Pułtusk dają naszemu podróżnemu



Gaudy chory na cholera w Polsce (lekarz odpędzający śmierć)

okazję do wspomnień historycznych. Po kilkodziennym odpoczynku w Warszawie i zwiedzeniu niektórych jej osobliwości, nasz autor wyruszył w dalszą drogę ku granicy Wielkiego Księstwa Poznańskiego i przejeżdżał przez Koło, Słupcę, Strzałków, Wrześnię do Poznania. Tu zatrzymał się dłużej.

Opisem tego ostatniego miasta kończą się wspomnienia podróże Buddeusa.

LEGATIUNEA ROMANIEI

IN
POLONIA

Varsowie. le 11 Mai 1928.

No. 1678. - 3.-

Monsieur,

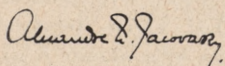
En réponse à la lettre que Vous avez bien voulu m'adresser le 11 Avril dernier, j'ai l'honneur de Vous informer que l'exemplaire du Tygodnik ilustrowany, son supplément mensuel "Naokoło Świata", de même que les originaux des aquarelles qui ont illustré la nouvelle intitulée "Vasile Soldatul", ont été remis à Sa Majesté la Reine.

D'ordre de Sa Majesté je viens Vous exprimer les vifs remerciements que mon Auguste Souveraine Vous adresse pour le travail si délicat que Vous avez consacré à l'illustration de Son Oeuvre.

Veuillez agréer, Monsieur, les assurances de ma considération la plus distinguée.

Le Ministre de Roumanie:

Monsieur
Monsieur Józef MOSZYŃSKI.



V A R S O V I E .

Redakcja Naokoło Świata przesała egzemplarz autorski Nr. 12 Naokoło Świata Jej Królewskiej Mości Królowej Rumuńskiej Marji, autorce noweli p. t. „Żołnierz Bazyli“, ofiarując jednocześnie oryginały ilustracji wykonane przez Kamila Mackiewicza. Obecnie Jej Królewska Mość poleciła łaskawie za pośrednictwem poselstwa swego w Warszawie wyrazić Redakcji Naokoło Świata swe podziękowanie. Facsimile listu posła nadzwyczajnego i ministra pełnomocnego Rumunii pana A. N. Jacovaky umieszczono wyżej.

Artykuł wstępny z Nr. 13 Naokoło Świata p. t. „Dzień Premjera Grabskiego“ przedrukowały w przekładzie: „Berliner Tageblatt“, Baltische Presse“, „Prager Presse“ i inne.

Szkaplerzyk

Napisał
Maciej Wierzbński.

Ilustrowała
I. Pokrzywnicka-Borowska.

Ten szkaplerzyk?... Dała mi go pewna dobra pani dawno temu. Bardzo dawno; już może sześć lat. Mały byłem wtenczas, nie-większy od Stasi wuja Seweryna. Mama mó-wiła, że skończyłem dopiero cztery latka.

Ach, co za gzy i zbytki wyprawialiśmy wtedy na boisku! Choć nianie pilnowały i często krzyczały na nas, było wesoło. A naj-zabawniej, gdy wdrapywaliśmy się na drze-wo. Kto z chłopców najwyżej. Ale żaden nie mógł dostać się do gałęzi.

O, teraz to wskrobie się jak nic. Raz, dwa i już wiszę na ga-łęzi. Stefek nie umiel Gramoil się jakby robak i wnet przestaje. Wisi, przylepio-ny do pnia. Ani rusz dalej. Nie śmie zejść na ziemię, bo chłop-cyby go wyszlur-chały. A w górę boi się, aby nie spadł i nie po-łtukuł się. Czy też nie może. Taki grubas i niedo-łęga. Śmiejemy się z niego do rozpuku. Łasko-czemy go, aż

spadnie. — Ucieka potem co sił, a my za nim.

Mały byłem wtenczas... Jak niania zoba-czyła mnie przy drzewie, woła:

— Kazik! Już znowu! Utrapienie z to-bą! Co mama powie!? Ubranko sobie po-drzesz!

Często mówiła: „co mama powie?!“ Ale często też nie widziała. Rozmawiała z do-rożkarzem.

Raz jedna pani rzuciła nam karmelków z okna. Spotkała mnie, gdy sze-dłem z nianią na boisko. Pytała się jak się nazy-wam, ile mam lat i zabrała mnie do siebie. Dała mi pomarańczkę. A potem nieraz wołała mnie z okna na górę. Dobra była.

Nie mogę o niej opowiedzieć, bo państwo i tak nie znają tego czerwonego do-mu przy boisku dla dzieci. Bar-dzo duży dom; trzy piętra. Tam mieszkała. We-soło się u niej



„Kazik! Już znowu!... ubranko sobie podrzesz!“

bawiłem. Niania nic nie mówiła; siedziała sobie na ławce, i gadała. Ale powiedziała mi raz:

— Kaziku, lepiej nic nie mów mamusi, że byłeś u góry u tej pani.

Nic nie mówiłem. Jakby mama zakazała... A lubiłem tę panią bardzo. Imię jej było Marta. Miała już dwadzieścia lat. Zawsze coś miała dla mnie dobrego i bawiła się ze mną tak jak nikt. Czołgała się po podłodze i udawała słonia. Pod brodą trzymała trąbę z afisza. (Dużo afiszów wisiało u niej przy drzwiach jeden na drugim. Niektóre czerwone). A raz zrobiła długą trąbę z cienkiego, różowego papieru i huczała przez nią zabawnie. Siadałem na jej plecach, wołałem: „wiol... wiol...” a ona otrząsała się, chciała mnie zrzucić lub ściągnąć trąbę. Śmiechu i krzyku było co nie miara.

Lubiła też bawić się w chowanego. A jakżeśmy się zmęczyli, siadała przy oknie, gdzie zawsze coś sobie szyla, brała mnie na kolana, obierała pomarańcze i opowiadała mi bajeczki. Ładne. (Jedną o chłopcu walcznym, co wypędził z kraju całą chmarę szerszeni i uratował rodziców i braci). Czasem też śpiewała mi piosenki i ja z nią. Jedną o kukułeczce... ku-ku! ku-ku!...

Dobra była, ta biała pani. Czemu „biała”?... Ano, bo nie miała na sobie sukni



...A potem nieraz wołała mnie z okna na górę ..

i taka była bieluchna na twarzy jak jej bielizna. Za to oczy miała czarne. Takich dużych oczu nie widziałem u nikogo. I włosy miała czarne jak u naszego Nerona. A takie długie, że sięgały jej za pas. Mogła całe plecy niemi zakryć. Dziwowałem się nad tem i pytałem czemu to chłopcy nie noszą takich długich włosów. Śmiała się i zęby było jej przytem widać.

Ach, strasznie mnie lubiła. Raz mówiła:

— Kaziku mój! Prócz mamy i tatusia nikt w życiu całem tak ciebie kochać nie będzie jak ja. Nikt.

A potem całuje mnie i pyta:

— A ty kochasz trochę białą panią.

— Bardzo kocham — mówię.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Więcej niż wujka Seweryna, chociaż mi dał pałasz i czapkę ułańską.

Cieszyła się. Kładła mi głowę na swych poduszczkach ciepłych na piersi, muskała mi włoski dłonią i... jednego razu bardzo płakała.

— Czy panią bołą zęby? — pytałem. Potrząsnęła głową, że „nie” i znów zbyt kowaliśmy wesoło.

Przyszedł raz jakiś pan. Takie miał czarne włosy, ale przy uszach trochę białe. Buty jego tak błyszczwały, jak moje przy krakowskim ubraniu. Przy zegarku jego wisiał cały pęczek różnych, ładnych rzeczy: słupek z kamienia przezroczystego, w którym były wyryte dwie litery. Szkiełko w złotym kółku, a w niem listek koniczyzny. I dwa pierścionki.

Kto to był?... Nazywał się pan Artur. Oglądał różową suknię panny Marty na kanapie. Gniewał się na nią, że wyprawia ze mną igraszki, a z nim nie rozmawia. Wnet sobie poszedł.

Spostrzegłem go pewnego razu, gdy jechałem z rodzicami na wieś do wujka Tomasza. Stał przy wagonie i rozmawiał z jakąś starszą panią. Chciałem zaraz do niego pobiec i powiedzieć mu „dzień dobry” (Mama przykazała mi, abym mówił

znajomym „dzień dobry“). Puściłem się ku niemu, lecz on spojrzał na mnie tak jak wilk (na jednym obrazku) na zbłąkane dzieci. Tak spojrzał, że nie śmiałem się do niego zbliżyć. Nie wspomniałem o nim rodzicom ani słowa.

Mama także go ujrzała i mówi do tatusia:

— Pan Artur... Rasowy. Zapewne jedzie z żoną na ów festyn do Zbitowskich.

Ojciec pokiwał dziwnie głową i uśmiechnął się.

— O rasowy... Będą tam grali...

Nie mówił w co tam mieli grać u tych państwa. Pewnie w tenisa. Śliczna gra. Ja już trochę umiem. Uczyla mnie Zosia, moja kuzynka, trzy razy.

Zapomniałem jeszcze dodać, że ojciec mówił mamie:

— Wmówił talent w tę piękną dziewczynę... Zmarnował ją, splugawił...

O kim ojciec mówił i co to: „talent“, nie wiem. Tak mi się jednak coś wydało, jakby o mojej białej pani.

Nazywa mnie ona „słonko“ i jak bez wołania do niej na górę wpadnę, to tak się cieszy, tak cieszy...

Ach, ona wymyśli zawsze coś nowego. Raz dała mi dwie czekoladki z czerwoną pomadką wewnątrz, wzięła mnie do przedsiönka, położyła grochu na otwarte okno i anim się spostrzegł a tu frrr... gołąb. Tak blisko przedemną, że się trochę wystraszyłem. Zaraz potem zatrzepotał drugi i usiadł na gzymsie. A za nim całe stado spadło. Frrr... frrr... okno pełne było skrzydeł i jak się rzuciły na ten groch! Tak dziobały, tak jadły prędko.

Na to przyszedł ten pan. Gdy mnie zobaczył, zamroczył się. Więc zachowywałem się cichuteńko. Oglądałem sobie książeczkę, w której były śliczne, kolorowe obrazki. Same dzieci, zwierzęta, kwiaty, łąki. A ten pan chodził po pokoju, ciągle chodził i powtarzał:

— Radzę ci jak prawdziwy przyjaciel... Gdyby to nie był mój przyjaciel i taki „magnat“...

(Pamiętam to dobrze, bo mały byłem wtenczas — nie słyszałem dotąd nigdy słowa „magnat“).

Ona nic nie mówiła. Siedziała na kanapie. Biała była na twarzy, jak jej bielizna. On chodził, mówił coś, powtarzał:



Dobra była, ta biała pani.

— Marciu kochana... Magnat... Karjera... karjera świetna...

(Tego słowa także nie znałem).

Ona milczała, on brał ją za rękę i przysięgał:

— Ja zawsze będę przy twoim boku, nie opuszczę cię...

Ona nic. Słucha i słucha. Na końcu powiada:

— Przysięgałeś mi na mój szkaplerzyk od matki!... Przysięgałeś, ja wierzyłam... Wierzyłam, że masz duszę tak piękną jak twoje rysy. Kochałam cię... A Ty... W błoto mnie popychasz...

On mówił jej na to coś długo, całował ją po rękach, zaprzysięgał, ale ona była bardzo markotna. Odepchnęła go.

— Idź sobie teraz... Idź na zawsze...

Ucieszyłem się, bo przeszkadzał nam w zabawie.

Chciał przyjść do niej wieczorem, zaprowadzić ją do teatru, lecz ona odrzekła: nie. Chciał ją pocałować, nie dała się. Gdy odszedł, myślałem, że zaczną się znów zbytki, albo ona co zaśpiewa.

Smutna była. Długo nic nie mówiła. Patrzała w me oczy i pyta:

— Lubisz ty tego pana?



„Powiedz swej mamusi, że dostałeś to od pewnej nieszczęśliwej pani, co cię kocha, co cię kochała tak bardzo, jak ona...”

- Nie, nie lubię wcale.
- Czemu go nie lubisz?
- On zły jest dla pani, zły.
- Skąd to wiesz?
- Ja wiem. A pani go lubi?...
- Nie, już teraz wcale go nie lubię...
- Pragnęłabym, abyś ty przez całe życie

nie lubił takich panów i... pragnęłabym żyć w twoim serduszkku zawsze, zawsze, jako... biała pani...

Nagle zaczęła okropnie płakać. Aż mi się jej żal zrobiło. Wskoczyłem jej na łono, objąłem ją ramionami, by nie płakała i całowałem ją po szyi, całowałem tak gorąco...

Otarła łzy, rozpięła biały stanik i wyciągnęła ten szkaplerzyk.

— Dostałam to od matki... Weź to dziecino odemnie na pamiątkę. Tobie to przyniesie szczęście. Weź od białej pani... A choć później wyda ci się, że byłam czarna jak moje włosy, ten szkaplerzyk powie ci, że byłam biała.

— O tak, pani jest biała! Taka dobra! za-

wołałem i chciałem jeszcze całować ją po szyi. Tak przyjemnie.

Nie pozwoliła. Zesadziła mnie z łona, wstała, dała mi książeczkę z obrazkami, zawiesiła mi szkaplerzyk na szyi i powiedziała:

— Powiedz swej mamusi, że dostałeś to od pewnej nieszczęśliwej pani, co cię kocha, co cię kochała tak bardzo jak ona...

Potem mnie długo całowała po głowie, tuliła, a gdy wybiegłem na boisko, patrzyła na mnie z okna. Taka była biała, jak te gołębie...

Nie widziałem jej więcej już nigdy. Patrzyłem nieraz w jej okno. Było zamknięte. Przypominałem sobie jak zabawnie udawała słońca.

Niania mówiła, że wyjechała... daleko, daleko. Pytałem się, czy „z tym panem”.

Niania odrzekła: „nie” i potrząsnęła głową dziwnie.

Dokąd ona raptem wyjechała tak daleko, ta moja dobra, biała pani?... Może nie wróci...

Od niej mam ten srebrny szkaplerzyk na niebieskiej tasiemce. Trochę zniszczona. Poproszę mamy o nową tasiemkę.



Dublin. Pałac gubernatora

Współczesna Irlandja

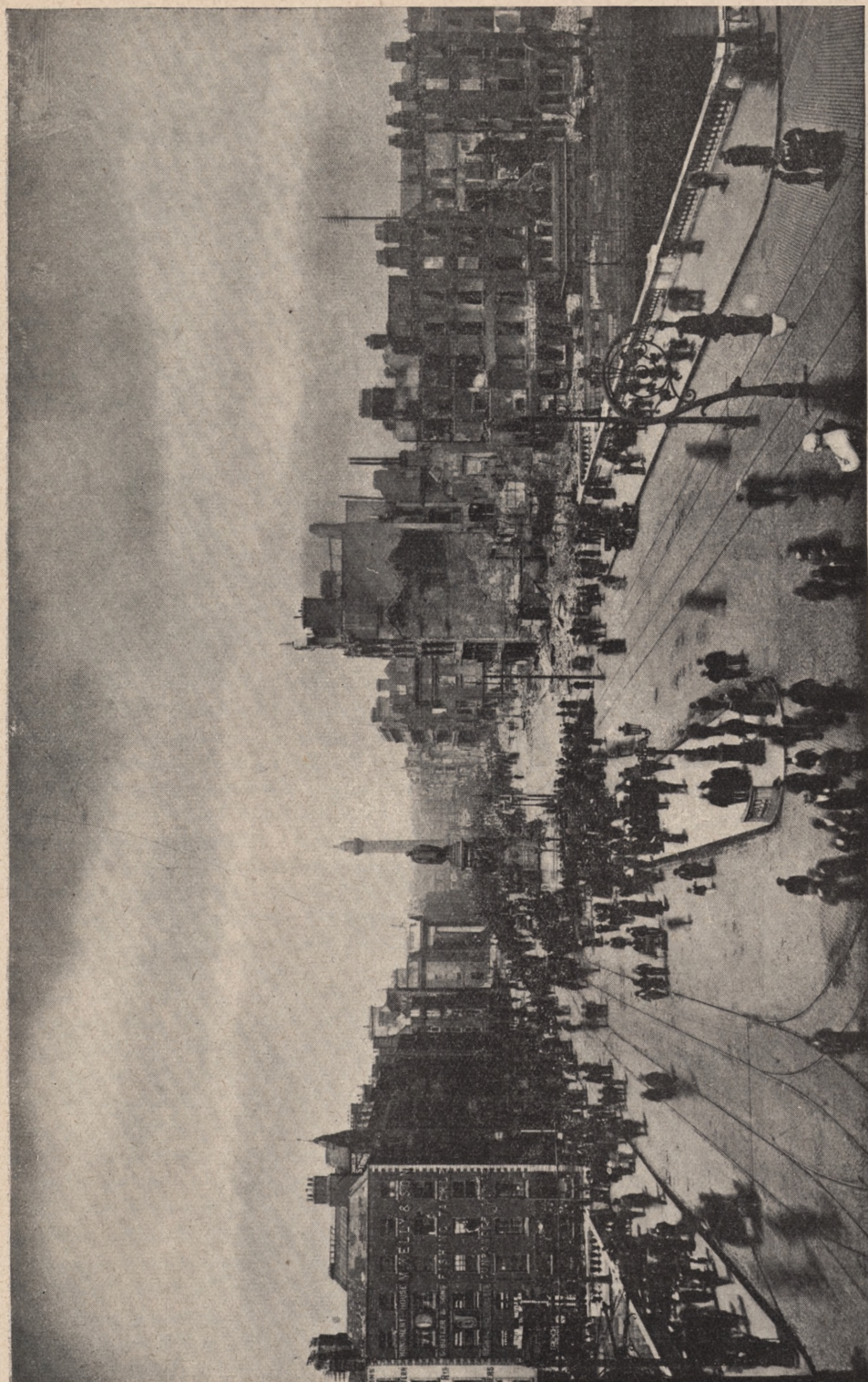
Napisał specjalnie dla „Naokoło Świata”

Joseph Hone

Irlandja jest krajem, obfitującym w opady, o łagodnym, wilgotnym klimacie, bogatym w jeziora i rzeki, posiadającym ludność różnorodną, wśród której dominuje element celtycki. Głównem zajęciem tej ludności jest rolnictwo. Gór w Irlandji nie brak — wznoszą się one jednak przeważnie od strony morza, tak, że wyspa kształtem swym przypomina talerz o wklęsłym dnie. Ekonomicznie—kraj biedny, lub raczej kraj jeszcze nienależycie wyeksploatowany; co do obszaru—Irlandja jest nieco większa niż połowa sąsiedniej wyspy Wielkiej Brytanji, posiada jednak w stosunku do niej zaledwie $\frac{1}{6}$ ludności. Spójrzmy na mapę, a przekonamy się, że Irlandja, odchylając się od Anglii i Europy, zwraca się natomiast w kierunku Nowego Świata. Jest to poniekąd symboliczne, jeżeli weźmiemy pod uwagę historję Irlandji w ciągu ostatnich 100 lat. W roku 1848 Irlandja miała 8 milionów ludności. Głód i złe rządy były przyczyną silnej emigracji i obecnie Irlandja ma zaledwie 4 miliony mieszkańców, podczas gdy ludność pochodzenia rdzennie irlandzkiego w Stanach Zjednoczonych prze-

wyższa pięciokrotnie zaludnienie naszej wyspy.

Mamy jednak i my węzły, łączące nas z Europą, o których Europa zdaje się zapominać. Gallowie, którzy podbili i zawładnęli ludnością tubylczą, zamieszkującą Irlandję przed epoką celtycką, przybyli prawdopodobnie od wybrzeża Bałtyku. Gallowie panowali w Irlandji aż do najścia Normanów w 12 wieku po Chrystusie, tj. około 15 wieków, a w ciągu tego długiego okresu raz tylko panowaniu ich zagrażali Duńczycy, którzy w 10 wieku napadli na wschodnie wybrzeże Irlandji i obwarowali się w Dublinie, Wicklow i innych miejscach. W 7-ym i 8-ym wieku chrześcijańska cywilizacja Gallów rozprzestrzeniła się na wschód przez Anglję do Europy, jako rezultat starań i wysiłków pielgrzymów irlandzkich, którzy założyli ogniska oświatowe we Włoszech, Francji i Zachodnich Niemczech. Wtedy to Irlandja zastępnęła jako „Wyspa Świętych i Uczonych”. Znacznie już później, gdy narodowość irlandzka, a po zaprowadzeniu Reformy, religja tej narodowości stała się przedmiotem prześladowań, wzmożła się



Dublin. Ulica Sackville po rewolucji w r. 1916



Prezydent Cosgrave

dalsza emigracja do Europy, zupełnie odmienna w założeniu od poprzedniej emigracji mnichów i uczonych. Arystokracja katolicka, wycieńczona walkami z kolonią protestancką, założoną przez Anglię, szukała oparcia w 17 wieku u katolickich państw Europy, mianowicie w Hiszpanii, Francji i Austrii. Do dziś zachowały się imiona i nazwiska: O'Donnell był prezesem ministrów w Hiszpanii, marszałek Mac-Mahon — prezydentem Republiki Francuskiej, Taaffe — premierem w Austrii. Brygada irlandzka walczyła za Ludwika XIV przeciw dynastji Hanowerskiej w Anglii. Do historii myśli europejskiej weszli również przedstawiciele Irlandji — tacy, jak: Scotus Engena w dziedzinie neo-platonizmu — światło w Ciemnych Wiekach — oraz biskup Berkeley — metafizyk — obaj w 18 wieku. A w ostatnich czasach Irlandja wydała ludzi o europejskiej sławie: Oscara Wilde'a, Bernarda Shaw'a i W. B. Yeats'a.

Na cóż nam się przyda ta historia? I czy historyczna Irlandja, datująca od Gallów, istnieje po dziś dzień? Arystokracja została złamana jeszcze w 17 wieku. Chłopi nasi, jak wspomniano wyżej, zostali zdziesiątkowani 80 lat temu przez głód i emigrację. Na początku tego stulecia narzecze galijskie zaczę-

ło szybko zamierać i język angielski rozposzczelniał się po całej wyspie. Czemże więc jest ta współczesna Irlandja, która od 1921 roku uzyskała stanowisko niezależne na podobieństwo Canady i Australji, z własnym parlamentem, władzą wykonawczą, własną armją i pełną kontrolą nad systemem podatkowym i edukacyjnym? Zarówno historia, jak i wydarzenia doby współczesnej zabraniają nam nazywać obecną Irlandję — kolonią angielską. Walka o autonomję, rozpoczęta w 1619 r. i prowadzona nader intensywnie, po skończeniu wojny była podjęta w imieniu starej rasy. Walka ta przybrała nazwę Sina Fein (Irlandja dla nas). Była to walka ludu, w której klasy średnie i wyższe protestanckie (pochodzące przeważnie od kolonistów, lecz rasowo zmieszane na skutek małżeństw) miały bardzo mały udział. Z ustanowieniem Wolnego Państwa, władza polityczna dostała się w ręce ludowego stronnictwa katolickiego, dawnych rewolucjonistów, którzy byli pozbawieni doświadczenia i zadanie których utrudniła w znacznej mierze odmowa elementów republikańskich Sina Fein uznania traktatu z roku 1921 jako obowiązującego dla Irlandji. Gdy, zgodnie z orzeczeniem traktatu, Anglja wycofała z Irlandji swoje wojska, rozpoczęła się walka wewnętrzna między stronnictwem de Valera i nowym rządem. Z punktu widzenia militarnego walka ta jest już dziś zakończona; lecz kosztowała ona wiele ofiar w ludziach i własności, a została zakończona przed ostatecznym poddaniem się partji republikańskiej, która nie chce uznać prawomocności obecnego rządu i odmawia (za przykładem anty-Faszystów włoskich) udziału w obradach parlamentu. De Valera, pani Markiewiczowa i panna Mc Surney są najwybitniejszymi pionierami w obozie republikańskim, w którym kobiety grają wybitną rolę. Panna Mc. Surney jest siostrą Lorda Mayora Cork, który umarł podczas strejku głodowego, a pani Markiewiczowa jest żoną polskiego pisarza dramatycznego — stoi ona na czele skrajnego stronnictwa robotniczego i jest gorącą zwolenniczką idei republikańskiej. Stronnictwo Wolnego państwa straciło dwóch najwybitniejszych leaderów podczas wybuchu wojny domowej. Oślawiony Micheal Collins, młody człowiek, poniżej lat 30-tu, został zabity latem 1922 nie przez Anglików, ale przez rodaków Arthur Griffith,

WSPÓŁCZESNA IRLANDJA



JEZIORO W KILLARNEY

dziennikarz, twórca i założyciel Sina Fein, który podpisał w imieniu Irlandji traktat 1921 r., umarł na serce tego samego roku. Dzisiaj p. Cosgrave jest prezydentem Rady Wykonawczej Wolnego Państwa, a p. Kecrin O'Higgins jest vice-prezydentem: obaj są ludźmi jeszcze młodymi, a w chwili, gdy obejmowali stanowiska po Collins'ie i Griffith'cie nie wiadano o nich nic. Dążeniem ich polityki jest sojusz z władzami religijnymi i umocnienie w Irlandji Konserwatywnej Demokracji, któraby się opierała na własności. Niemal dwie trzecie parlamentu irlandzkiego jest po stronie tej partji.

Przewroty rewolucyjne w ciągu ostatnich lat dziesięciu pozostawiły ślady wielkiego zniszczenia zarówno w Dublinie jak i w całym kraju. Wiele pięknych siedzib obywatelstwa ziemskiego zostało spalone. W dziele zniszczenia chłopstwo kierowało się już nietylko nienawiścią do obywatelstwa, ale i pewnem wyrachowaniem, pomimo, iż już za rządów Anglii ziemia w Irlandji była przeważnie w rękach ludu — obywatelstwo zachowało swe dobra i chłopstwo, niszcząc domy mieszkalne, spodziewało się w ten sposób pozbyć obywateli i rozdzielić ich grunty. Było wiele takich przykładów lokalnego bolszewizmu, podczas wojny domowej, toczącej się między Wolnem Państwem a patryotami republikańskimi, niektórzy z leaderów republikańskich tolerowali to dzieło niszczycielskie, a to ze względu, iż większość obszarników była w ścisłym kontakcie z Anglią i akcja ta spowodowałaby powrót Anglików i odrzucenie traktatu. Najwięcej jednak ucierpiało miasto Dublin.

Podczas wielkiej wojny europejskiej Irlandja stała początkowo zdecydowanie po stronie aliantów, dostarczając wiele rekruta armji angielskiej zarówno z południa jak i z północy kraju. Stronnictwo Sina Fein, które w roku 1914 było bardzo słabe, ogłosiło się za neutralnością, w tym czasie również działało stronnictwo prowadzone przez Sir Roger Casemat, popierane przez Irlandczyków-Amerykanów, które wierzyło, że zwycięstwo Niemiec zapewni Irlandji niepodległość. Sir Roger Casemat został rozstrzelany w roku 1916 za akcję porozumiewawczą z Berlinem. Wówczas cała Irlandja ciążyła ku Niemcom; po straceniu Sir Roger i innych leaderów zamieszanych w powstaniu 1916 r., w całym



Senator W. B. Yeats
Poeta irlandzki, laureat Nobla

kraju panowało silne wrzenie, którego rezultatem było odmówienie Anglii wszelkich posilków zbrojnych — podczas, gdy rząd angielski, wobec groźnej postawy Sina Fein, nie mógł wprowadzić w życie zamierzonego poboru rekruta w Irlandji.

Historycznie można Irlandję podzielić na 4 prowincje: wchodnią — Leister, ze stolicą całego kraju Dublinem, południową — Munster, zachodnią — Connaught i północną — Ulster. Pastwiska, stanowiące jedyne i największe bogactwo Irlandji, znajdują się przeważnie w Leinster, jednak Munster i Ulster obfitują również w bogate tereny uprawne. Connaught jest prowincją najuboższą. Grunt jej jest jałowy, pokryty skałami i kamieniami. Ludność w tej prowincji jest bardzo liczna, gdyż przeniesiona tu została rozmyślnie przez Anglików z bogatych i żyznych terenów, w celu oswobodzenia tam miejsca dla kolonistów angielskich. To też mieszkańcy Connaught'u żyją w niedostatku, graniczącym z nędzą. Głównem miastem tej prowincji jest port Galway, liczący 30.000 mieszkańców.

Cork, również miasto portowe, jest stolicą Munsteru, prowincji południowej. Tak samo, jak Dublin, miasto to ucierpiało bardzo z powodu walk ostatnich lat. Niektóre z jego bu-

dynków były wysadzone w powietrze przez Anglików w odwecie za postępowanie Sinn-Feinistów. Cork, chociaż jest drugim co do wielkości miastem „Wolnego Stanu” nie posiada nawet 70.000 mieszkańców. Nie widzimy w nim tak pięknych budynków, jakimi może się poszczycić Dublin, zachwyca jednak czarującym położeniem nad brzegami

rzeki Lee, w wąwozie, otoczonym wzgórzami, pokrytymi bujną zielenią. W Lecenstown, inaczej Cowe, porcie miasta Cork, zatrzymują się wielkie parowce linii transatlantyckiej. Niedaleko Cowe zatopiony został podczas wielkiej wojny statek Lusitania. Ludność irlandzkich prowincyj jest pełną życia, uprzejma i pogodna, w czym stanowi kontrast z mieszkańcami Belfast'u, stolicy

owych 6-ciu hrabstw w północnej części Ulster'u, które znajdują się pod angielskim protektorem. Belfast ma swe prawodawstwo lokalne, nie podlega parlamentowi irlandzkiemu i zależy bezpośrednio od Najwyższego Parlamentu Angielskiego w Westminster. Politycznie stanowią wspomniane 6 hrabstw Armagh, Werry, Autcion, Down, Fermanagh i Tyrone oddzielną całość, a mieszkańcy Belfast'u odznaczają się tendencjami o silnym imperjalistycznym i anglofilskim zabarwieniu. Fakt ten jest prawdopodobnie wynikiem anti-katolickiego nastroju większości mieszkańców oraz przyczyn natury ekonomicznej. Mianowicie wielcy przedsiębiorcy handlowi i przemysłowi miasta — będącego ośrodkiem eksportu lnianego — sądzą, że interesy ich są ściśle związane z interesami W. Brytanji, a

niechęć ludności do katolicyzmu wyzyskują do celów swej anglofilskiej polityki.

Powyższe jest powodem powstania t. zw. „Zagadnienia Ulster'u”, które jest wiecznym źródłem niepokoju. Imperjaliści protestaccy, (w większości przybysze z Anglii) grają rolę dominującą w Belfast'cie, który teraz pod względem zaludnienia zajmuje miejsce przed

Dublinem, gdyż posiada 300 tys. mieszk., podczas gdy Dublin ma ich tylko 250 tys.

Hrabstwa Down, Derry i Autrion były kolonizowane przez Anglików już w 17 wieku, — tuziemcy zaś zostali wypchnięci na wyjąłowione obszary i skaliste wzgórza, — tak, że jedynie w tym północno-wschodnim odcinku Irlandji drobna burżuazja, włościanie i proletariat sympatyzują z Anglikami. Ludność



Oficerowie wojska irlandzkiego

katolicka w tych trzech hrabstwach stanowi znaczną mniejszość. Co się tyczy pozostałych trzech hrabstw, to ludność w nich jest mieszana, a „Wolne Stany” zgłaszają swoją pretensję do obszarów, w których ludność katolicka stanowi większość.

Zgodnie z traktatem zawartym w r. 1921 między Anglikami a Sinn-Feinistami, te graniczące z „Wolnym Stanem” części Ulsteru mają być do niego przyłączone na mocy żądania większości mieszkańców; o wynikach tego plebiscytu ma zdecydować komisja, która obecnie zasiada pod przewodnictwem Anglika. Jednak liderzy tych prowincyj wyrazili swoją lojalność względem W. Brytanji i zawczasu odmawiają posłuszeństwa decyzjom komisji, tak, że trudno jest przewidzieć co nastąpi, gdy zapadnie uchwała.



Pani Markiewicz

jedna z kierowniczek partji pracy

Nacjonaliści irlandzcy dowodzą, że „zagadnienie Ulster'u” jest problematem sztucznie wywołanym przez politykę angielską, która dąży za wszelką cenę do zachowania sobie w Irlandji „pied à terre”. W r. 1912 angielski rząd liberałów podał w Izbie Gmin projekt samorządu Irlandji (Home Rule). Posłowie Ulsteru, Sir Edward Carson i inni zachęceni byli przez angielskich arystokratów do sprzeciwiania się przeprowadzeniu tego projektu, a Mr. Asquith odmówił jego zalegalizowania. W r. 1920 koalicyjny rząd Lloyd-George'a wniósł projekt podziału Irlandji na dwie jednostki samorządowe z centrami w Belfast'cie i Dublin'ie. Projekt ten nie został jednak poparty przez posłów północnej ani też południowej Irlandji. Niemniej jednak parlament w Belfast'cie został utworzony i rozpoczął swą działalność. Kiedy w r. 1921 Lloyd-George wszedł w układy z Sinn-Fein'istami, był w możności przedstawić oderwanie 6-ciu hrabstw od całości jako fakt dokonany. Jednakże o ileby wpływy angielskie zostały usunięte, wówczas protestancka północ i katolickie południe doszłyby bardzo szybko do porozumienia. Mieszkańcy Ulsteru

nie mają naogół — mimo wpływów — usposobienia ani temperamentu angielskiego, a charakter ich nosi cechy wybitnie irlandzkie. Jednakże Irlandczyk z północy odróżnia się od reszty mieszkańców nie tylko swymi tradycjami, ale i sposobem życia. Jest on energiczniejszy i ma więcej hartu — są to jednak różnice, które zachodzą między mieszkańcami północy i południa wszystkich krajów.

Ulster to Prusy Irlandji. Gdyby W. Brytania została starta z mapy świata, protestantki Ulster sięgnąłby niechybnie po hegemonję wyspy. Ten północno-wschodni zakątek jest jedyną częścią Irlandji, w której przeważają wpływy nowoczesnej plutokracji. Posiada on bardzo zamożny stan średni, o sympatjach angielskich i odznaczający się poszanowaniem bogactwa w stopniu nie spotykanym wśród żadnej z klas Wolnego Stanu, gdzie ubóstwo i duma idą ręką w rękę tak u włościanina, w którego żyłach płynie krew gallicka, jak i u szlachcica, wywodzącego swe pochodzenie od starych rodów angielskich. Magnaci Ulsteru, jak np. książę of Abercorn i Lord Londonberry nie byli zrujnowani przez rewolucję, jak arystokraci południa i wschodu.



Dr. Douglas Hyde

jeden z twórców odrodzenia języka irlandzkiego

Większość ich dóbr znajduje się przeważnie w Anglii. Ulster jest dla nich miejscem letnich wywczasów.

W hrabstwie Autrion, położonem o niecałe 2 godziny od Belfastu, można napotkać wsie zamieszkałe przez mówiących po gallicku rybaków i włościan, potomków prastarych ras. Miasto Armagh w północnym Ulsterze jest miastem św. Patryka, apostoła Irlandji. Do

czy, jednak Kościół reformowany w Irlandji dotychczas uważa siebie za kościół narodowy, — ale — jako paradoks — ma swe prawne miejsce pobytu poza granicami Irlandji narodowej, bo w 6-ciu hrabstwach związanych z W. Brytanią.

Wróćmy teraz do Dublinu z jego pięknymi budynkami, zajmowanymi teraz po większej części przez lekarzy i prawników, jego pełne-



Na drodze...

Obraz Jack'a B. Yeats'a

dziś dnia — niezależnie od sporów religijno-politycznych — rezyduje tam przedstawiciel Kościoła protestanckiego, t. zw. „kościół Irlandji” i katolickiego, oraz wznoszą się świątynie obu wyznań. Arcybiskup protestancki w Armagh jest głową „kościół Irlandji” i uważa siebie za następcę św. Patryka.

Aż do r. 1861 „kościół Irlandji”, którego dogmaty są prawie identyczne z dogmatami kościoła anglikańskiego, był kościołem oficjalnie panującym w kraju i do dostarczania środków na jego potrzeby zmuszona była ludność, której ogromna większość była wyznania rzymsko-katolickiego. Chociaż angielski mąż stanu Gladstone zmienił ten stan rze-

mi smętnej melancholji parkami, wesołemi dokami, z jego wielkim przemysłem i browarami, wyrabiającemi piwo irlandzkie — porter Guinness'a.

Powstanie rządu narodowego nie przyniosło jeszcze dotychczas świetnych owoców i można powiedzieć, że wielka część dawniejszej wesołości i beztroski zanikła wraz z opuszczeniem miasta przez angielskiego vicekróla i armję angielską.

Na czele rządu stoi obecnie T. M. Healy, zajmując dawniejszy pałac angielskiego vicekróla.

T. M. Healy nosi oficjalny tytuł generał-gubernatora Irlandji i jest przedstawicielem króla Jerzego; jednakże przez całe życie był

bojownikiem za sprawę narodową, a zielono-biało-zółta chorągiew Wolnego Stanu powiewa nad jego pałacem w Phenix-Park. Posiedzenia Irlandzkiej Izby Gmin czyli Dail'u i Senatu odbywają się w Leinster House, niegdyś rezydencji Fitzgeraldów, książąt Leinster'u. Posiedzenia Dail'u mają charakter demokratyczny i nie słychać w nim przemówień krasomówczych, którymi sławili się politycy irlandzcy w w. 18-tym.

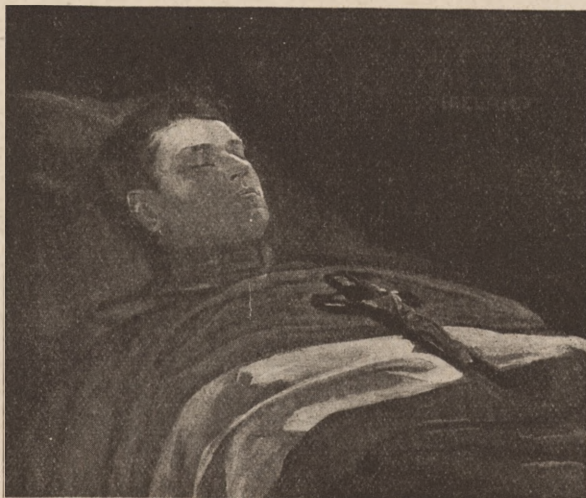
Wiek 18-ty był złotym wiekiem Dublina. Prawie wszystkie piękne budynki, jak np. gmachy sądowe, gmach Banku Irlandzkiego i inne — pochodzą z drugiej połowy tego wieku. Magnaci irlandzcy przybywali w tym czasie do Dublina, budovali wspaniałe pałace, powierając ich wykończenie irlandzkim, angielskim i włoskim mistrzom. Collegium św. Trójcy, — fundacji królowej Elżbiety, — z którego wyszli Edmund Burke, Sheridan i Goldsmith — było wówczas u szczytu swego rozkwitu i sławy. Burke, Sheridan i Goldsmith nie pracowali dla Irlandji, lecz udali się do Anglii, aby wzbogacić angielską literaturę i rozgłosić sławę angielskiej polityki. Zjawili się jednak na arenie politycznej Irlandji inni genialni mężowie stanu jak Grattau, Currau, Flood, których imiona są nierozzerwalne z historją parlamentu irlandzkiego, podczas krótkiego okresu niezależności.

Grattau był jednym ze słynniejszych mówców nie tylko Irlandji, lecz i całej Europy. Nawet Parlament irlandzki tego czasu był znany pod nazwą Parlamentu Grattau'a. Ciekawą jest również postać George'a Hervey'a, lorda Bristolu, którego życie i karjera dają charakterystykę życia i zamięłowań ówczesnej arystokracji irlandzkiej. Hervey, chociaż był Anglikiem i nosił tytuł angielski,

jednak zachwycony olbrzymiemi sumami płaconemi biskupom protestanckim w Irlandji, przeniósł się do Derry, gdzie w r. 1767 został biskupem z pensją roczną £ 40.000.

Był on w przyjaznych stosunkach z Voltaire'em, Fryderykiem Wielkim, z ówczesnym Papieżem i z Benjaminem Franklinem. Dużo czasu spędzał za granicami kraju, głównie w Rzymie, gdzie znany pod nazwą „szczodrego Irlandczyka“, był protektorem

sztuki. Współczesna mu autorka irlandzka, która spotkała go jadącego ulicami Rzymu, tak nam opisuje tego dostojnika protestanckiego kościoła: „Twarz jego była ostra i naznaczona piętnem zepsucia. Siedział w wygodnym powozie, między dwiema włoskimi damami i starał się nadać sobie wygląd Adonisa“.



Michael Collins, dowódca armji irlandzkiej zabity w czasie wojny domowej w r. 1922

Prowadził życie tak zbytkowne, że stało się zwyczajem nadawać nazwę „Bristol“ najzbytkowniejszym hotelom w stolicach europejskich. Hervey ukazywał się w Dublinie w brylantowych ozdobach i w złotem szytych białych rękawiczkach, eskortowany przez ochotniczy oddział chagonów, którzy obrali go swym szefem. Anglik ten stał się wielkim patriotą irlandzkim i nikt z członków protestanckiego parlamentu w Dublinie nie stał tak mocno, jak on na stanowisku wyzwolenia katolicyzmu i reformy. Parlament irlandzki był w w. 18-tym przedstawicielem zaledwie jednej piątej ludności, gdyż żaden katolik nie miał prawa w nim zasiadać.

O ileby reforma doszła do skutku i katolicy obdarzeni wolnością, parlament irlandzki mógłby istnieć nadal. Jednak przesady klasowe i religijne większości członków parlamentu dopomogły do urzeczywistnienia projektu Pitt'a, angielskiego męża stanu, ma-



Dublin. — Leinster House, w którym zebrał się „Dail”, obecnie własność Royal Dublin Society

jącego na celu ostateczne wcielenie Irlandji do W. Brytanji. W r. 1798 miał miejsce bunt o zabarwieniu republikańskim, spowodowany wpływem rewolucji francuskiej, był jednak niemiłosiernie zdławiony przez wojska angielskie. Po tym nieudanym buniecie arystokracja irlandzka zupełnie upadła na duchu i Pitt miał mało trudności z rozwiązaniem parlamentu irlandzkiego. Z powodu przyrzeczenia Pitt'a nadania przez prawodawstwo angielskie wolności katolikom, jak tylko nastąpi unja Anglii z Irlandją, katolicy klas średnich ze swym biskupem na czele, stali się również zwolennikami unji parlamentarnej. Wszystko zatem jakby sprzyściło się, by zrujnować pracę Grattau'a, Hervey'a i irlandzkich patriotów. Od r. 1800 do 1921 polityka irlandzka była utożsamiona z polityką W. Brytanji. Był to okres następujących po sobie reform i reakcyj. Głównymi faktami tej epoki były: nadanie wolności katolikom (1829), wielka klęska głodowa (1846) i masowa emigracja do Ameryki, usa-

mowolnienie „kościół Irlandji” (1861), wojna wewnętrzna (1880—1890), reforma agrarna, projekt Home Rule'u, podany przez Parnell'a i irlandzkich posłów do Parlamentu angielskiego (1880—1914), ruch Sinn-Feinistyczny pod przewodnictwem Griffith'a (1904—1921). Griffith był pierwszym, który zachęcał do pasywnego oporu władzom angielskim. W r. 1916 jednak opór ten równoznaczny był otwartemu buntowi.

Nacjonalistyczny ruch irlandzki, chociaż na czele tego ruchu stali często arystokraci, jednak przez cały w. 19-ty był ruchem przeważnie ludowym. Bogatsze klasy (w większości protestanckie) stały na stanowisku popierania władz angielskich i przyjęły nazwę „unionistów” lub „legalistów”.

Traktat 1921 r. był osobiwem zakończeniem walk o niepodległość, gdy weźmie się pod uwagę stosunek liczebny obu stron walczących. Z jednej strony cała potęga monarchji angielskiej, z drugiej — kilka tysięcy ludzi pod bronią. Anglja zgodziła się na



Dublin. Bank of Ireland i Trinity College

wiele punktów, na które początkowo nie chciała dać swej zgody, jak np. cofnięcie swej armji, nie zgodziła się jednak na całkowity program Sinn-Feinistów, gdyż Lloyd George obstawał przy zasadzie podległości Królowi Jerzemu, oraz przy samookreśleniu ludności 6-iu protestanckich hrabstw Ulster'u, co w rzeczywistości znaczyło zatrzymanie tych 6-ciu hrabstw pod wpływami W. Brytanji. Traktat z 1921 r. bardzo ściśle określa prawa północno-irlandzkich protestantów, lecz pozostawia katolicką mniejszość w północnej części Irlandji i protestancką w południowej — bez żadnych przywilejów i protekcji.

Życie kulturalne Irlandji jest zcentralizowane w Dublinie, Belfast zaś robi wrażenie angielskiego miasta prowincjonalnego. W Dublinie czuje się istnienie kultury, która ma swe korzenie w dawnej tradycji irlandzkiej i w irlandzkim życiu narodowym. Miasto to posiada dwa uniwersytety: Collegjum św. Trójcy i Uniwersytet Narodowy. Collegjum św. Trójcy zostało założone przez angielską królową Elżbietę, jako wynik angielskiej polityki kolonialnej w Irlandji. Z Uniwersytetu tego wyszło wielu irlandzkich patriotów i uczynił on wiele dla rozszerzenia nauki w kraju. Katolicy irlandzcy uczęszczają do tej uczelni tylko w niewielkiej ilości, utrzymując zgodnie z poglądem biskupa katolickiego, że

atmosfera tego uniwersytetu jest wskroś protestancka, oraz, że jest on przesiąknięty duchem anti-katolickim. Dzięki agitacji biskupa został otworzony, podczas ostatnich lat rządów angielskich, Uniwersytet Narodowy, którego profesorowie są przeważnie katolikami i nacjonalistami. Uniwersytet św. Trójcy zatrzymał jednak swe dawne przywileje.

Smutnym objawem jest fakt, że Irlandja nie może, czy też nie chce wynagradzać dostatecznie swych literatów. Z tego wynika, że ponieważ literaci irlandzcy używają w swych utworach języka angielskiego, Anglja, ze swem bogactwem i wielką ilością ludzi interesujących się literaturą, ściąga ku sobie irlandzkich mistrzów pióra. Jako przykład tego mogą służyć Bernard Shaw, Oscar Wilde, George Mare i inni, którzy, chociaż Irlandczycy i chociaż dzieła ich noszą cechy charakteru i temperamentu irlandzkiego, należą jednak w rzeczywistości do literatury angielskiej.

A jednak istnieje w Irlandji towarzystwo literackie, złożone z ludzi, którzy wysoko podnieśli poziom kultury irlandzkiej.

Yeats, jeden z największych poetów, piszących obecnie po angielsku, mieszka w Dublinie, gdzie piastuje urząd senatora. W r. 1923 otrzymał on nagrodę Nobla, nietylko w dowód uznania jego przepięknych prac wierszem i prozą, lecz i zasług, położonych dla

celów kulturalno-narodowych, przez stworzenie irlandzkiej literatury nowoczesnej i irlandzkiego teatru. Dopomagali mu w tem: Lady Gregory, George Russel, T. M. Synge i inni, którzy, przejęci ideą nacjonalizmu literackiego, byli gotowi dla tej sprawy na wszelkie poświęcenia tak w dziedzinie finansowej, jak i innych.

Synge, który umarł młodo w r. 1909, był największym irlandzkim autorem dramatycznym. Za temat do jego dramatów służyło życie, prymitywne życie mieszkańców atlantyckich wybrzeży. Życie to opisywał on z sardonicznym humorem, lecz zarazem i z wielką sympatją. Synge pierwszy wprowadził do swych gallicką mowę, mowę ludności odległych zakątków Connaught'u. Niektóre z jego dramatów zostały przetłumaczone na języki obce.

Lady Gregory pisała sztuki z życia włóściańskiego i tłumaczyła stare irlandzkie „sagi” na język angielski.

Dzieła Russela pisane są pod wpływem irlandzkiej mitologii oraz filozofii mędrców indyjskich.

W repertuarze teatru irlandzkiego figurują głównie sztuki z życia włóścian, dramaty poetyczne, przeróbki ze starych legend irlandzkich oraz satyry polityczne.

Życie wielkiego świata mało interesuje irlandzkich dramaturgów, choćby dlatego, że życie to mało się różni od życia arystokracji angielskiej.

Powyżej opisany ruch literacki nie powinien być identyfikowany z tendencjami „Odrodzenia Gallickiego” (Gallie Revival), które są oparte na teorii, że jedynie język utoż-

samia narodowość, a zatem najżywotniejszą kwestją dla literatury irlandzkiej (jak również dla wszystkich dziedzin życia narodowego) jest zachowanie języka irlandzkiego i gallickiego.

Język irlandzki należy do grupy aryjskiej i jest tak samo niepodobny do angielskiego jak i do polskiego. Ma on swoją piękną przeszłość w literaturze tak starożytnej, jak średniowiecznej i nowoczesnej. W czasach

zamierzchłej przeszłości historii irlandzkiej poezja irlandzka żyła tylko wśród uczonych, nieznana prawie przez szerszy ogół. W czasach nowożytnych, język starych ras irlandzkich powoli wypychany był w coraz dalsze prowincje wschodu i południa, a klasy inteligencji i arystokracji irlandzkiej posługiwały się tylko językiem angielskim, nie znając zupełnie mowy ojczystej.



Urząd celny w Dublinie
Spalony przez partję Sinnfeinistów w r. 1921

Dziś, nawet w dalekich prowincjach tylko mała garstka ludzi może się pochwalić znajomością języka irlandzkiego, a trzeba liczyć, że ogółem nie więcej, niż 10 proc. całej ludności kraju zna oba języki irlandzki i angielski, do tych zaś 10 proc. trzeba jeszcze włączyć tych, którzy mowy irlandzkiej nauczyli się w wieku dorosłym i dla których nie jest ona mową codziennego użytku. Dzięki propagandzie ostatnich 20 lat znajomość książkowa języka irlandzkiego znacznie większe objęła masy, lecz mało jest entuzjastów, mówiących stale po irlandzku.

Nowy rząd dokłada wszelkich starań, aby zmienić ten stan rzeczy. Nauka języka irlandzkiego jest teraz obowiązującą w szkołach, a w urzędach znajomość mowy ojczystej jest niezbędnym warunkiem otrzymania

stanowiska. Trudno jest jednak już teraz przewidzieć, jakie będą rezultaty tych zabiegów rządu narodowego.

Jak już wspomnieliśmy, poeci i powieściopisarze angielscy posługują się przeważnie językiem angielskim, jeden tylko P. O'Connor dzieła swe pisze językiem gallickim.

Polityk znajdzie w Irlandji nowoczesnej wiele spraw i zagadnień ciekawych, szczególnie o ile pochodzić będzie z kraju, odrodzonego po wojnie, np. z Polski. Wiele ekonomicznych i społecznych spraw irlandzkich ma dużo podobieństwa z takimiż sprawami w Polsce, inne znów wykazują zasadnicze różnice. W Irlandji Polak spotka się zawsze z wyrazem sympatji dla dziejów swego narodu.

Jednocześnie dla badacza historii i cywilizacji angielskiej pobyt w Irlandji nie byłby również bez znaczenia, albowiem nie należy zapominać, że przez szereg stuleci Irlandja brała udział w historii Anglii, a dziś na mocy traktatu z r. 1921 jest członkiem (British Commonwealth of Nations) i zajmuje miejsce w Lidze Narodów. Jednakże stanowisko Irlandji w (Commonwelth) ma całkiem swoisty charakter, gdyż Irlandja bynajmniej nie jest nową angielską kolonią, lecz mieszkańcy jej są dawnym narodem o charakterze całkiem odmiennym od anglo-saskiego, a polityka jej dąży do przywrócenia rodzinnej kultury i cywilizacji całkowicie niezależnej od kultury i cywilizacji angielskiej.

Obecnie, kiedy pokój zapanował w Irlandji, sprawa wycieczek turystycznych i krajoznawczych do tego kraju w celu zapoznania

się z jego życiem i kulturą, wysuwa się jako kwestja wielkiej wagi; projekt tych wycieczek był podany na bankiecie w Dublinie w r. 1924, w którym to bankiecie wzięło udział wielu polityków, literatów i artystów europejskich.

Źródła zainteresowania turysty nie są w Irlandji tak liczne, jak w innych bogatych i bardzo cywilizowanych krajach Europy, lecz podróż po Irlandji jest wygodna, mieszkańcy są zyczliwi i gościnni, krajobrazy piękne i różnorodne. Polowania i wycigi należą do sportów narodowych; nigdzie niema tak pięknych koni jak w Irlandji, początek zaś sierpnia, czyli okres wielkiego targu na konie, który ma miejsce w okolicach Dublina, jest najodpowiedniejszą porą do odwiedzin tego kraju.

Z Dublina turysta może się udać o 150 klm. na południo-zachód, do jezior Killarney, do pięknej okolicy o łagodnym klimacie, gdzie ciepło pozwala na rozwijanie się okazów omal nie tropikalnej flory. Po zwiedzeniu jezior Killarney pociągnie turystę brzeg Atlantyku, wyspy Arau, oraz miasto Galway. Typy mieszkańców tego miasta świadczą jasno o wpływie dawnym stosunków handlowych Irlandji z Hiszpanją. Cztery godzinny drogi przez równinę rzeki Shannon zwrócić turystę do Dublinu. Z Dublinu może on udać się do Donegal, na północo-zachód, w piękną górską okolicę, obfitującą w jeziora, lub do 6-ciu hrabstw Ulsteru, gdzie będzie witany z równą gościnnością.

Tłumaczyła z angielskiego

Halina Puzynińska



Od opaski do opaski

Napisał
Józef Moszyński

Niedawno jedno z pism paryskich zorganizowało specjalną ankietę na temat: dla kogo stroi się kobieta, dla kogo wogóle się ubiera?

Zanim przytoczymy tu pobieżne opinie pięknych pań paryskich w tej sprawie, przemawiających imieniem różnych sfer, wyraziściek różnych poglądów, obejrzyjmy się daleko poza siebie, sięgając wzrokiem ku odległym czasom pierwobytu ludzkiego na ziemi, aby zrozumieć wogóle sprawę powstania stroju lub ubrania.

A więc pojęcie stroju lub ubrania jest pojęciem ogromnie rozciąglętem, zwłaszcza jeśli przypuścimy, że pierwsi rodzice nasi, wychodząc z raju, byli już ubrani!

Jeśli chodzi o prawa autorstwa pomysłu owego najwcześniejszego ubrania, to należy przypisać je Adamowi, nie zaś pełnej już wówczas kokieterji Ewie, jakby raczej większość jej nadobnych cór sądzić była skłonna! Nie Ewa pierwsza chwyciła za liść figowy, jak wykazują badania dzisiejsze, lecz uczynił to Adam. Mężczyzna pierwszy zaczął przystrajać swoje ciało. Adam ubrał się w liść figowy podobno ze wstydu, Ewa zaś uczyniła to później, lecz inne motywy skłoniły ją do naśladowania swego małżonka, w tym bowiem momencie pierwsza kobieta nabyła jedną z nieznanym do owego czasu cech

charakteru niewieściego, mianowicie kokietery. Kokieteryja, nie wstyd — nakazały Ewie sięgnąć po piękny liść figowy.

Zaraz to wyjaśnimy.

Więc jakże to było z owym liściem figowym, najpierwszym i najtańszym strojem ludzkim, prawzorem w późniejszej ewolucji stroju lub ubrania?

Wszystkim nam wiadomo jest, iż w obecnych czasach nie było jeszcze wypadku, aby człowiek urodził się w gotowym już ubraniu. Ludzie współcześni przychodzą na świat nago. Ale jakże było dawniej? Tuzdania są podzieleni. Niektórzy uczeni twierdzą, że praczłowiek urodził się kiedyś w odległych czasach, w gotowym już ubraniu, upodobniającem go do innych zwierząt wyższego rzędu: był szczelnie obrośnięty gęstym włosem. Zwolennicy tej teorii głoszą dalej,

iż ów człowiek pierwotny, mianowicie osobnik męski, bardzo szybko wyrobił sobie pewien „gust“ do kobiet i nie lubił on kobiet mocno uwłosionych, na ciele, co zresztą nieźle świadczyłoby o jego guście. Dlatego też starał się człowiek ów dobierać sobie w życiu towarzyszkę jaknajuboższą w sierść. Stąd z biegiem czasu nastąpić miał zupełny zanik uwłosienia na ciele ludzkim.

Większa jednak część uczonych nie uważa wcale za konieczne robienie podobnego założenia w kwestji, dotyczącej zjawienia się na ziemi człowieka. Dowodzą oni, iż kolebką pierwożyty ludzkiego na ziemi były kraje ciepłe (archipelag wysp Malajskich) i wobec tego jest rzeczą zupełnie naturalną, że człowiek przyszedł na świat nago.

Przy pierwszym założeniu należałoby zbadać sprawę przemiany mody u ludzi uwłosionych na całym ciele i przejście ich od szat naturalnych do sztucznych, przy drugim zaś założeniu znaleźć wypadka wogóle przyczynę, dla której człowiek zaczął się ubierać.

Ogólnie hołduje się obecnie całkowicie drugiej z przytoczonych teorii, głoszącej, iż człowiek urodził się nago, a raczej skłonni

jesteśmy przypuścić, że kwestja przychodzenia na świat ludzi ubranych i to w dodatku ubranych według ostatniej mody, jest jeszcze kwestją przyszłości, choć niezbyt już może odległej.

Zastanówmy się obecnie nad przyczyną, która skłoniła praczłowieka do sporządzenia sobie stroju lub ubrania?

Trzy motywy nasuwają się tu logiczne na myśl: chęć uchronienia ciała od zim-

na, chęć przypodobania się lub wyróżniania i wreszcie uczucie wstydu.

Któryż jednak z tych trzech motywów był czynnikiem decydującym? Badania ludzi, zajmujących się tą kwestją, wykazują, że człowiek jest zwierzęciem ogromnie odpornym na zmiany klimatu i, że chłód nie jest wcale czynnikiem, zmuszającym człowieka do ubrania się. Stwierdził to praktycznie Cook w czasie swej wyprawy do Ziemi Ognistej, gdzie zastał mieszkańców tej wyspy, chodzących zupełnie nago, nie bacząc na to, że dwu towarzyszy Cooka zmarzło tam właśnie w owym czasie na śmierć.

A kiedy w kilkanaście lat później Darwin odwiedził również Ziemię Ognistą, ujrzawszy mieszkańców jej chodzących nadal bez ubra-



Mała córka Ewy, już ozdobiona na twarzy i ciele farbą olejną — jest niezbyt z tego zadowolona



Zupełnie pierwotna moda przy nowoczesnych już środkach komunikacji



*Grupa uroczych tancerek ludowych w strojach uroczystych, przypominających toalety balowe
(Mombasa — Afryka)*



Przepięknie tatuowany Japończyk

nia, pomimo bardzo niskiej temperatury i szalejących tam wichrów lodowatych. Zdziwiony też był niezmiernie, kiedy, ofiarowawszy jednemu z tubylców czerwoną chustkę, oczekiwał, iż człowiek ten okryje nią ciało swoje od chłodu, wesoły ów osobnik podarł ją jednak natychmiast na wąziutkie paski i paskami temi ozdobił dopiero ciało.

Stąd wynika, że chłód nie zmusił człowieka do ubrania się, gdyż w zmieniającym się powoli klimacie przywykł on powoli do chłodu i chętnie dalek nago.

Rozpatrzmy z kolei drugi motyw, który mógł skłonić człowieka do włożenia szat. To uczucie wstydu.

Wstyd, jak się okazuje, nie był jednak również czynnikiem decydującym. Samo już pojęcie wstydu nie jest ujednolajnione. Istnieją dotychczas jeszcze plemiona, nie znające wcale uczucia wstydu. Niektóre zaś plemiona mają inny zupełnie pogląd na sam przedmiot wstydu, niż my to w europejskim znaczeniu rozumiemy. Pojęcie wstydu ura-

biało się bowiem niejednolicie i zależnie od środowiska.

W pojęciu pewnego plemienia za najbardziej nieprzyzwoitą część ciała uważane są nogi, u innych plemion tył głowy jest owym miejscem wstydliwem, które należy dokładnie przed wzrokiem ludzi osłaniać. Wreszcie pewien szczep Indjan z źródeł Szingu, chodzi również zupełnie nago, a tylko w chwilach uroczystych, lub do tańca, ludzie tego szczepu ubierają się w szaty splecione z włókien palmy. Szaty te osłaniają dokładnie całe ciało, prócz właśnie tych części, które w pojęciu naszym są częściami wstydliwymi i winny być przede wszystkim ukryte.

Jak twierdzą badacze, pierwotnym celem opaski miała być jedynie chęć przyozdobienia bioder. I dziś jeszcze odwieczne plemiona australijskie, nie używające zazwyczaj żadnych ubrań ani osłon, przyozdabiają jedynie ciało swe do tańca: mianowicie kobiety nakładają na biodra rodzaj fartuchów z piór, mężczyźni zaś obwieszają swe biodra również



Naczelnny organizator tańców ludowych i mistrz ceremonii w stroju uroczystym (Mombasa — Afryka)

ozdobami, ale zarówno w jednym, jak i w drugim wypadku osłony grają tylko rolę ozdoby.

Pozostaje zatem trzeci motyw, który był właśnie czynnikiem decydującym przy wprowadzeniu stroju u ludzi, a jest nim chęć przypodobania się, chęć wyróżnienia się z pośród innych lub zastraszenia innych.

Najpierw powstało bowiem ubranie, najpierw zjawił się liść figowy, a potem dopiero ludzie poznali uczucie wstydu. A więc powodem, skłaniającym człowieka do sporządzenia sobie stroju, była u mężczyzn przedewszystkiem chęć wyróżnienia się lub zastraszenia innych. Poza tem chciał nieraz człowiek upodobnić się wyglądem do zwierząt, na które polował. U kobiety decydującym motywem do przystrajania ciała była chęć podobania się mężczyźnie.

Pierwszym rodzajem stroju (pomijamy tu liść figowy) był sposób ozdabiania ciała barwami, a pierwszą farbą, użytą w tym celu, była krew ludzka i krew innych zwierząt.

Człowiek zwycięzca malował ciało swoje krwią zwyciężonego, aby zastraszyć tem swych przeciwników.

Potem zabarwiano również ciało na inne kolory, uczyniła to zapewne pierwsza kobieta. Później zdobiono ciało przez nacinanie na



*Strój damy z pierwszej połowy XVI w.
(według rysunku H. Holbeina)*



Strój damski z końca XVIII w.

niem różnych znaków, wreszcie zaczęto też tatuować skórę, osiągając coraz doskonalsze wyniki.

Dziś plemiona pierwotne malują części ciała farbami olejnymi. Poza malowaniem i tatuowaniem ciała poczęto nawieszać na nie różne ozdoby. Najwcześniej zaczęto ozdabiać głowę i szyję, potem biodra. Za przedmioty zdobiące służyły pióra, muszle, zęby zwierząt i ludzi, potem zaś skóry i tkaniny. Myśliwi ubierać się zaczął w skóry zwierząt, aby łatwiej móc podejść je niepostrzeżenie. I tak powoli powstał strój, który coraz to się przekształcał, zmieniał i uzupełniał, nabierał pewnych form, a jak to już wyżej ustaliliśmy, celem stroju tego była ozdoba ciała. I potem dopiero strój przekształcał się w ubranie, gdyż przywykły doń organizm ludzki nie może już obejść się bez ubrania, chroniącego ciało przed chłodem.

Dzisiejszy strój męski, tak mało barwny i mało zmienny pod względem formy, jest już tylko ubraniem, które nosi się dla zwyczaju

i ciepła, natomiast strój kobiecy zachował nadal swe historyczne znaczenie. Barwny i urozmaicony, nie zatracił dotychczas swych cech ozdoby.

W przeciągu tysięcy lat, przekształcając się ustawicznie, stał się strój kobiecy, prócz ozdoby, osłoną przed chłodem i słońcem, dziś zaczyna zatracać już te cechy. Kobieta powraca do natury i zaczyna się publicznie rozbierać.

A dowodem latwości dostosowania się organizmu do zmian temperatury i klimatu jest fakt zupełnego obnażania się kobiety od dołu. Krótka, do kolan spódnica, dąży do swej pierwotnej formy i wkrótce zapewne przeistoczy się znowu w opaskę na biodrach!

Nic więc dziwnego, że, m'wiac obecnie o sukniach i strojach kobiecych, ma się jedynie na względzie motyw przystrajania ciała, nie zaś ciepło lub wstyd. Stąd powstało pytanie dla kogo stroi się kobieta? I oto, co mówią w tej sprawie urocze damy paryskie.

Przypuszczacby należało, że kobieta współczesna stroi się dla mężczyzny, pragnąc więcej mu się podobać. Lecz jeśli oprzeć się mamy na opinii dam paryskich, to przekonamy się, że tak nie jest. Dziś bowiem wszystko dzieje się naopak.

Panie paryskie nie są zgodne w swej opinii na

tę sprawę. Odpowiedzi ich były nawet czasami wręcz sprzeczne. Kiedy jedna z pań na wstępie zaraz oświadcza, iż stanowczo ubiera się nie dla siebie, inna znowu dama za-

znacza dobitnie, że przedewszystkiem dla siebie samej się stroi.

Tych, które ubierają się nie dla siebie, dodając śpieszenie „tylko“, jest jednak, sądząc z odpowiedzi pań paryskich, więcej.—Ubierają się one dla kogoś. Jedne z nich mówią, że przedewszystkiem dla innych kobiet, chcą im zaimponować, chcą świecić przykładem. Jeśli spostrzeżę przebłyśk zawiści w oczach innych kobiet, cieszą się tem.—Cieszą się nawet podobno, widząc, że inne kobiety naśladują je w ubraniu.

Poza tem, niektóre z pań twierdzą, że ubierają się dla „pewnego“ mężczyzny. Nawiasem mówiąc, mężczyzna ów, dla którego stroi się kobieta, bywa czasem bardzo niepewny! Mniejsza zresztą o to, dość, że się ubiera i to właśnie dla „niego“.

A kiedy już spodoba się „jamu“ należycie i pewna jest swego triumfu, wówczas — głosi przekonująco owa dama, dla innych również mężczyzn się stroi, ale zawsze z myślą o „nim“ i dlatego, aby, podobając się innym mężczyznom, zrobić tem przyjemność owemu wybranemu.



Modna dama z 80-tych lat XIX w.



Z niast talerzowanej skóry odpowiednia woalka

Niektórym z pań wydaje się, iż ubierają się właściwie „dla lustra”, w które wciąż spoglądają, jest to jednak równoznaczne z rzekomym ubieraniem się dla siebie samej. Inne znowu stanowczo wyrokuje, że ani im w głowie stroić się dla mężczyzn, gdyż ci nie znają się wcale na modzie i nie potrafią nigdy ocenić, która suknia kobieca jest piękna. Dla mężczyzn, zdaniem ich, ta właśnie sukna jest ładna, którą ma na sobie interesująca go kobieta.

Jedna z uroczych artystek teatralnych mówi, że przedewszystkiem stroi się dla roli swej i sceny. W życiu prywatnym — dla sie-

bie. Zresztą, dodaje natychmiast, ubieram się wogóle mało. Prawdziwy szyk polega właśnie na tem, aby nie być „zbyt ubraną”. Zawsze lepiej jest być ubraną „zamało”, niż trochę tylko „zadużo”. Z mody brać należy tylko sam kontur, sylwetkę i linię.

Panienska pewna odpowiedziała szczerze, że ubiera się dla wszystkich mężczyzn — ponieważ wszystkim podobać się pragnie.

Któraś z dam stwierdza też nie bez słuszności, że kobieta ubiera się, zależnie od okoliczności, dla tych wszystkich ludzi, którym pragnie się podobać, bez względu na płeć.

Wreszcie sympatyczna i piękna zapewne bardzo paryżanka przemawia tonem bardziej od innych przekonującym: stanowczo, z pewnością, ubiera się tylko i wyłącznie dla własnej przyjemności, aby sobie się podobać. O inne kobiety nie dba wcale, a jeśli o mężczyzn chodzi, to „przecież” pragnąć im się podobać, nie potrzebuje się wcale ubierać, tylko przeciwnie — chyba rozbiieraćby się musiała.

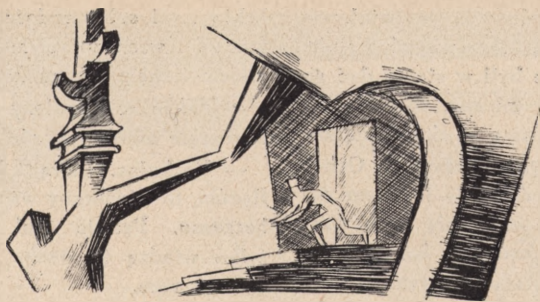
Oto opinia dam paryskich w sprawie pobudek, skłaniających je do strojenia się.

U nas nie próbowano jeszcze przeprowadzić podobnej, ankiety, a szkoda! Dałaby ona zapewne wyniki jeszcze bogatsze i bardziej rozmaite.



fol. Henri Manuel

Paryski model krótkiej sukni



Jerzy Sosnkowski

SZALONA KATEDRA

I

Wiosna 1950 roku nie odznaczała się niczem nowoczesnym. Stara, niepoprawna, romantyczna przyszła na świat z odwiecznym rozmarzonym uśmiechem, rumiana i promienna niby angielska miss z najbardziej konserwatywnego rodu.

Byłem w gościnie u państwa W. Rabka jest śliczna, nie dziwię się więc, że można tam spędzić szereg lat, zwłaszcza w tak wygodnym domu jak ich willa. Tych dwoje dorodnych, miłych ludzi miało przytem rzadki dar gromadzenia około siebie ludzi wyjątkowo sympatycznych.

Dzień uchodzący zęgał świat z żalem i jeszcze na odjeźdźnym zsypywał nań ostatnie, ciepłe, wzmożone pieszczoty. Z obszernej werandy, gdzieśmy siedzieli, rozległy widok na morze falujących wzgórz ujęty był w kapryśnie wijącą się ramę białego betonowego toru automobilowego, łączącego Zakopane z Krakowem.

Wiosna zawsze działa na mnie swoim urokiem nieodpartym i skłania do nieokreślonych marzeń. Odwieczne to prawo—jednak świat nowy, nowa epoka, nowi ludzie, ta generacja, która od początku XX wieku oddziaływa Kulturę i Postęp w siedmiomilowe buty i zmusiła szacowną parę do kangurzych

wprost skoków naprzód—ta nowa generacja już w połowie stulecia złamała wieczyste „opus” Natury. Nie czuli piękna wiosny—wierni jedynie swym maszynom i obliczeniom, zapatrzeni z uwielbieniem w pokratkowany kajet intelektu, z pogardą odrzucili wszelki sentyment, bo szkodzi on nowym bogom Racjonalizmu.

Zwycięstwo intelektu było zdecydowane,—naogół masy ludzkie zmusiły się do życia wyłącznie kategoriami myślowymi. Gdzieś niegdzie jeszcze tęsknota romantyczna zrywała się jak dogasający płomień, lecz marła zaraz w zetknięciu z zimną teraźniejszością. A i to tliła ona tylko w ludziach starszych, pamiętających początek stulecia. Młodzi bowiem byli już zdecydowanymi fanatykami nowych kierunków.

Toteż zdziwiony byłem, gdy w towarzystwie, jakie zastałem u p. W., poznałem młodą, zaledwie dwudziestoparoletnią kobietę, w której skłonność do rzeczy pięknych a minionych bezpowrotnie, wrzała z całą gwałtownością form, wynikająca z jej bujnego temperamentu. Śliczna pani J. była rozwódką, a rozwiodła się z mężem dlatego jedynie, że nie mogła w żaden sposób zgodzić się z jego zmechanizowaną osobowością. To było też powodem, że wszystkich, kręcą-

cych się koło niej młodych, przystojnych i interesujących ludzi, zbywała niechętnie. Szukała uczucia — nie byli w stanie dać go jej ci ludzie rozumu. Śliczna, subtelna jej twarz otulona była zawsze w cichą zadumę.

Szukała chętnie swojego towarzystwa. Och — nie, nie! Mam lat pięćdziesiąt — i jestem zarażony chorobą epoki, — nie cenię może wartości umarłych, ale je rozumiem, bo był przeciwie czas — czas mojej młodości, gdym je czcił razem z innymi jeszcze w początku stulecia.

Nie pragnę ich już dzisiaj, uznaję konieczność dyktatury wszechwładnego mózgu, mam jednak dla sentymentu — atawistyczny prawdopodobnie — sentyment. Stąd moje wiosenne usposobienia, stąd może podświadoma dążność pani J. do obcowania ze mną. Przyznam jednak, że choć z tego powodu czułem do niej jakby cień sympatii, to jednak czasami jej porywczą, entuzjastyczną sylwetą robiła na mnie, na tle ogólnego chłodu i spokoju epoki, wrażenie dysonansu, a więc wrażenie przykre i miałem wówczas, z tytułu urażonego estety, chęć popełnienia jakiejś złośliwości, któraby przytłuszczała nieco tę indywidualność, sterczącą zbyt zuchwale ponad psychiczny poziom ogólny. Może z zadość...

Ciepłe podmuchy wiosny owiewały nam policzki, gdyśmy siedzieli na werandzie, i rozmowa właśnie wkraczała na tematy aktualne.

— Uczucie musiało zginać — dowodził pan W., ultraracjonalista. — Dążeniem ludzkości jest wyzbycie się cierpień, doprowadzenie do błogostanu, do tego, by z całego życia doczesnego uczynić jeden harmonijny akord — trwający do śmierci. Człowiek jest jak meteor upadły z wieczności na metaliczną blachę, a życie jego, to dźwięk, który przytem powstaje. Winien być czysty, głęboki, mocny i pełny. Cierpienie go mąci — więc precz z cierpieniem. A cierpienie — to owoc uczucia, to jego cień. Nie znoszę cierpienia, więc — wstydę się go. Człowiek nieszczęśliwy jest dla mnie tworem obcym, wstrętnym, wrogim. Robi na mnie wrażenie wrzodu na zdrowym, gładkim ciele. My, ludzie nowi, mamy nową religję, której grzechem najcięższym jest nieszczęście. Może to apoteoza sybarytyzmu, ale tak myśli dziś większość.

I kto mąci sobie radość życia daną mu na początku wraz z życiem samym, jest grzesznikiem i zasługuje na karę.

— Jakże tego należy unikać? — zapytała ironicznie młoda rozwódka.

— Rachując. Licząc. Myśląc. Rozumując. Rozum, to odwieczny wróg sentymentu — wróg bezsensu. Panuje nad nim bezwzględnie, tylko władzę tę trzeba mu chcieć i umieć dać w ręce.

— Może.

— Tak. To poprostu obowiązek społeczny. Szaleńców zamykamy za kratą, bo nam szkodzi. A uczucie to szaleństwo, to niepoczytalność.

— A miłość?

— Najgłupsze z głupstw. Niemoralne.

Pani J. Zaśmiała się szczerze. Nerwowo.

— Tak, niemoralnie. Zadaniem naszym jest przysparzać społeczeństwu osobników zdrowych, trzeźwo i *spokojnie*, grunt: spokojnie myślących. Zna pani teorię o kształtowaniu się charakteru dziecka według usposobienia jego rodziców w chwili, gdy dają mu życie? No, więc proszę sobie wyobrazić co za charakter może mieć człowiek poczęty przez dwoje, w których wre ocean, huragan, piekło. Notabene, każde pojmuje sentyment i siebie w nim inaczej, bo to tak jest. Rezultat: kłębek nerów, szaleństwa, sprzeczności. Nowy, pożyteczny filar ludzkości. Winszuję. Nowoczesny warunek małżeństwa brzmi: dobór i uzgodnienie interesów.

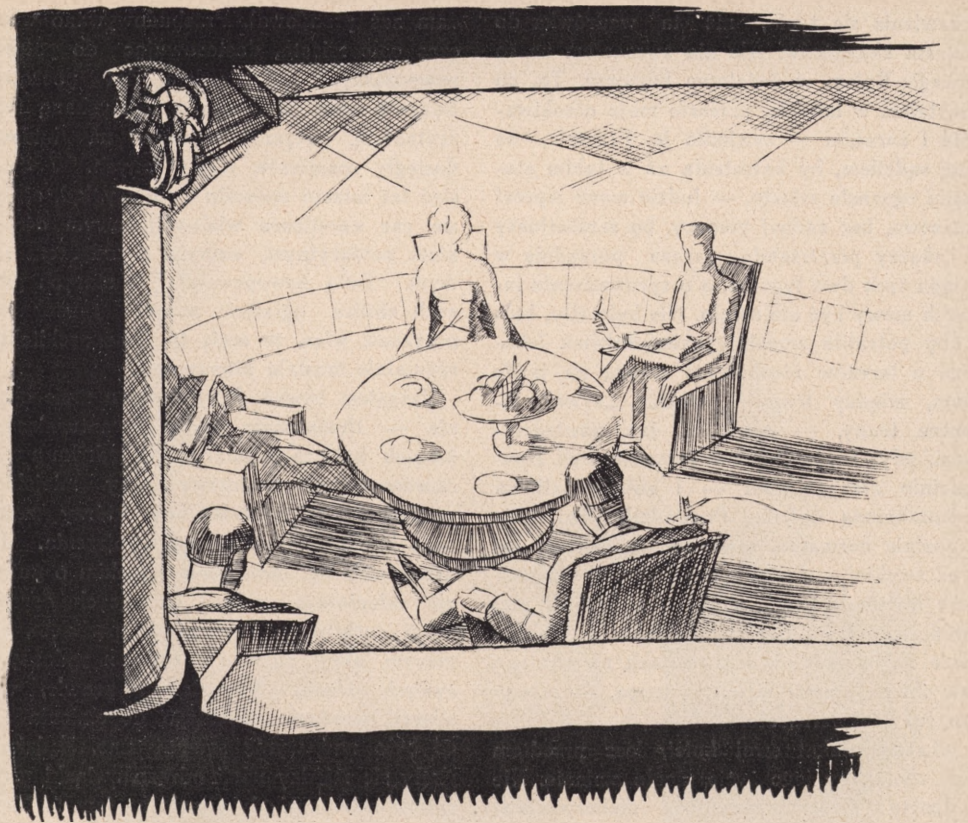
— Ale ja osobiście zato dziękuję — pani J. aż wstała z fotela — chcę, by mnie kochano i tylko pod tym warunkiem pozwolę zbliżyć się do siebie mężczyźnie. To, co pan mówi, jest wstrętne, — i jeśli się pan wstydził cierpienia, to ja się wstydę, że żyję z wami i jestem wam współczesna. Nic mnie z wami nie łączy — i to jest właśnie straszne...

Biedna pani J. już miała łzy w oczach.

— Otóż to właśnie — mruknął pan W.

Czułem, że należy wejść w dyskusję i ułagodzić wzburzone flukty.

— Niech się pani pocieszy — rzekłem po jedynawczo — nie jest tak źle, jak się pani zdaje. Są jeszcze ludzie, którzy umieją kochać. Znałem takich. Historję jednego z nich opowiem państwu, jeśli pozwolicie.



Siedzieliśmy na tarasie...

Piękna pani utkwiała we mnie wdzięczne spojrzenie. Pan W. poruszył się niechętnie.

Moja reputacja jednak, podróżnika i narratora, była silnie ustalona w domu p. W. Wszyscy więc poprawili się w fotelach z zainteresowaniem.

— Pamiętacie, państwo, zapewne, że lat temu osiem Amsterdam nawiedziła straszna epidemia cholery. Zaraza przyszła tak nagle, tak niespodziewanie, że żadne najsprężysiej zorganizowane zabiegi sanitarne nie dały rezultatów. Ludzie marli setkami i tysiącami w ciągu doby. Zawlekli ją uciekający bolszewicy z Rosji podczas masowej i panicznej ucieczki komunistów, gdy carcyści doszli do władzy, biorąc krwawy i bezlitosny odwet za długie lata mordów. Za terror płacono terorem, za każdy popełniony przez 30 lat ich władzy mord płacono skrupulatnie i z nawiązką. Niezliczone tłumy tych obdartusów, głodnych i brudnych, wyprysły z granic Rosji

jak woda wypryskuje z naczynia, w które rzucono duży i ciężki kamień. Władze rady sobie dać nie mogły z tym zalewem. Rozproszyli się i po Amsterdamie, zawlócząc w najcięższe kąty brud, nędzę i... chorobę.

W tym właśnie czasie wybrałem się do pięknego miasta.

Zawsze miałem upodobanie do awanturniczych sytuacji, — zdało mi się to nad wyraz interesującym pobyć czas jakiś w mieście wyklętem. Bowiem Amsterdam odcięty był od reszty kraju. Pociągi dowoziły tylko żywność i tych, co do miasta wjeżdżali, — wyjechać nikomu nie było wolno — aż do końca epidemii. Narażałem się na pewną śmierć, ale chęć wrażeń przemogła. Nie zapomnę nigdy spojrzeń konduktorów, rzucanych na mnie, jedynego pasażera całego pociągu. Niewątpliwie mieli mnie za samobójcę i to warjata-samobójcę, bo przecie istniał cały szereg przyjemniejszych sposobów po-

zbawienia się życia, niż ta wędrówka do miasta skazańców. Ale nie zwracałem na to uwagi. Byłem w świetnym humorze. To, co zastałem w mieście, przeszło moje oczekiwanie i zarazem — zawiodło je. Przeszło, — bo nie sądziłem, by katastrofa aż w takim stopniu ogarnęła miasto, — ludzie marli wprost masowo, bez żadnej pomocy, bo sanitariuszy i lekarzy przetrzebiła zaraza porządnie w ciągu tych dwu tygodni, a o sprowadzeniu innych mowy być nie mogło. Nie było siły, która by potrafiła zmusić jakiegokolwiek lekarza z terenów nieobjętych zarazą na jazdę tam, między trupy i między „żywe” jeszcze trupy, — zawiodło, jak powiedziałem, gdyż biedni Amsterdamczanie byli kompletnie zrezygnowani — i zobojętniali na nieuniknioną śmierć. Prowadzili więc życie zupełnie normalne, towarzystwa zbierały się jak zwykle, — teatry grały i życie gospodarcze kwitło w całej pełni, — a że ktoś tam podczas wizyty czy przedstawienia w teatrze nagle padał w konwulsjach na ziemię i za chwilę służba wynosiła trupa, — nikogo to już nie wzruszało.

Każdy czekał swej kolei, lecz przedtem nie chciał, by jego życie uległo zmianie. Nie odparte niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo, o którym upewniono się, że uniknąć go nie sposób, przestało trwożyć ludzi. Patrzało mu śmiało w oczy, jak patrzy się dziś bez strachu w oczy świadomości, że przecie kiedyś pomrzemy.

Wrażenie więc oczekiwanych nie miałem, życie szło swoją koleją, — a śmierć obok w zupełnym porozumieniu, — kto upadł, składało go na ogólny wóz, wywożono trupy za miasto i tam palono na olbrzymich stosach. Nocami stolicę otaczał wieniec łun.

Gdy więc na ten temat spotkał mnie zawód, zasymilowawszy się z usposobieniem ogółu, zająłem się życiem towarzyskiem i oglądaniem miasta. To ostatnie było nader ciekawe, a to z następujących względów.

Znów, jak państwo wiecie, w roku 1926 to, co nazywamy nowoczesną architekturą, zyskało swój wyraz i formę ostateczną. Powstał styl nowy, styl „nowego człowieka” — zarazem był to okres wzmożonego ruchu budowlanego na całym świecie. Holendrzy i Duńczycy najwięcej pracy i zasług położyli nad stworzeniem nowego kierunku, Amster-

dam zaś przodował. Przebudowywano wówczas całe miasta, dostosowując do potrzeb nowoczesnych. Amsterdam dał początek. Burzono całe dzielnice z niesłychaną rozrzutnością, pożyczki rządowe na budowę dosięgły rozmiarów niesłychanych. W dzieśnięć lat miasto zmieniło swój wygląd, stając się par excellence wielomiljonowym ośrodkiem nowożytnym, wzorem i podziwem samym. Taką nowopowstała na starych gruzach stolicę oglądać miałem sposobność, przyznam więc, że mnie to, jako architekta, specjalnie musiało interesować.

Zacząłem bywać. Przyjmowano mnie chętnie — tłumaczenia moich awanturничzych książek były tu popularne. Na jednym z wieczorów u prezydentostwa rady miejskiej, poznałem dwu młodzieńców, którzy zajęli mnie bardzo od pierwszego spojrzenia. Jeden z nich był blondynem wysokim o potężnie sklepionem czole i marzących oczach, drugi ruchliwym, żwawym brunecikiem, śpiącym skry humoru i życia z radosnych, żywych źrenic. Nierozłączni prawie, wywierali wrażenie zupełnego dopełnienia się, co było nad wyraz sympatyczne. Zadziergnęły się między nami odrazu związki przyjazne, zwłaszcza gdy wyszło na jaw, że blondyn wysoki jest moim kolegą po fachu, architektem. Znali prawie wszystkie moje prace i wyrażali się o nich entuzjastycznie, co mnie skądinąd dosyć krępowało.

Zauważyłem, że miły architekt musi mieć jakąś głęboką troskę. Wyglądała ona jak kobold złośliwy, ze zmarszczonych brwi, z warg zaciśniętych prawie boleśnie.

Uprzejma pani domu dała mi o nich wyczerpujące informacje.

3.

— Jakto, nie widział pan jeszcze naszej katedry — spytała ze zdumieniem.

— Pani, jestem tutaj dopiero dwa dni.

— To poprostu obowiązek. Sam się pan przekona. To nasza дума, to cud. Tłumy codzień modlą się pod nią. Jest doprowadzona dopiero do połowy, jedna wieża dzwonnicza gotowa zupełnie. Bezpośrednio przed wybuchem epidemii zawieszono tam dzwon ze strasznymi trudnościami, bo olbrzymi i ciężki. Że też pan nie widział! To on ją buduje!



Codziem czerwony aparat wlatywał nad miastem

— Ma wielkie zmartwienie — ciągnęła dalej, patrząc ze współczuciem na młodego architekta. — Dostał dziś wiadomość, że jego narzeczona zaniemogła. Nie wpuścili go do niej. Doktorzy twierdzą, że to influenza, — ale — machnęła beznadziejnie ręką — oby tak było! Myśleć nie chcę o tem, co będzie, jak się okaże, że to zaraza. A pomrzemy na nią wszyscy — to pewne. Jesteśmy na to zupełnie przygotowani. Ale jeśli ona umrze przed nim...

— Tak ją kocha?

— Kocha, — to zamało. Niema określenia na to uczucie. Mieli się pobrać za parę miesięcy. On jej kiedyś uratował życie. To nie miłość, to raczej zapamiętanie jakiegoś, to moc, to potęga, to coś, co by z życiem tylko ustąpić mogło. Oni się kochają, a my wszyscy kochamy ich.

4.

Kaf i Keat byli przyjaciółmi od szkolnej ławy. Kaf marzyciel, bardzo serjo pojmujący swoje przyszłe obowiązki i życie, Keat lekomyślny, wesoły, miły chłopak, trochę pusty, ale dobry. Przyjaźń trwała i na ławach politechniki. Skończyli obaj z odznaczeniem. Kaf jako architekt, Keat jako inżynier komunikacji.

Nie było ludzi bardziej popularnych od nich w mieście. Kochano ich. Byli ulubieńcami. Ta para energicznych, dzielnych, młodych ludzi sugerowała ludzi blaskiem życiowej siły. Kaf był zapalonym wielbicielem lotnictwa, codziennie robił napowietrzne przejażdżki nad miastem na swoim, czerwono malowanym aeroplanie.

Codziennie czerwony aparat wykonywał tyśiączne ewolucje nad stolicą, pławiąc się w obłokach niby krwawy ptak. Codziennie liczne tłumy podziwiały śmiało manewry swego ulubieńca, drżąc ze strachu przy bardziej karkołomnych sztuczkach. Wszyscy przechodnie, szoferzy, konduktorzy tramwajowi, chłopcy do posyłek, wszystko z nosami zadartymi do góry obserwowało czerwony aparat.

Kaf kiedyś wziął ze sobą aparat do pisania dymem reklam na niebie, i w samo południe, gdy ruch na ulicach panował największy, wypisał olbrzymimi literami:

ŚMIEJCIE SIĘ.

I całe miasto się śmiało. Śmiało się, zominając o własnych troskach, do tego kochanego, zdolnego, miłego chłopca.

Przy przebudowie stolicy położyli duże usługi.

Nic więc dziwnego, że magistrat polecił im wykonanie dwu najważniejszych prac. Kafowi polecono zbudować katedrę, Keatowi oddano budowę nowej, wielkiej linii Metro, kolei podziemnej. Przystąpili razem do robót.

5

Gdy przyszedłem nazajutrz na siódmy transjekt*), jakieśmy się wczoraj umówili — obydwaj przyjaciele już tam stali, oparci o żelazną barjerę. Odkąd budowa katedry wzniosła się ponad dziewiąte piętro, siódmy transjekt stał się codziennym celem spacerów obu inżynierów. Stąd widok na katedrę był specjalnie efektowny i Kaf, rozkochany fantastycznie w swem dziele, za żadne skarby nie opuściłby codziennej tam wizyty.

Szeroka ulica, podobna raczej do szczeliny górskiej, gdzieś w zakątkach Kanady, dzięki niebotycznym drapaczom nieba wznoszącym po obu stronach swe wielopiętrowe cielska, poprzecinana była transjektami. Nad głowami, wyżej, niżej — garbate łuki, krzyżując się ze sobą w najdziwniejsze linje, dźwigały setki lamp, latarni, reklam. Taśmy, smugi, koliska, punkty świetlne zlewały do linie ulicy potokiem lśnień różnokolorowych, łamiąc warkotliwą atmosferę wielkomięską w milion form geometrycznych o różnym natężeniu światła i o różnej barwie.

Dołem, nieprzebranie, płynęła rzeka automobilów, po kilka w rzędzie w tę i tamtą stronę. Lśniące połyskliwe wypukłe dachy limusin składały się na skorupiastrą łuskę tego olbrzymiego gadu bez końca i początku, wiecznie wijącego się wokół olbrzymich bloków kamienic, poczonkowanego na tyle odnóg, ile ulic było w gigantycznym mieście. Potwór ten nowoczesny trwał w ciągłym ruchu, nie znając spoczynku, sapał, paraskał

*) W nowoczesnych miastach chodniki dla pieszych są podniesione do wysokości 1 piętra, by nie zawadzać na dole ruchowi kołowemu. Co pewien czas chodniki łączone są mostkami, noszącymi nazwę transjektów.

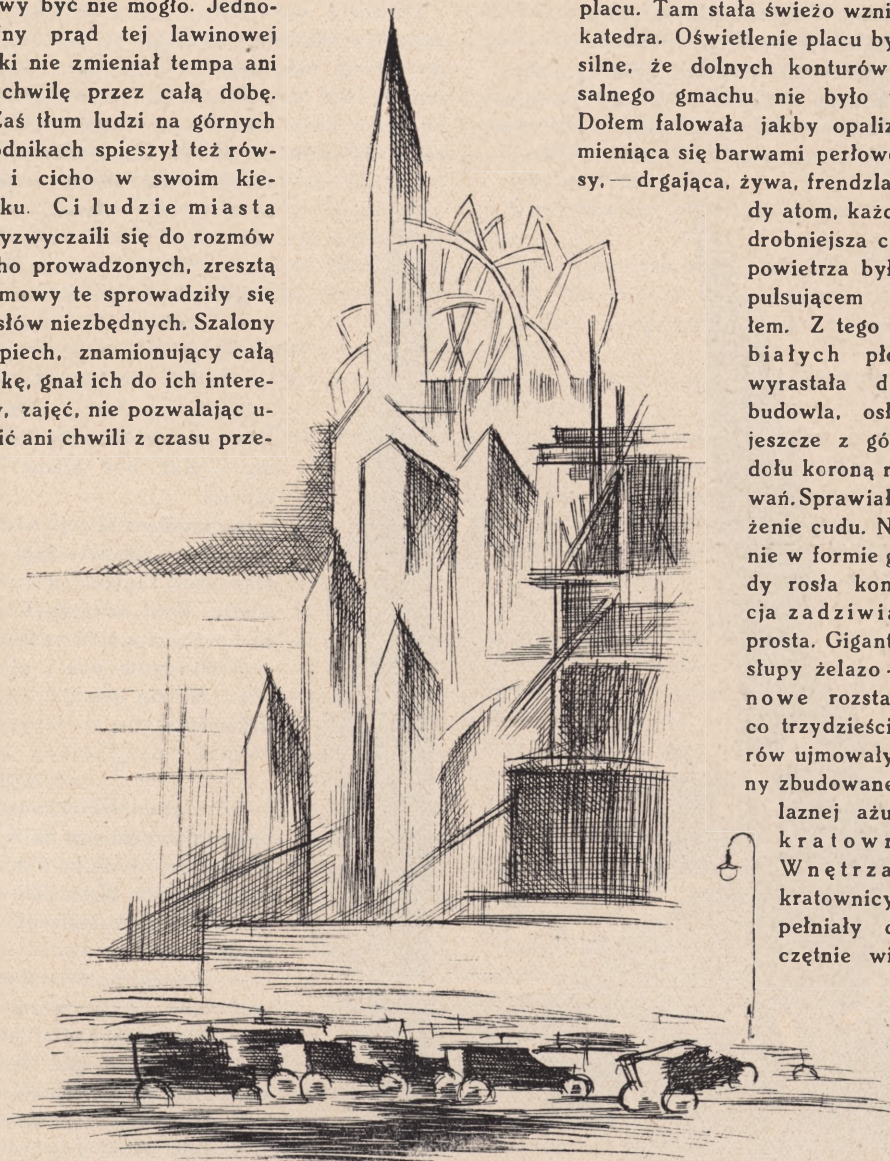
tysiącznemi płucami motorów, młaskał kołami po wyzwierciadlonym asfalcie. Błyśkał przewrotnie i fałszywie milionami oczu, umieszczonych na każdym przegubie jego gibkiego korpusu. Mimo tej masy maszyn i ludzi, mimo tego piekła ruchu, nie było tu specjalnego hałasu. Maszyny posiadały doskonałe tłumiki, sygnałów ostrzegawczych nie było, bo tam na dole nie było kogo ostrzegać, a o wyminięciu się dwu maszyn mowy być nie mogło. Jednostajny prąd tej lawinowej rzeki nie zmieniał tempa ani na chwilę przez całą dobę.

Zaś tłum ludzi na górnych chodnikach spieszył też równo i cicho w swoim kierunku. Ci ludzie miasta przyzwyczaili się do rozmów cicho prowadzonych, zresztą rozmowy te sprowadziły się do słów niezbędnych. Szalony pośpiech, znamionujący całą epokę, gnał ich do ich interesów, zajęć, nie pozwalając uronić ani chwili z czasu prze-

znaczonego na robotę. Epidemja też robiła swoje. Sunęli więc prędko a cicho, z pochylonemi głowami, mieniąc się jak wielka stugłowa salamandra w blasku reklam rzuconych z wielkich proektorów na chodniki.

Perspektywa wielkiej ulicy zwężała się niby wewnątrz rury teleskopowej o kwadratowym przekroju. Roniąc obficie perły lamp, diamenty setek okien, riwieri reklam, u wylocu rozlewała się w mleczną jaśń olbrzymi placu. Tam stała świeżo wzniesiona katedra. Oświetlenie placu było tak silne, że dolnych konturów kolosalnego gmachu nie było widać. Dołem falowała jakby opalizująca, mieniąca się barwami perłowej masy, — drgająca, żywa, frendzla. Każ-

dy atom, każda najdrobniejsza cząstka powietrza była tam pulsującym światłem. Z tego morza białych płomieni wyrastała dopiero budowla, osłonięta jeszcze z góry do dołu koroną rusztowań. Sprawiała wrażenie cudu. Na planie w formie gwiazdy rosła konstrukcja zadziwiająco prosta. Gigantyczne słupy żelazo-betonowe rozstawione co trzydzieści metrów ujmowały ściany zbudowane z żelaznej ażurowej kratownicy. Wnętrza pól kratownicy wypełniały doszczętnie witraże.



A katedra rosla...

W dzień świątynia wypełniona była orgią barw. Cień — symbol zła, wyklęty został z wnętrza Pańskiego domu i to było celem architekta. Wieczorem i w nocy, królestwo barw wylewało się na zewnątrz. Gdy była oświetlona od środka, przy wieczornych modłach, wyglądała niby cudna bańka mydłana, zawieszona nad placem. Gdy były w nią światła otaczających ją lamp, świeciła niby tęczyowy klejnot, niby potężny brylant, lśniąco i migotając świetlnymi błyskami.

Podłużne prostokąty witrażowych ścian, wyrastające na ramionach gwiazdy, były w górę licznymi uskokami. Całość posiadała niesłychany wyraz, wyraz modlitwy tak mocnej, tak nieodpartej, tak strzelistej, iż nie-

podobieństwem zdawało się, by mogła być niewysłuchana. To też, mimo, że budowa daleką była od ukończenia, codzień wkoło katedry zbierał się zastęp pobożnych, jakby chcąc prośby swoje wesprzeć na potęgę katedry, jakby wierząc w to, iż modły tutaj zanoszone muszą być przyjęte. Zwłaszcza teraz, podczas zarazy, tłumy otaczały ją dzień cały, mimo, że robota szła całym pędem, nic nieumniejszonym okropną klęską.

Dziwne i nieokreślone wrażenie zrobił na mnie ten widok pulsującego życiem miasta, po którym jednocześnie grasowała okropna śmierć, — i ten bajeczny gmach, rosnący niby cudny kwiat na zatrutym bagnie. Na dole co chwila zatrzymywał się nagle jakiś automobil, — to szofer rażony chorobą; co moment równą falę przechodniów mąciło coś, — coś ją zatamowało zbałwaniło, — to padł ktoś z publiczności. Usuwano auto, usuwano trupy, i prąd parł dalej — ku śmierci.

Spojrzałem na przyjaciół. Keat miał nieszczególną minę, — Kaf był błądy, jak płótno.

Podszedłem bliżej. Ale zapytania o zdrowie jego narzeczonej zamarły mi na ustach. Keat odciągnął mnie na bok i szepnął desperacko.

— Nie mów pan z nim o tem. Ma się gorzej. To nie influenza.

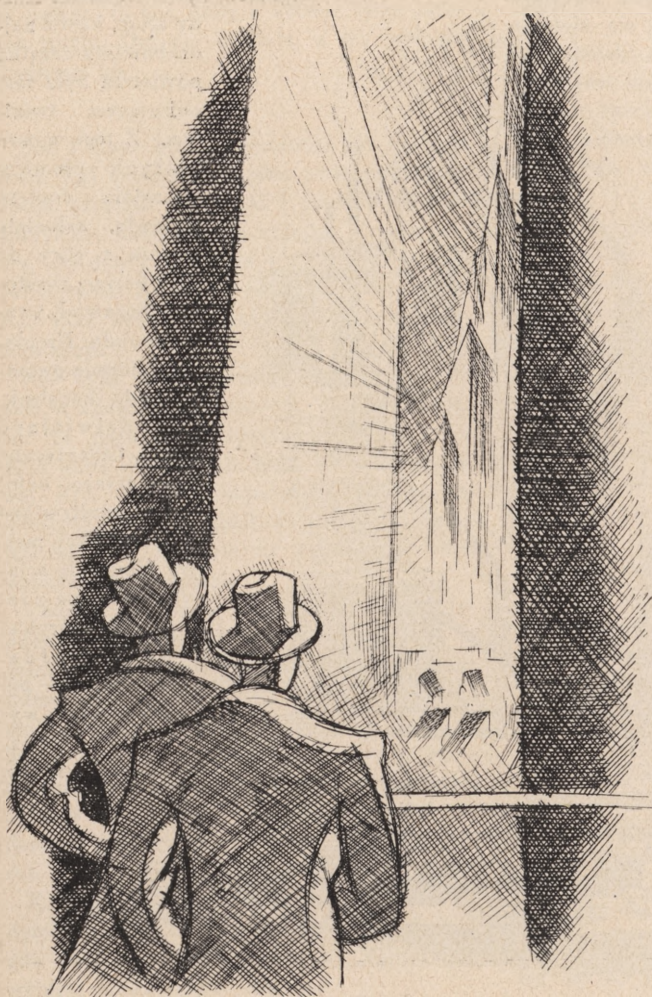
6.

Gdy nazajutrz o zwykłej porze zjawiłem się na transjেকcie, kręcił się po nim nieporadnie sam Keat. Złowrogie przeczucie ścisnęło mi serce.

— Umarła, panie. Umarła dziś rano. Teraz ją grzebią.

— Ale gdzie Kaf? Jestem o niego niespokojny. Nie widziałem go od rana. Gdzieś zniknął. A wie napewno.

Zrobiło mi się przykro nad wyraz i niewyraźne przeczucie groźnej i gorszej jeszcze



Dwaj przyjaciele już tam byli...

katastrofy wizyjnie wypełniło mi czaszkę. Teraz dopiero poczułem obok siebie złowrogie widmo zarazy, wpatrzone w nas lepkimi, złośliwymi, zielonemi oczami i rozwierające zwolna długie, brudne, kościste paluchy... Nagle dwa potężne, głębokie, metalowe dźwięki przeszły powietrze. Spojrzeliśmy na siebie z przestachem. Znowu... Ludzie stawali. Słuchali... Nastąpił szereg pomniejszych, zdławionych, chrapliwych. I znów lęk głęboki.

Ludzie zwracali głowy w kierunku katedry.

Tak — to grał wielki dzwon na wykończoną wieżę, — dzwon olbrzym grał po raz pierwszy.

Dziwny to był głos. Majestat śmierci, lecz śmierci rozpaczliwej, bojaźliwej, zbuntowanej, grał w szlachetnym metalu. Śmierć skarżyła się wyraźnie — że sobą być musi. Wielki Majestat pragnął złożyć swe berło, uciec od swej potęgi. Sam ból i sama skarga poruszała sercem dzwonu.

Keat w przerażeniu strzepnął rękami.

— To on gra; On, Kaf! Gra na jej grorzeb!

Mróz przejął mi kości i skuł końce pałców.

7.

Zaraza, jak podstępnie i nagle przyszła, tak nagle znikła. Jakby przestraszyła się tego, co uczyniła, jakby spłoszył ją bolesny dźwięk dzwonu. A w miasto poszła legenda. Legenda, że to katedra epidemję zwyciężyła, że Kaf uratował stolicę. To też czczono teraz budowlę prawie bałwochwalczo.

Ludzie się otrząsnęli. Popalono trupy, odbyto kwarantannę, przywrócono normalne połączenia z resztą kraju. Wprawdzie, jak echa oddalające się burzy, która jeszcze z oddali pomrukuje groźnie, i straszny powrotem, — tak i tu, tam i owdzie zmarł dziesiątek ludzi, ale cholera uszła bezpowrotnie. W parę miesięcy miasto znów pulsowało wzmożonym tętnem. Ja pozostałem. Interesowałem się dalszym przebiegiem całej historii. Chodziłem na transjekt. Przez pierwsze trzy tygodnie Kaf nie pokazywał się wcale. Ale potem wrócił. Był bardzo blady, nic nie mówił, oczy świeciły mu tylko niesamowicie, wyglądał na śmiertelnie znużonego. Pracował też bez wytchnienia. Z budowy nie schodził całymi dniami, a robiono tam teraz na trzy zmiany. Na namowy Keata, który

trwożył się jego stanem, do wyjazdu choćby parodniowego, odpowiadał tylko przeczącym ruchem głowy, wskazując na katedrę. Całą swą miłość przelał teraz na martwe mury. Keat wzdychał, ja uspokoiłem się, bo wszystko na pozór szło normalnie.

Kaf budował, Keat z podkopami swojemi zbliżał się już do placu, na którym stała katedra, a który miał być węzłowym punktem w nowym Métro. Robota wrzała, a ja wstydzilem się swojej beczynności, tkwiąc obok tych dwu ludzi, tak pracowitych i produktywnych. Młody architekt musiał przeboleć doznana stratę i myślałem sobie, że praca umiłowana najlepiej zbliznić potrafi dotkliwej bruzdy w jego duszy.

Inaczej było.

Obserwowałem pilnie postęp genialnej budowy.

Gmach rósł jak na drożdżach. Robotnicy serce wkładali w pracę. Uważano to za zaszczytć moc przyłożyć się do świętego dzieła.

Legenda o cudownej katedrze szła po całym kraju.

Zewsząd napływały kolosalne sumy. Kaf miał zupełnie rozwiązane ręce i nie było takiego luksusu, którego by nie mógł zastosować do swego ukochanego tworu.

Lecz, gdy kiedyś w zadumie patrzył na błyszczące ściany z siódmego transjektu, w mym architektonicznym umyśle zaczęły budzić się dziwne wątpliwości.

Wzniesiono się już nad piętnaste piętro — katedra smukłała coraz bardziej. Ale tam na wierzchu — — —

Nie — to nie były rusztowania — stanowczo. To były konstrukcje żelbetowe — lecz jakież dziwne!

Jakby masa zeber rozpinała się wkrąg wysmukłej wieży dzwonnicy. Żebra te wyrastały z masy budynku, z ciała wieży, gięły się, wiły, niby powykręcane uderzeniami wiatru, łączyły się, rozchodziły, — dziwaczne w formie nieusprawiedliwionej niczem, cieńsze, grubsze, zwinięte w gwint, zygzakowate, zazębiające się nawzajem.

Była ich masa. Wieża, otoczona niemi, zdawała się wyrwać z setki ramion, sięgających po jej smukły kształt, wczepionych w nią histerycznymi palcami, starającymi się ściągnąć ją w dół. Pięta się ku niebu, błagała o pomoc. Żelazo-betonowe żebra w blasku, biją-

cym z dołu, wieczorem, wyglądały jak żebra kościotrupa, bielejące matowo na piasku w promieniach księżyca.

Co to być miało?

Łamałem sobie głowę i nic wymyślić nie mogłem. A żebra rosły, zmieniły się potem w pierścienie, w trójkąty, — w spirale, w jakieś harmonji, — to prawda, — lecz harmonji warjackiej. Okropne podejrzenie spędzało me myśli.

Wreszcie po paru dniach zwróciłem na to uwagę Keatowi.

— I ja to zauważyłem — lecz przyznam się panu: boję się go o to pytać.

Wtem nadszedł szybkim krokiem Kaf, jakby nie widząc nas, oparł się o barjerę i patrzył na katedrę, a wzrok wyrażał bezmierne zadowolenie. Zawielkie zadowolenie, — raczej pychę.

Keat nieśmiało położył mu rękę na ramieniu.

— Kaf, powinienes odpocząć.

Zachnął się niecierpliwie.

— Jesteś zmęczony. To się odbija na robocie. Powinienes to zrobić dla niej, jeśli nie dla siebie. Od dwu tygodni nic się nie ruszyło naprzód, prócz tych dziwactw na górze. Nie wiem, co masz na myśli. Musi to mieć cel jakiś, skoro tak robisz. Ale nie rozumiem go. Inni też nie wiedzą, co to ma znaczyć...

— Jak to co! Nerwy.

— Nerwy?

— No tak, tak! — błysk gniewu nagłego żółtym plomykiem zadrgał mu w żrenicach —

— Że ty tego nie pojmujesz! Czy myślisz może, że budynek to kawał muru i nic więcej? Mylisz się — zachichotał, a nam dreszcz przebiegł po karku — mylicie się. Mur żyje, żyje jak człowiek. Mur ma swoją duszę, swoje serce, swoją twarz. Mur ma swój organizm. Więc ma i nerwy. Dużo nerwów, masę nerwów. Spokojnych i obolałych, zdrowych, chorych. Więc i moja katedra. Chcę ją pokazać ludziom. To są nerwy, tak, nerwy, Keat, napewno nerwy! A że są chore? Moja katedra jest chora... prawdopodobnie na cholerę...

Spojrzałem w oczy Keata. Były olbrzymie i jak zły pies wyglądało z nich przerażenie. Moje nie musiały wydawać się lepiej...

Nie ulegało wątpliwości — Kaf był obłąkany. Był to specjalny rodzaj choroby —

t. zw. paranoia, obłąd spokojny, manja prześladowcza, przyczem chory sprawia wrażenie człowieka zupełnie zdrowego i normalnego.

Było coś niesamowitego w tej pracy obłąkanego. Nikt mu narazie nie przeszkadzał, a robota szła. Rosły dziwactwa. Wkońcu jednak poznano się na tem. Ale miasto kochało Kafa, kochało katedrę, było mu wdzięczne. Szanowano jego ból, jego usiłowania, nie chciano mu przeszkadzać. Władze były zaambarasowane. Co robić? Probowano zakazać architektowi dalszej roboty, roześmiał się tylko. Wsadzić go do domu warjatów nie było zasady: paranoia nie należy do kategorii chorób leczonych w zakładzie. Wstrzymano robotnikom płacę. Robili darmo, uważali to za rzecz świętą, przysięgli doprowadzić budowę do końca.

Należało jednak przedsięwziąć jakieś środki zaradcze. Otoczono kordonem katedrę i nie dopuszczono robotników. Popołudniu wybuchła w mieście rewolta. Fabryki stanęły. Wszyscy robotnicy, cały proletariat jak jeden mąż stanął pod katedrą. Rozpędzono policję. Dwu policjantów raniono kamieniami. Zersztą policja też niechętnie spełniała rozkazy. Triumfalnie wkroczone na budowę. Kaf komenderował. Teraz już tłumy pracowały. Kobiety nosiły cement, małe dzieci pomagały. Budynek oblepiony był formalnie rojem pracowników. Władze były bezsilne.

I szalona katedra dźwigała się coraz bardziej w górę. Potworne łuki, spazmatycznie wykrzywione ramiona, skarykaturowane przypory, mostki i żebra, żebra, ciągle żebra składały się na jakiś potworny taniec bezsensu, orgię dziwołagów. Mieszanina stylów gmatwała się w przedziwnie skombinowanych skojarzeniach, reminiscencje architektury wszystkich nacyj i wieków wynaturzone, wykoszlawione piętrzyły się nieobliczalnymi tarasami, stopniami do góry. Jakies betonowe płytki, wieżyczki chińskie przenikały się z korynckiem koronkami olbrzymich rozmiarów, obejmowały nawzajem w miłosnym uścisku. Tu wyglądało to na ekstazę, tam na przekleństwo, ówdzie na bunt, na bluźnierstwo.

A Kaf biegał dniami, nocami w tym fantastycznym kamiennym lesie wytworów chorej swej wyobraźni. Robotnicy go uwielbiali.

Sypał pieniędzmi — trwonil je. Bezsenso-
wmy kształt jakiś okładał kararyjskim mar-
murem, dziwne iglice zdołał malaturami,
stawiał kosztowne witraże w fikcyjne okna,
szczerozłote kule umieszczał tam i siam.

Szał architektoniczny opętał go zupełnie.
Dziwolał rósł, rozpieął się, potężniał. Z siód-
mego transjektu, gdzie bywałem wytrwale,
wyglądało to jak
miraż, jak fan-
tom powstały w
gorączce suchot-
nika.

Władza kręci-
ła się bezradna.
Za Kafem cho-
dziła tajna, moc-
na straż bezpie-
czeństwa, zorga-
nizowana świet-
nie przez robot-
ników. Roje cie-
kawych zapeł-
niały codzień
plac, do tego
stopnia że ko-
munikację mu-
siano przerwać
w tem miejscu
iskierować przez
inne arterje.

Stolica żyła w
podnieceniu.

9.

Któręgoś wie-
czoru, gdy m po-
grążony w kon-
templacji stał na transjekcie, Keat trącił
mnie w ramię. Był zmieszany.

— Wie pan — magistrat włożył na mnie
obowiązek wpłynięcia na Kafa. Mówią, że
przy jego charakterze tylko ja, przyjaciel,
mogę coś poradzić. Ale jak ja to zrobić?
Jak i co mu powiem? Biedny Kaf! A z dru-
giej strony, rzeczywiście, budowa musi być
przerwana, no bo jakże wkońcu? Czem się
to skończy?

Pokiwałem głową. Zapewne...

— Mam wprawdzie plan, ale boję się sam
go wykonać. Chyba że pan mi pomoże...

Spojrzałem pytająco.

— Och, nic, pójdzie pan tylko ze mną.
Nie będę miał sumienia sam mu w oczy spoj-
rzeć. Błagam pana.

Zgodziłem się.

Znaleźliśmy Kafa w labiryncie wiązań,
przy zaczętej konstrukcji, z której żelazne
uzbrojenia sterczały groźnie wykrzywione,
niby zastygłe krzyki. Siedział na pustaku be-

tonowym jak na
koniu. Gryzmo-
lił coś na nim
węglem. Jakąś
nową formę.
Podniósł głowę.
skinął nam po-
śpiesznie, i wró-
cił do swej ro-
boty.

Keat zaczął.
Nerwowo kręcił
papierosa.

— Słuchaj
Kaf, przychodzę
do ciebie jak do
przyjaciela.

Kaf objął go
za szyję i poca-
łował. Zrobiło
mi się głupio.

— Keat, prze-
cie wiem, że cie-
bie jednego tyl-
ko mam na świe-
cie. Czego chcesz
odemnie? Ta ho-
łota mnie nie ro-
zumie Ty jeden.

Keatowi łzy
wytrysły w o-

czach.

— Kaf, muszę ci zrobić wielką przykrość.
Wiesz, jestem z moim podkopem twoim pla-
cem. Znasz mnie, wiesz jaki byłem zawsze
lekkomyślny i niedbały. I teraz...

Architekt wytrzeszczył nań oczy, przecz-
uwając cios. Wyciągnął szyję jak wół oczeku-
jący bezradnie ubodzenia rzeźnika.

— I teraz — głos Keata zatrzymał się
z emocji — ja zrobiłem złe obliczenia. A pod-
kop gotów. Jeżeli jeszcze jedno piętro nad-
budujesz, wszystko runie. Runie katedra
i moje Métro diabli wezmą a przecie...

Nie dokończył i cofnął się. Chwycił moją



Kaf biegł po tym fantastycznym kamiennym lesie...

rękę i tak staliśmy oślupiali. Kaf zsiniał cały. Gałki oczne wyszły mu na wierzch. Był straszny. Zęby mu szczękały. Pochylił się naprzód i szedł na Keata. Porwał wielki młot kamieniarski oparty obok i zamierzył się straszliwie. Keat westchnął cichutko, ale nie ruszył się.

Wysoka postać Kafa chwiała się. Czekając ciosu i w duchu modliłem się już za Keata.

Nagle młot głucho uderzył o deski ruszowania. Kaf opadł na pustak i gorące łyż potokiem jęły mu spływać po policzkach.

— Ach, Keat, jak mogłeś...

A Keat już klęczał koło niego i obejmował go i tulił i płakał razem z nim. Ja wołałbym, żeby nagle wróciła zaraza i zabrała nas trzech...

10.

Nazajutrz, na placu budowy, zamiast zwykłego grzmotu młotów i szczęku żelastw panowała głucha cisza. Kaf zawiesił roboty. Grupki zdenerwowanych robotników snuły się wahające, zdumione.

— Co mu się stało? Co się stało?

Władze odetchnęły.

Parę dni trwał taki stan.

Keat przybiegał do mnie codzień, codzień bardziej zdenerwowany, zrozpaczony.

— Kaf się nie pokazuje. Niema go, Boże, co ja zrobiłem! Chcę mu pójść powiedzieć, że to nieprawda, niech się dzieje co chce, ale go znaleźć nie mogę!

— Może przyjdzie na transjekt.

— Chodźmy, chodźmy!

Poszliśmy. Kafa nie było. W zachodzie słońca dzika sarabanda na szczycie katedry błyszczała purpurowo, gniewnie.

Tego dnia zachód był rudy, a słońce jakby spieszyło do spoczynku.

Nagle zabrzmiał głos znajomy... To on, dzwon, wielki dzwon katedry dzwonił... Jak wtedy! Ale inaczej. Chwiejnie, delikatnie, niezdecydowanie, jakby serce jego poruszała czyjaś słaba ręka, ręka dziecka. Dźwięki się zrywały, rozmazywały w poszumie wichru.

Keat zakręcił się w kółko, jak fryga.

— Jest tam! Gra! Lecę!

Chwyciłem go za dłoń.

— Myślę, że lepiej zostawić go samego.

Jest silny. Przegryzie się.

Keat uczeplił się tego.

— Myśli pan? Tak, zapewne! Oho, ja go

znam! To mocny człowiek! Co za porównanie ze mną! Może rzeczywiście...

Biedny Keat sam niedaleki był od postradania zmysłów. Dzwon grał. I grał jeszcze długo. Dopóki grał, staliśmy na transjencie.

Następnego dnia, w południe samo, dzwon ozwał się znowu.

I znowu jakiś wiatr niesamowity rozpętał się nad miastem.

Po godzinie granie się urwało.

Ludzie patrzyli na katedrę, spoglądali po sobie.

Na cichym, pustym placu dzwon znów raz uderzył. I jeszcze raz.

Wieczorem dzwonnica była cichutka i wyrywała się ku niebu z drapieżnych, opasujących ją chciwie ramion...

Kiedy następnego dnia podczas naszego postoju na transjencie dzwon ozwał się znowu zcicha, żałośnie, Keat nie wytrzymał. Zbiegł prędko nadół. Ledwie zdążyłem skoczyć za nim do auta. Pomknęliśmy do katedry.

Drapaliśmy się po stromych schodach, zasapani, zziębnięci, — ale jakoś nie chciało się nam odpoczywać.

Keat szedł pierwszy. Zacisnął usta, nozdrza mu tylko wachlowały.

Wreszcie wychylił się na platformkę pod dzwonem.

Przeraźliwy jego krzyk zostanie mi w uszach nazawsze.

Wypadłem za nim.

Zza brzegów olbrzymiego dzwonu wychylało się, kołysane lekko przez wiatr, ciało Kafa. Wisiał u serca dzwonu. Ach, więc to tak on dzwonił! Oczywiście wiatr nie mógł poruszyć ciężkiego dzwona-olbrzyma. Ale poruszał Kafem... A serce dzwonu dzwoniło.

Tak kochał Kaf narzeczoną, katedrę i przyjaciela...

11.

Skończyłem.

Pani J. przyskoczyła do mnie jak pantera.

Kto był ten człowiek? Czyja to historia? — porywczosć drgała w głosie.

— Moja — wycodziłem zwolna.

— Jakto?

Odczekałem niechętny gest pana W., zbierałem skwapliwie wszystkie skry, jakimi obsypały mnie nagle rozbłyśte cudnym ogniem oczy pięknej rozwódki, i dodałem niedbale a złośliwie:

— Wymyśliłem ją sobie.

Święta ludowe w Indjach

Napisał
L. Konopacki

We wszystkich krajach święta ludowe stanowią jeden z najciekawszych objawów życia kulturalnego. Przechowuje się w nich wierzenia religijne, sięgające swą tradycją w zamierzchłą przeszłość, uwydatnia charakter plemienny, rytm wewnętrzny najżywczejszych upragnień, trosk o egzystencję i pomysłność zbiorową. A wreszcie — w barwnej i gwarnej inscenizacji objawiają się uzdolnienia twórcze, zmysł estetyczny, potrzeba symbolu i sztuki.

Na całym obszarze kultury — zarówno pierwotnej jak i wyższej — kto wie, czy znajdzie się forma instytucji, dorównująca świętom pod względem bogactwa materiału etnologicznego i artystycznej jego ekspresji.

Indje Wschodnie od niepamiętnych czasów pociągały ku sobie wyobraźnię Europy. Już w okresie hellenistycznym starożytnej cywilizacji, mgły legend otoczyły romantyczną wyprawę Aleksandra W. w kraje Pen-

dżabu, a w średniowieczu nie było ulubieńszej lektury jak romanse o genialnym Macedończyku. Apetyty kupców, ambicje żeglarzy i awanturników ciążyły przez wieki ku cudownej „Taprobanie” (Cejlon) i rozsypom diamentów Golkondy.

I dziś, mimo potężnej ekspansji europeizmu, zalewającej Indje hasłami społeczno-politycznymi, racjonalizmem, modami i techniką maszynową, żywe jeszcze wielkie dziedziny tradycji, a wśród nich — święta in-

duskie hipnotyzują naszą wyobraźnię.

Rozmaitość ich, znaczenie religijno-magiczne, napięcie wzruszeniowe, plastyka są istotnie przebogate. Charakter Indusów, ekspansywny a skryty, namiętny a subtelnie wyczulony, objawia swe przedziwne sprzeczności w tych obrzędach — okrutnych i lubieżnych, rozhukanych i intymnie nastrojowych.

Nietylko jednak wrodzony temperament, ale i warunki historyczno spo-



Rys. 1. Uczestnicy święta „Holi” w strojach odświętnych. Chłopiec na łwie wyobraża boginię Dewi

łeczne złożyły się na tak ciekawe i bogate formy.

Trzeba uprzytomnić sobie, jak dalece złożone jest to, co obejmujemy mianem kultury Hindostanu. Złożone zaś przede wszystkim dlatego, że w masie ludności odróżnić możemy cały szereg naważstw etniczno - kulturowych, z których dwie warstwy są najbardziej charakterystyczne i naukowo zbadane. Jest to warstwa aryjskiej, napływowej z północy kultury

i warstwa miejscowych, względnie pierwotniejszych kultur ludów drawidyjskich. Pomijając związane z tem zagadnienia kastowego ustroju Indyi, zwróćmy się do życia religijnego. Z jednej strony występuje religja pstra, naiwna, przepełniona magizmem, wiarą w demonów, podtrzymująca kultury orgiastyczne, krwawe — dziwne jak kwiaty w parnej puszczy podzwrotnikowej. Z drugiej obserwujemy kapłańską teologię światła i dobra, systemy wartości indywidualno-etycznych, kult żywiołów i przodków, nade wszystko cześć Ognia i mistykę ofiary. Tak religja pra-Wed spłynęła z wyżyn, gdzie pozostali pobratymcy irańczycy, na gorące rozdoły Indyi, tworząc aglomerat bujny i rozlewny, jak dekoracyjna fantastyka pagód induskich. Święta induskie



Rys. 2. Scena uroczystości bogini Aukalamma u Tamilów

posiadają taką samą dwuistość i niejednokrotnie możemy w nich odszukać pierwiastki dostojnego wedyzmu o bok zmysłowo - magicznych zawiłań.

Naczelne miejsce w kalendarzu uroczystości zajmują te, w których nie tylko lud, ale i wyższe kasty biorą udział. Z liczby ich, dwa są szczególnie rozpowszechnione: jedno z nich przypada na wiosnę, drugie na jesień. Pierwsze to święto zapalania ognia wiosenne-

go, czczonego z niesłabnącym nieczymem. Ogień ów, zapalany rokrocznie (obrzęd ten występował i w dawnym mazdeizmie irańskim) w pewnych świątyniach, jest centralnym obrzędem, wokół którego grupują się jak zwykle w Indjach, niezliczone wtórne kultury (np. kult bogini Dewi, p. fig. 1). Ludność, biorąca najżywszy udział w święcie, kładzie maski, przebiera się w stroje obrzędowe, urządza widowiska, popisy sadhusów, tańce; radość ogólna panuje i licencje, kiedy indziej niedopuszczalnie. Taki jest ten wiosenny karnawał Holi, z kwiatami i szafranem, z bez troską i zubożnością.

Inny cokolwiek charakter ma jesienne święto lamp, Diwali. I tu objawia się kult ognia, ale w związku z kultem umarłych, przychodzących odwiedzać swe rodziny. Lud-



Rys. 3

ność się stroi (mężczyźni często malują się w pręgi, naśladując np. tygrysa), domy odświętnie są oczyszczone i przybrane kwieciami, odbywają się recytacje z życia bogów, składają się ofiary. W wioskach równolegle obchodzi się święto pasterskie Godhan, z korowodami, pieśniami, chodzeniem po proszonym — jak i u nas (kolendnicy).

Święta wyłącznie ludowe są oczywiście, jak i na całej kuli ziemskiej, ściśle związane z warunkami egzystencji, z zatrudnieniami i trybem życia.

Pasterze mają swe gwarne i rozkoszne święta ulubionego boga „ciemnego” Kryszny. Jego bohaterstwo, mądrość, miłostki są osnową licznych bardzo uroczystości.

Rolnicy, rybacy mają swe kultury bóstw ziemi, rzek, morza, odznaczające się ściśle lokalnym kolorytem nierzadko.

I tak np. święta w pewnej kascie rybaków tamilskich są bardzo osobliwe. Istnieje tam m. i. święto Mayana, zwane inaczej „ogółoceniem miejsc grzebalnych”. Główni uczestnicy — mężczyzna przebrany za boga Virabhadra, syna Sziwy i bogini Anxalammy, oraz kobieta, przebrana właśnie za ową boginię. Niesie ona przed sobą deskę z jelitami ofiarnej owcy i trzyma część ich w zębach, jakby na znak, że spożywa ofiarę (fig. 2).

Tymczasem procesja niesie podobiznę bogini, umieszcza ją w ołtarzu kapliczki wioskowej i wszyscy udają się do miejsc spalania zwłok. Tam następuje oryginalny obrzęd. Popioły zwłok układają kapłani w pięć stożków, symbolizujących popularnego boga —

śloniogłowego Ganeszę. Na popiół się składa objaty — ryż, owoce. Uczestnicy wpadają w silne podniecenie, rzucają się na popiół i ofiary, porywając co kto może, jedzą popiół, gryzą niedopalone kości. Popiół jest wysoko ceniony jako środek przeciwko złym duchom i niepłodności.

Jest szereg świąt związanych z całymi okresami — np. okresem „snu Wisznu” (lipiec — październik), kiedy się obchodzi święta Durgi, Ganga i Kam-Li, inscenizujące dzieje ulubionego bohatera Ramayany i jego wiernej małżonki, Sity.

W Bengalu znamy cykl świąt ludności rolniczej, wysoce interesujących ze względu na niezwykle walory artystyczne. Nietylko bowiem samo dramatyzowanie jest głębokie i pełne wdzięku, ale i rysunki rytualne t. zw. alpony na ziemi, słupach, stołkach, ad hoc robione przez małe dziewczynki najprymitywniejszymi barwnikami, — i palcem, są dużej wartości artystyczno-dekoracyjnej. (p. fig. 3).

Święta te, urządzone wyłącznie przez kobiety i dziewczęta, są związane z deszczem, suszą, pomyślnością, plonem, porą roku, zaślubinami. Najrdzenniejsza treść psychiki ludowej znajduje w nich swój wyraz.

W końcu października, gdy dojrzewają pola ryżowe, podczas pełni księżyca, ob



Rys. 4

chodzą się święto Laki, bogini pomysłowości i piękności (Laki-Vrata). Od rana wewnątrz domu ozdobione jest stosownymi alponami. Rysunki stylizowane lotosów i pnączy pokrywają słupy izby, gdzie złożone są zapasy ryżu; tu i tam widnieją wyobrażenia odcisków stóp bogini Laki, jej grzebień, klejnoty (p. fig. 4), rysunki taboretu, na którym spocznie — wszystko złocisto - żółtą farbą wykonane. Zaś gdy w grudniu, podobna uroczystość ryżowa się powtórzy, alpony będą czerwone jak liście jesienne.

Bardzo piękne jest święto uzyskania plenności zasiewów. Gdy pola pokrywa złote kwiecie gorczycy, kobiety ze wsi idą o świcie w pola, niosąc miseczki pełne owoców i jarzyn. Wzywają najpierw boga pól, prosząc o dostatek w gospodarstwie. Jedną z kobiet, z włosami rozpuszczonymi, w białym sari, z bukietem żółtych kwiatów, symbolizujących pole uprawne, siada na stołku i modli się o błogosławieństwo we wszystkim dla domu, kobiet, ich mężów i dzieci. O świcie też, w końcu stycznia, dziewczęta wiejskie, dźwigając na głowie tace pełne ziemi z zapalonemi lampkami glinianymi, udają się nad rzekę, kąpią się i puszczają na wodę swe tace z płomykami lamp. O wschodzie słońca, umalowani się cynobrem, w czerwonych swych sari odmawiają modlitwę do słońca i kończą w ten sposób obrzęd.

W kulcie tak czczonemu w całym kraju figowca, drzewa „Pippala”, mają miejsce bardzo charakterystyczne praktyki magiczne, opisywane w legendzie, przywiązanej do tego kultu. Każdy liść jest źródłem magicznie pożądanego skutku dla czcicieli:



Rys. 5

„Kładą sobie zwinęły
liść czerwony na
głowę.
Aby czerwień się trzymała
na ich starych czołach;
Kładą sobie liść płowy
i świeży na głowę.
Aby zawsze skóra była
piękna jako złoto;
Kładą sobie suchy liść
na głowę.
Aby ich dobytek wciąż
się zwiększał;
Kładą sobie liść opadły
na głowę.
Aby perły i diamenty
tak spadały na nich;
Kładą sobie liść zielony
na głowę.
Aby trzymać na kolanach
wnuków,
Świeżych, jak lotosów
pek na wiosnę”.

Z temi liśćmi na głowie zanurzają się wierni w wodę, a liście spływają w dal.

Na przełomie zimy w miesiącu Magh, występuje bogaty w pierwiastki sceniczne kult „Magha-Mandel-Vrata”. Cykl się składa z czterech scen: w pierwszej opiewa się triumf słońca i porażkę zimy, w drugiej i trzeciej — zaślubiny wiosenne słońca i księżycy, w czwartej zaślubiny syna słońca z Al-lamala, córą ziemi, i narodziny młodego bożątka wiosny.

Uczestniczki święta biorą na siebie odpowiedzialne role, malują stosowne alpony¹⁾ i śpiewają pieśni obrzędowe z tańcami. Aby dać wyobrażenie o wartościach poetyckich twórczości ludowej, przytoczmy jedną scenę z tekstem podług Rabindranatha Tagore’a.

Słońce i księżyc, w rolach pana młodego i panny młodej, znajdują się w kwitnącym gaju — swej ślubnej komnacie.

Księżyc:
Kruki wciąż kraczą,
Kukułki śpiewają;



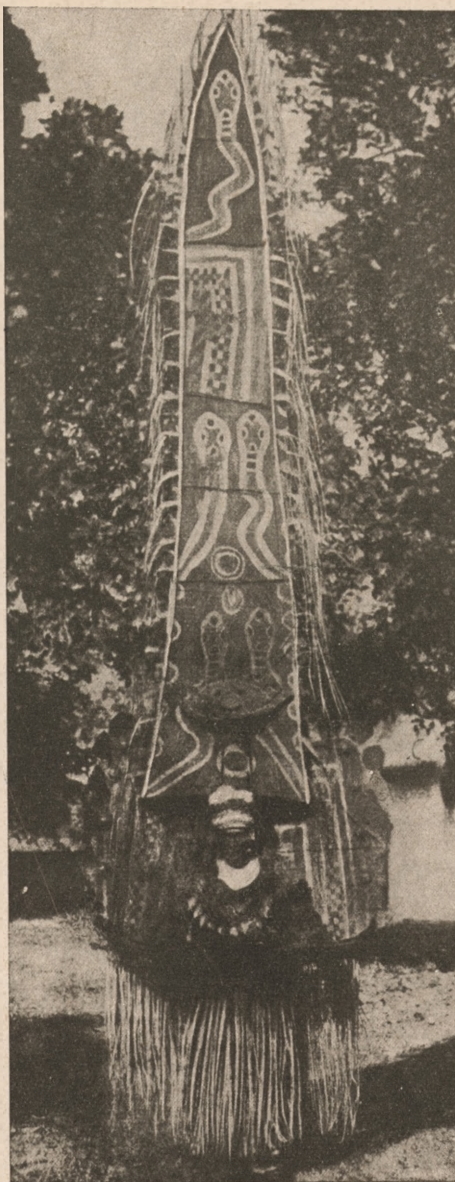
Rys. 6

¹⁾ Fig. 5 przedstawia słońce i niebo gwiazdzone w pokrewnej uroczystości.

Idę w twój dom,
 Któż będzie mi matką?
 Słońce:
 Moja matka będzie
 twoją matką,
 Mój ojciec będzie two-
 im ojcem,
 Moja siostra będzie
 twoją siostrą.
 Kruki wciąż kraczą,
 Kukulki śpiewają.
 Przed domem słońca
 śpiewak śpiewa:
 „Córa wiosny, bogini
 księżycy,
 Córa wiosny, słodkiej
 jako miód,
 Rozpuściła uploty.
 Pełna szczęśnej ochoty,
 Idzie szukać swego bo-
 ga—słońce—
 Szuka go po całej ziemi.
 Córa wiosny, bo ini
 księżycy,
 Córa wiosny, słodkiej
 jako miód,
 Rozwiała swoje sari
 I przebiega obszary
 Ziemi—szukając boga.
 Swego boga — słońce.
 Córa wiosny, bogini
 księżycy,
 Córa wiosny, słodkiej
 jako miód,
 Srebrne u stóp swych
 w płasie
 Ma dzwoneczki, co
 skrzą się,
 A bóg słońca się do
 niej
 Miłości pełen kłoni”.

Ogromna liczba obrzędów jest związanych z zaślubinami. Jeden z nich, Szubaszini-Vrata, jest obrzędem wymiany słodkich słów przez nowożeńców. Odbywa się w domu świekry, aby panna młoda w nowym domu słyszała z ust nowych rodziców słowa dobre i łaskawe.

W pośrodku podwórza wykopuje się jamę, wyobrażającą sadzawkę; dokoła kopie się siedmnaście małych jamek napełnionych świe-



Rys. 7. Tancerz „djabelski”

żem mlekiem. Z boków umieszcza się dwie figurki ulepione z gliny, namaszczone wonną oliwą i umalowane cynobrem. Potem rozpoczyna się właściwy kult—ofiary bogowi—przyczem państwo młodzi są naczczu i dopiero przy końcu obrzędu rozdają betel gościom i zabierają się do posiłku. Stosowne alpony są wówczas rysowane. Jedną z nich wyobraża symbolicznie małżonków. (Dwa kwiaty na jednej łodydze, p. fig. 6).

W prowincji Kanara, gdzie m. i. są rozpowszechnione walki kogutów i słoni, odbywają się bardzo frenetyczne uroczystości wypędzania diabła.

Jest to kult nocny. W pośrodku zebranych występuje kapłan z mieczem i dzwonkami w ręku. Kapłan ten Pudzavi, naśladuje mimikę i gesty diabła z wielkim przejęciem. Szał religijny sięga jednak szczytu, gdy ukazuje się półnagi, malowany ochrą w metalowej masce, uzbrojony łukiem tancerz djabelski, Pompada, miotający się dziko przy

wtórce bębna i monotonnego wycia zebranych (patrz fig. 7). W pewnej chwili zatrzymuje się i występuje w roli wróżbity. Często djabelskie te widowiska trwają kilka nocy.

Tak w świętach ludowych splatają się wątki innych epok i tradycji, a żywa wiara podsyca je poezją przeżycia — na tle niegasnącej miłości Natury.

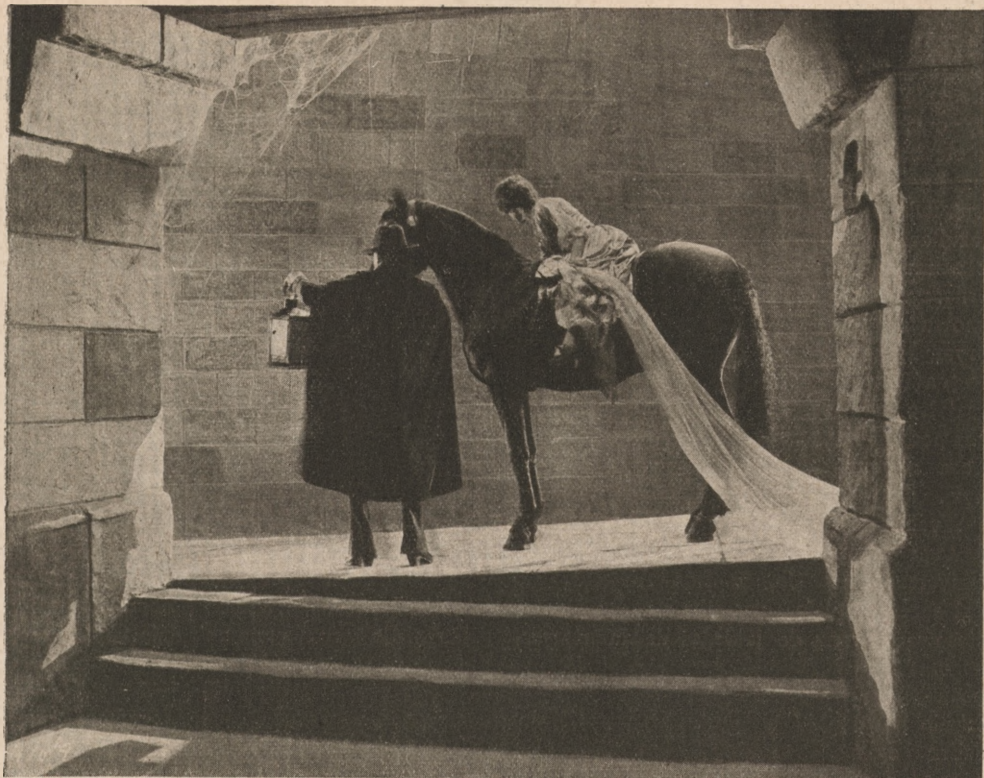


Ponowne ukazanie się widma w operze

Przed paru miesiącami miał miejsce niezwykły fakt w dziejach Opery paryskiej. W tej świątyni sztuki, gdzie rozbrzmiewała najwspanialsza muzyka, gdzie najwięksi kompozytorowie świata ubiegali się o wystawienie ich dzieła, poraz pierwszy oglądano wystawiony film. Tak, dobrze słyszysz, czytelniku, film na ekranie, na scenie opery w Paryżu! Takiej profanacji nie mogli znieść artyści, to też cała orkiestra teatralna energicznie zaprotestowała. Wirtuozi, soliści skrzypkowie, wiolonczelści, korneciści, ba, nawet basetliści, i mistrzowie od wielkiego bębna, wszyscy ci kapłani i korni słudzy Muzy poczuli się głęboko upokorzeni tem niesłychanem sprofanowaniem ich bogini.

Chodziło tu o wystawienie wspaniałego filmu propagandowego, p. t. „Le miracle des Loups”, podnoszącego uczucie patriotyczne ludu. Dyrekcja jednak „tenait bon”, jak mówili wtajemniczeni i pokaz miał miejsce. Obraz zresztą odniósł nadzwyczajny sukces, a nawet przeciwnicy z goryczą przyznawali, że rzadko kiedy premjera miała takie powodzenie, jak „Le miracle des Loups”.

Jakkolwiekby wrota zostały otwarte i w ślad za Paryżem poszły inne stolice. Ameryka, chciwie podchwytyjąca wszystkie „nowinki” nie dała się zdystansować, wystawiając w największej swej Operze w t. zw. „Metropolitain Opera House” w New-Yorku



Fragment z obrazu „Widmo Opery“

obraz p. t. „The Phantom of the Opera“ („Widmo Opery“).

Okazję do wystawienia tego filmu dał jubileusz Opery, obchodzony właśnie w Paryżu. Geneza tego obrazu jest bardzo ciekawa i pouczająca, maluje nam bowiem doskonale to poszukiwanie nowych dróg i w pewnej mierze zuchwałość tej „dziesiątej Muzy“.

Według twórcy wzmiankowanego obrazu, p. Karola Laemmle'a, muzyka i obrazy poruszające się („mouvements pictures“) mają wiele cech wspólnych, stanowią bowiem powszechnie zrozumiały środek ekspresji. Pierwsza wyrażać może potężnie takie uczucia, jak strach, gniew, radość, smutek, wzburzenie, lecz i kinematograf może odegrać podobną rolę, jakkolwiek działa na inne zmysły człowieka, bo na oczy. Co więcej, oczy każdego narodu rozumieją wyrażone na ekranie uczucia, podobnie, jak uszy każdej narodowości dostępne są dla muzyki. Dyrektor Laemmle jest zresztą przekonany, że wiele

obrazów zawdzięcza swe powodzenie współdziałaniu muzyki. Przypomnijmy sobie pierwsze obrazy wyświetlane, zazwyczaj komiczne, na których pojawieniu się samochodu na ekranie towarzyszył ryk trąbki automobilowej, lub też w ślad za upadkiem aktora, widz słyszał rzucanie na ziemię ciężkiego przedmiotu. „Tworzył się rodzaj jazz-bandu“, zresztą jeszcze nieznanego, jako nazwa, nie mający nic wspólnego ze sztuką.

Zastosowanie pianina miało za to wielkie powodzenie. Ale jakżeż daleko byliśmy wtedy od dzisiejszej muzyki, składającej się w wielkich teatrach świetlnych w Ameryce z kilkudziesięciu artystów, których muzyka w swym tempie i nastroju stara się możliwie najdokładniej oddać charakter filmu. Najsubtelniejsze sceny są dzisiaj niemożliwe do przedstawienia publicze bez odpowiedniej muzyki. Otóż, równocześnie z staranniejszą treścią obrazów, zaczęto dobrać poważniejszą muzykę. Publiczność mimowoli wchłania w siebie dźwięki muzyki, często z repertuaru

klasycznego, który na koncercie niekoniecznie miałby powodzenie u słuchaczy z mało muzycznym uchem. W rezultacie więc kinematograf przyczynia się (mowa tu o dobrym kinematografie) do kształcenia ucha pod względem muzycznym.

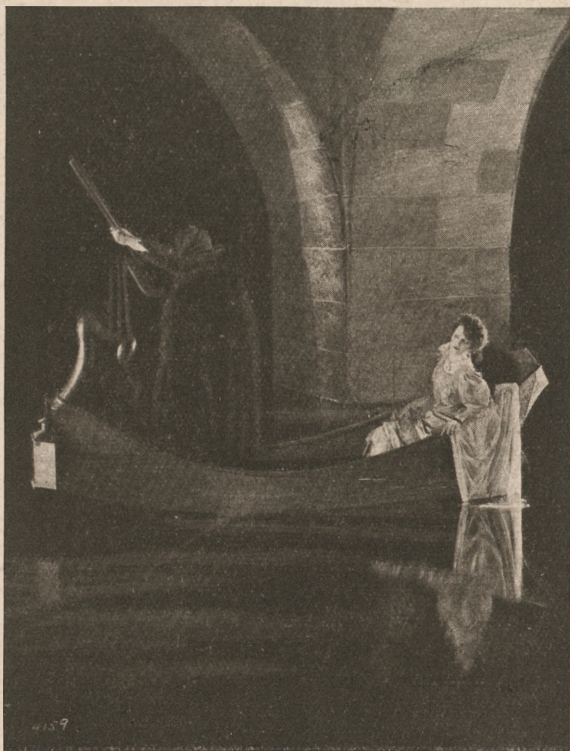
Wychodząc z tego założenia, p. Laemmle, dyrektor Universal Film Co, w Los-Angeles, zadał sobie pytanie, czy nie dałoby się zastosować ekranu do jakiegoś dzieła muzycznego. Pracy tej poświęcił p. Laemmle parę lat, żadna jednak opera nie odpowiadała jego zamierzeniom. W trakcie tego, będąc w Paryżu, spotkał swego przyjaciela Gastona Leroux, słynnego autora wielu powieści kryminalistycznych, emocjonujących do niedawna jeszcze, cały świat. W rozmowie z nim, Laemmle zwierzył się ze swymi projektami i Leroux poddał mu myśl użycia jako tekstu jego słynnej powieści p. t. „Fantôme de l'Opera”.

Twórca filmu



„Widmo Opery” — Mary Philbin w roli bohaterki dramatu

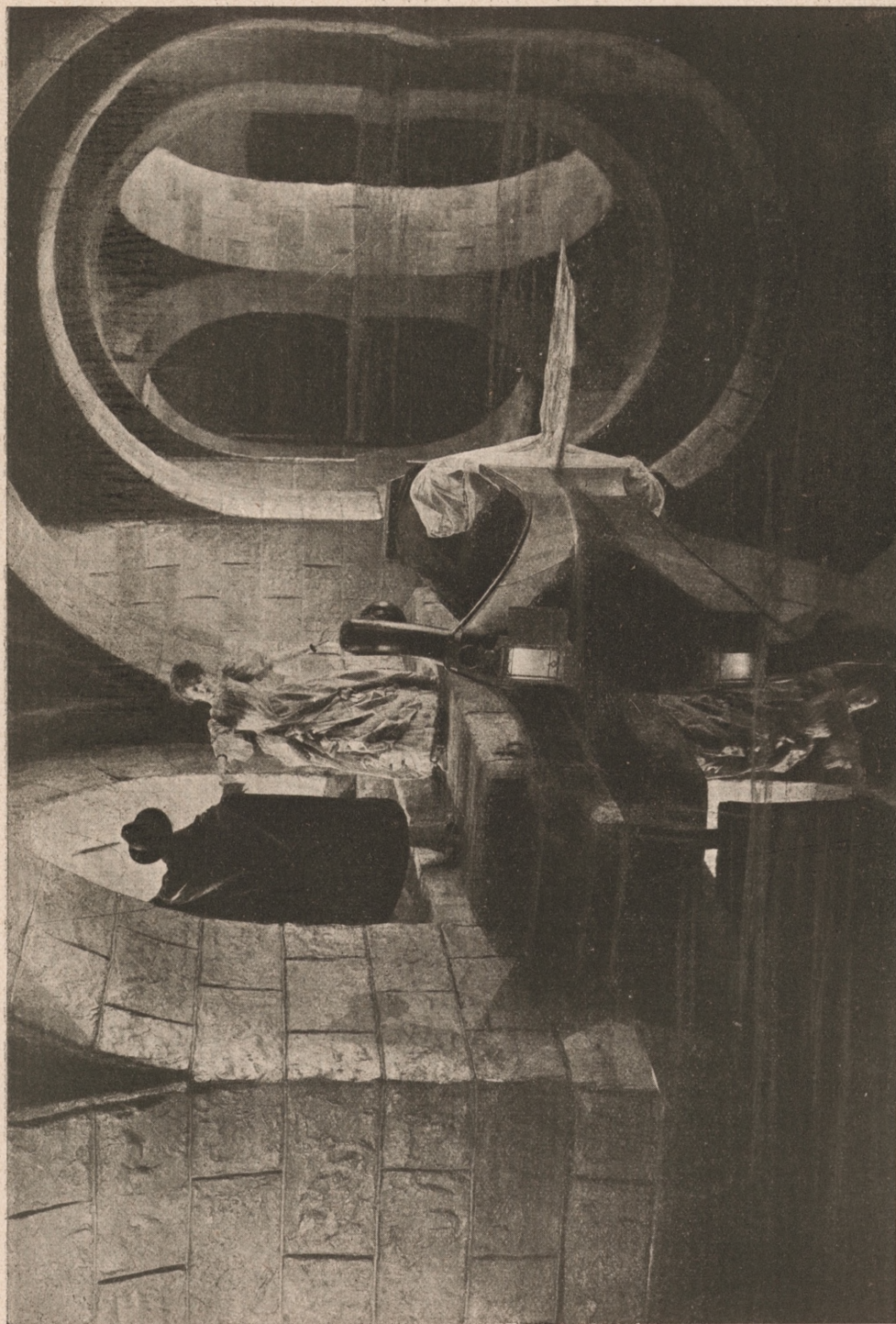
tu. Przedewszystkiem zaś cała akcja dzieje się w gmachu Opery paryskiej, główna zaś postać powieści, „Widmo”, obrała jako siedlisko dla swych penurych działań ten przy-



„Widmo Opery” Lou Chaney w roli „Widma” i Mary Philbin

opowiada, że, otrzymawszy powieść, pogrążył się w jej czytaniu przez całą noc. Nareszcie znalazł odpowiedni temat. Jest to nadzwyczaj zajmująca historia, którą wielu czytelników z pewnością zna, łatwo też zrozumie trafność w doborze tema-

tu. Przedewszystkiem zaś cała akcja dzieje się w gmachu Opery paryskiej, główna zaś postać powieści, „Widmo”, obrała jako siedlisko dla swych penurych działań ten przybytek sztuki z wszystkimi jego podziemiami, zaułkami, składami na rekwizyty teatralne i t. p. Legendy, przywiązane do tych miejsc, opowiadanie o ich związku z podziemnym jeziorem—wszystko to dawało tło nadzwyczaj tajemnicze, co przy zręcznej przeróbce kinematograficznej, powinno dać nadzwyczajne efekty. Ważniejszem jednak było, że akcja często przebiega na scenie w czasie wystawienia różnych oper: Massenet'a,



Fragment z „Widma Opery“

Gounod'a i innych, co oczywiście dawało sposobność do zapoznania publiczności z wielką muzyką, ilustrowaną jednocześnie na ekranie. Przyczem muzyka i akcja nie może nużyć widza, ze względu na szereg wypadków, odgrywających się równocześnie, w których oczywiście widać rękę „Widma”, bardzo zresztą romantycznego, o którym długo nie wiadomo, czy jest „Aniołem muzyki”, czy demonem. Pierwsze bowiem jego wcielenie wyraża się pięknym śpiewem, co oczywiście znowu daje sposobność muzyce do akompanjamentu. A że „Anioł muzyki” banalnych rzeczy śpiewać nie może, więc i publiczność musi wysłuchać prawdziwie pięknej produkcji.

Jednym słowem, jak wyraża się twórca tego filmu, „była to książka, o której marzyłem i którą znalazłem”.

Zjawia się jednak nowa trudność: wspinał się gmach Opery paryskiej nie może być terenem zdjęć kinematograficznych, pomimo całego swego uroku. Problem ten został rozwiązany w iście amerykański sposób. Oto, po prostu na rozkaz p. Laemmle'a zbudowano katedrę paryską w Los-Angeles, z kruchej wprawdzie materjału, tem niemniej odtwarzając w najdrobniejszych szczegółach cudowny zabytek architektury.

Tło zostało stworzone, wspaniałe zdolności reżyserskie, pierwszorzędni aktorzy, no i... dolary dokonały reszty. Nic to, że

w pracy nad filmem wzięło udział 5000 ludzi, fascynująca treść oraz wzniosły cel szarmonizowania kina z muzyką wystarczyły, aby środków nie żałować.

Nas, Europejczyków, raziłaby może nieco reklama iście amerykańska, którą otoczono to dzieło. Jedną z jej form jest np. wywieszenie na ścianie gmachu dyrekcji, na ulicy Broadway w New Yorku, ogłoszenia, w postaci gazety, tak wielkiej, że zajmuje kilka pięter wysokości.

Rolę „Widma” Opery, czyli Erika — człowieka o wyglądzie kościotrupa, kryjącego się wiecznie za maską, w wielkiej, czarnej pelerynie, odtwarza Lon Chaney; bohaterką dramatu, o cudnej duszy śpiewaczki jest Mary Philbin. Jej narzeczoną, pełnym poświęcenia wicehrabią Chesny, jest Norman Kerry.

Jako moment wystawienia filmu wybrano

dzień obchodu jubileuszowego Opery paryskiej. Trudno istotnie lepiej było uczcić swą koleżankę paryską, niż odtwarzając przynajmniej większość fragmentów ze znanych oper, granych na jej deskach, a nawet jej życie wewnętrzne wraz z całym „corps de ballet”, figurantkami, maszynistami, portjerami, a nawet „fantomami”, obierającymi sobie siedlisko w ponurych piwnicach i zakamarkach Opery!

New-York, kwiecień, 1925.



Fragment z „Widma Opery”

Zwierzęta ze szkła



— Czy widzieliście mechanizm zegara, którego ścianki, zrobione ze szkła, pozwalają oglądać poruszające się kółka i kółeczka? Z pewnością, tak. Ale nie przyszło wam na myśl, że takim szklanym zegarem może być jakiegokolwiek zwierzę. Bo pomyśleć tylko, że gdyby człowiek miał przezroczystą czaszkę, to widzielibyśmy jego mózg, albo przezroczysta klatka piersiowa pozwalałaby nam na oglądanie bijącego serca. Byłoby to w pewnych przypadkach ciekawe i pożyteczne może, ale chyba obrzydliwe. A jednak istnieje cały szereg form zwierzęcych, tak przezroczystych, że z łatwością możemy w nich dostrzegać skurcze serca i wogóle ich wewnętrzną budowę i mechanizm. O tych to dziwnych, a jednak pięknych zwierzętach pomówić tu chcemy.

Są to mieszkańcy wód: słodkich, lub słonych. Zamieszkiwać mogą rzeki, stawy, jeziora, — nadewszystko jednak — morza.

Uczeni, którzy nie mają spokoju, dopóki nie ochrzczą każdej formy nazwą łacińską lub grecką, łączą je wszystkie pod wspólnym mianem „planktonu”, to znaczy: „błądzących”. Wszystkie więc istoty, zamieszkujące zbiorowiska wodne, znajdujące się w ciągłym ruchu, nigdy nie znające spoczynku, a więc wiecznie tułacze, nie spoczywające nigdy na dnie, składają się na „plankton”.

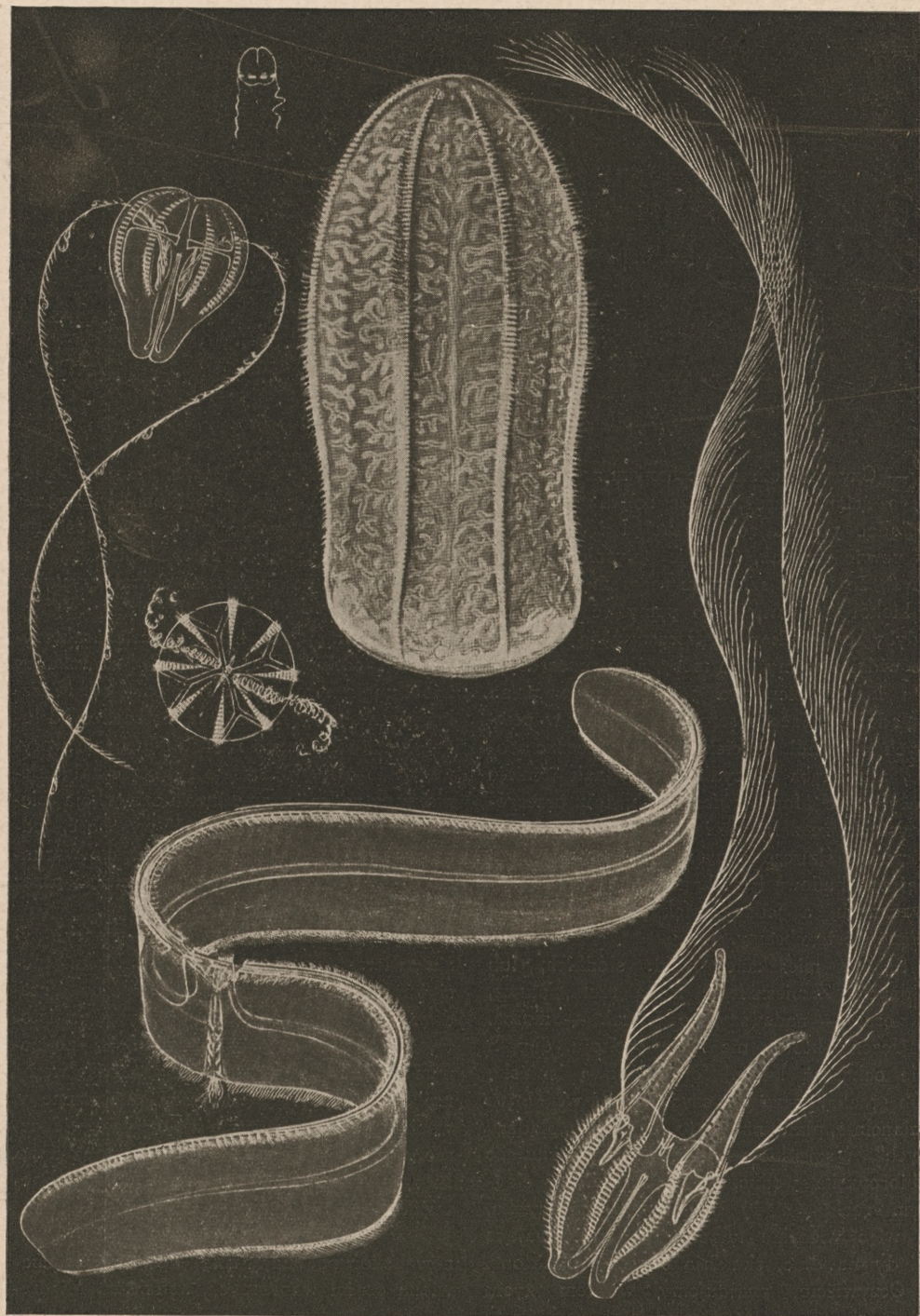
Oczywiście znajdujemy w tem życiu stopniowania, poczynawszy od istot, do których definicja ta stosuje się w całej rozciągłości, poprzez istoty, spędzające część życia jed-

nak jako denne, aż do takich, które tylko jako larwy należą do „planktonu”, jako zaś formy dojrzałe pędzić mogą życie osiadłe. Zwiększa to tylko bujność kształtów, nie odejmując im pewnych cech charakterystycznych.

A więc mają te istoty swe charakterystyczne cechy! Podobnie jak mieszkańcy miast mają swoje w odróżnieniu od mieszkańców wsi, a górale różnią się bardzo od ludzi, zamieszkujących niziny. I tu i tam wpływa na te cechy otoczenie i gęstość zaludnienia, inny rodzaj pracy, inna konstrukcja mieszkań, czy też inny klimat i wysokość, jednym słowem wszystkie te zewnętrzne warunki, które składają się na całość, zwaną przez uczonych „środowiskiem”.

Staje się teraz dla nas jasnem, że tryb życia zwierząt, należących do „planktonu” musi im nadawać pewne cechy wspólne. Przedewszystkiem z natury ich wypływa, że istoty, obdarzone ciężarem najbardziej zbliżonym do objętości wyciskanej przez nie wody, najdłużej mogą się utrzymać zawieszone w wodzie. To też wszystkie zwierzęta, uwidocznione na załączonych tablicach, oraz inne, których nawet wyliczyć niepodobna, odpowiadają tej zasadzie.

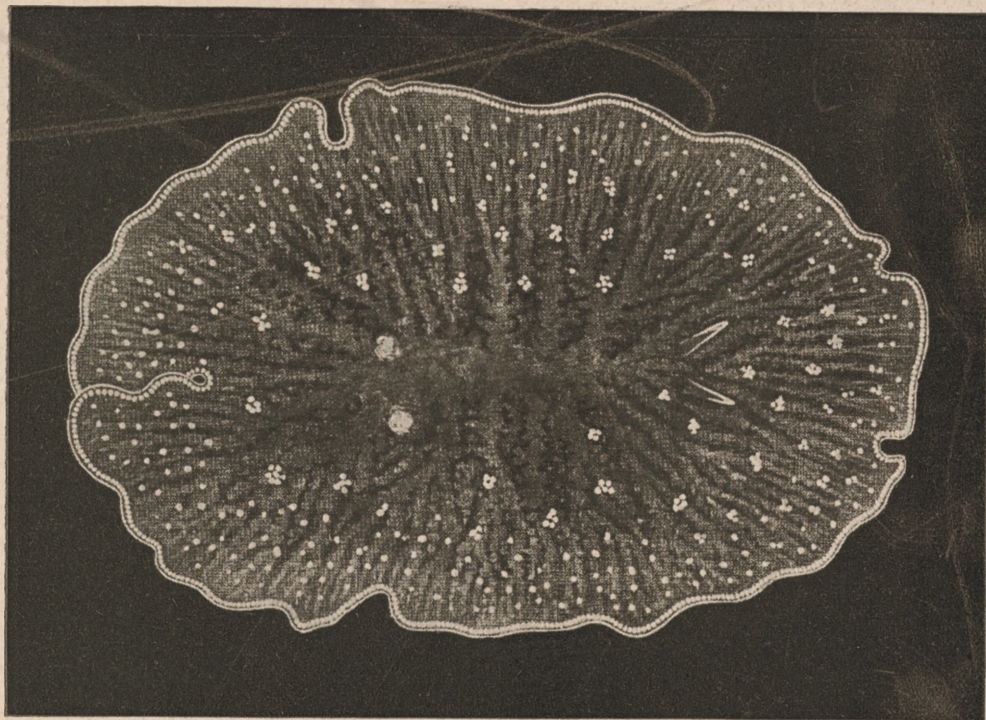
Skorupiaki, pokryte zwykle twardą, chitynową skorupą, mają tutaj skorupkę, pozbawioną części wapiennych, delikatną. Mięczaki, jako zwierzęta osiadłe, zaopatrzone w masywne, ciężkie skorupy, wchodząc w skład „planktonu”, zmniejszają grubość tej ostat-

*Tablica Nr. 2*



Tablica Nr. 1

Int. Zdzisław Kocurkiewicz



Morski wypłavek pelagiczny

niej, a nawet zupełnie się jej pozbywają. Cóż dopiero mówić o zwierzętach najbardziej wyspecjalizowanych w „błądzącym” życiu! Ciało ich jest miękkie, galaretowate, a nade wszystko przesycone wielką ilością wody.

Dość powiedzieć, że niektóre z pośród uwidocznionych na tablicy pierwszej meduz (chelbij), zawierają 95% wody! „Ależ to prawie sama woda”! powie czytelnik, „gdzież tu miejsce na narządy organizmu, serce, jelita i t. p.”. Otóż, pomijając na razie tę kwestję, że nie wszystkie istoty zaopatrzone są w wyżej wymienione narządy, należy stwierdzić, że o charakterze danego ciała decyduje nie ilość suchej substancji, ale jej rozmieszczenie i budowa. O ileż więcej np. nabierać może wody porowata gąbka, niż kawałek drzewa!

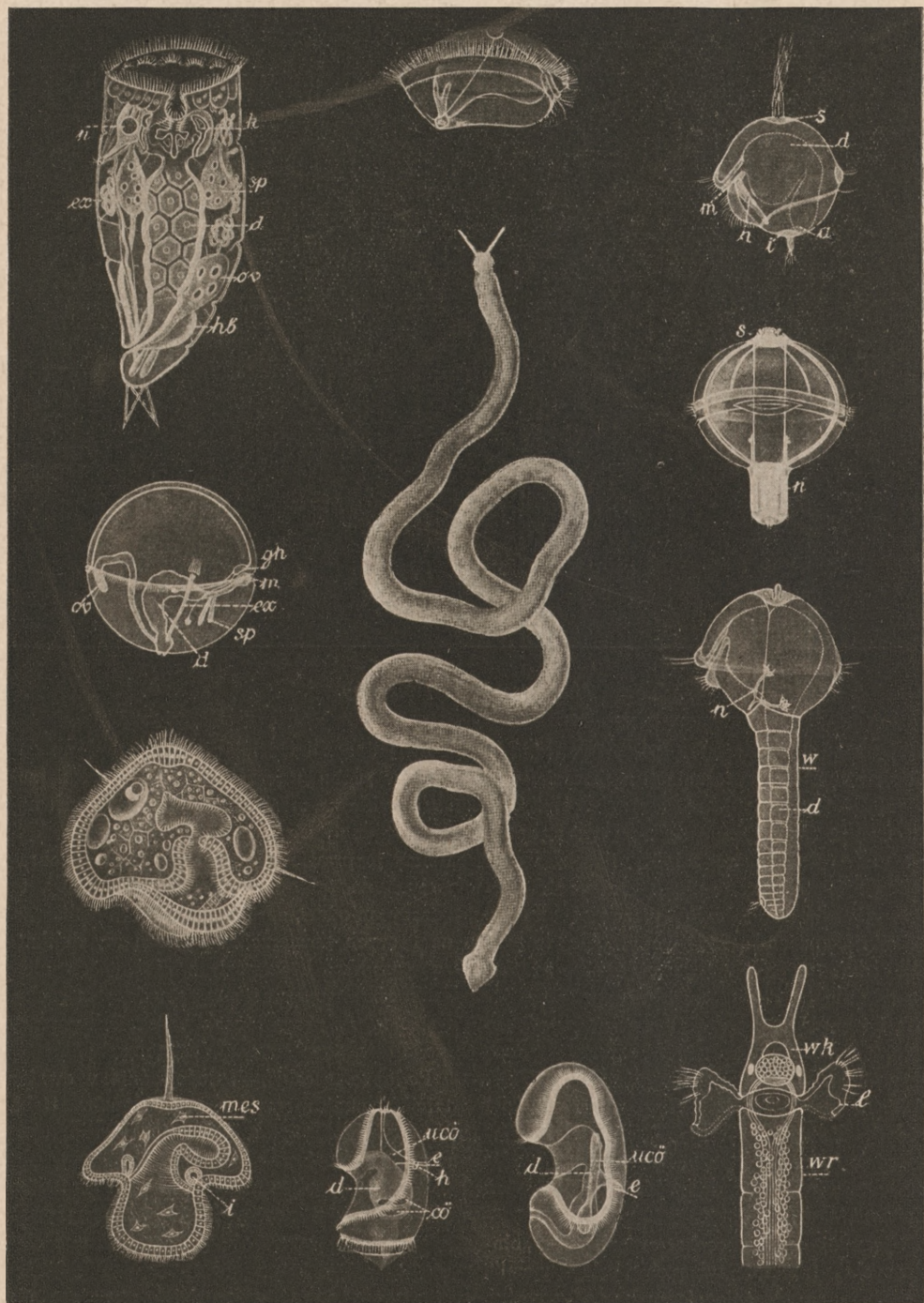
Niemniej ważną cechą organizmów „błądzących”, lub też zwanych „pelagicznymi”, jest ich zaopatrzenie się w liczne wyrostki, przydatki, a nawet narządy ruchu, które są jednak nie wystarczające do opierania się prądom wody lub wiatru.

Za jedną z bardziej pierwotnych form narządów ruchu zwierzęcego, pod którymi mamy zwykle na myśli u zwierząt wyższych nogi, skrzydła i t. p., są tu t. zw. „rzęski”. Widzimy je prawie u wszystkich istot, wyobrażonych na tabl. Nr. III. Są tam larwy, to znaczy młodociane formy różnych robaków, na których powierzchni wyróżniamy delikatne pasemka, utworzone z cieniutkich nitczek, znajdujących się w ustawicznym ruchu. Są to właśnie owe „rzęski”. Przy ich pomocy mogą larwy wykonywać drobne ruchy.

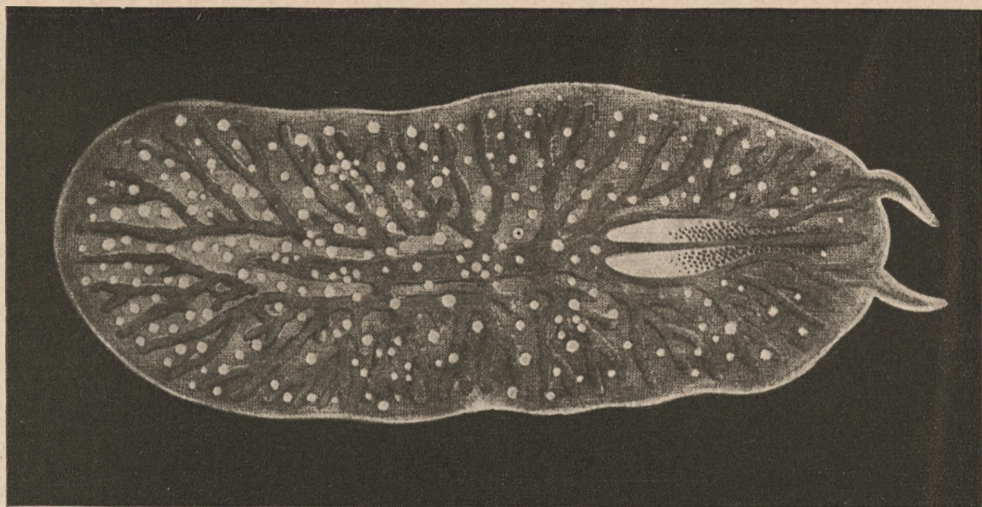
Podobne „rzęski”, zlepione jednak w owalne tafelki, znajdujemy u żebroplawów (tabl. Nr.). Ruch ich rozszczaśnia światło, tworząc tęczowe barwy.

Chelbje, czyli meduzy, które bynajmniej nie są tak straszne, jakby to wskazywać miała nazwa, poruszają się, kurcząc swe ciało, kształtu dzwona.

Ale chyba już najbardziej rzucającą się w oczy cechą tych zwierząt jest ich przezroczystość. Większość ich jest prawie niewidoczna w wodzie dla niewprawionego oka.



Tablica Nr. 3



Morski wypławek pelagiczny

Wodniste bowiem ich tkanki, słabo załamujące światło, zlewają się prawie z otaczającą je wodą.

Najbardziej zadawalającym człowieka wyjaśnieniem tego zjawiska jest przypuszczenie, że w ten sposób unikają swych wrogów. Jeżeli bowiem niewidoczne są dla człowieka, to również łatwo oszukać mogą wzrok ryby, lub innego, drapieżnego stworzenia. Wprawdzie uczony nie chce zadowolić się tem przypuszczeniem, tłumacząc, że to, co nam wydaje się celowem przystosowaniem do otoczenia, stanowiącym atut w walce o byt, może być bardzo niecelowem dla obrony przed paszczą ryb, które na ślepo pożerają całe mnóstwo tych istot, ale wiadomo, że uczeni doszukują się we wszystkich teorjach wątpliwości. Leży to już w ich charakterze. Oni też zwracają uwagę na fakt, że jeżeli ścianki ciała są istotnie bardzo przezroczyste, to często się zdarza, że wewnętrzne organy są zabarwione bardzo żywo, najczęściej na kolor czerwony lub purpurowy. Te części będą zatem lepiej się odcinały na przezroczystem tle. Niech i tak będzie, w drobiazgi wchodzić tu nie myślimy!

Często też zdarza się, że ciała zwierząt

„pelagicznych“ zabarwione są na kolor błękitny, kolor, który również zlewa się z otoczeniem w głębszych warstwach wody.

Załączone tablice możliwie wiernie oddają charakter omawianych zwierząt, pochodzących z różnych grup.

Na tablicy Nr. I po środku rzuca nam się w oczy chełbja - meduza, kształtu grzybka, z długim trzonem, z brzegów kapelusza zwieszają się liczne czułki (długie, nitkowate wyrostki, któremi chwyta pokarm. To znów widzimy żebroplawą, ciekawą istotę, kształtu woreczka wewnątrz pustego z olbrzymiemi, szeroko rozwartemi ustami (tabl. II).

Na tabl. Nr. II zwraca uwagę t. zw. Pas Wenery (*Cestus Veneris*). Jest to również żebroplaw, ale silnie ścieśniony i wstęgowało wydłużony. Poetyczna jego nazwa jest chyba usprawiedliwiona kształtem oraz tęczowemi barwami, któremi zwierzątko to mieni się w świetle.

Wreszcie tabl. Nr. III zawiera wyłącznie formy larwalne robaków, które, zgodzi się czytelnik, są ładniejsze, niżby to usprawiedliwiało wyrobione w nas pojęcie o robakach.

Janina Stefańska



fol. Jan Kuj

Zwycięzca konkursu
kwietniowego dla czytelników *Naokoło*
Świata, pan Józef Centnerszwer, słucha-
jący koncertu radio przy pomocy aparatu,
który otrzymał od redakcji *Naokoło*
Świata za najtrafniejsze rozwiązanie kon-
kursu Nr. 1.

Listy z Marsa

Napisał W. Z - cki

Helena Schmidt, skromna ekspedjentka sklepowa, zamieszkała w Genewie, doszła do smutnego wniosku, że nie jest panią swej woli. Stało się to pewnego wieczoru, gdy, wzięwszy pióro do ręki, usiadła przy biurku, by napisać list do przyjaciółki. Po upływie kilku minut nagle poczuła, że ręka jej drętwieje. Przykre uczucie, podobne do ukłuc tysiącem szpilek, ustąpiło wkrótce, ale pozostał bezwład prawego ramienia. Jeszcze chwila i oto dłoń Schmidtowny, zupełnie automatycznie, poczęła kreślić na papierze esy floreesy i osobliwe wzory.

Przeżrana dziewczyna chciała rzucić obiadkę, lecz kurczowo zaciśnięte palce odmówiły posłuszeństwa. Pióro skakało w dalszym ciągu z szaloną szybkością, wybiegając poza arkusz, to znów wpadało z impetem na zapisane miejsce, dziurawiąc papier i jakgdyby domagając się świeżej kartki.

Nazajutrz rano Schmidtowna przyszła do sklepu silnie podniecona. Nawet tam, w gronie koleżanek, czekała ją nowa niespodzianka, świadcząca o istnieniu „ducha opiekuń-

czego”, który w przyszłości miał się jej przedstawić jako Leopold. Jedna z klientek zwróciła się do niej z prośbą o zdjęcie z półki sztuki tkaniny wełnianej. Helenka przystawiła stół, weszła, wyciągnęła ręce po towar i w tej samej chwili poczuła w ramionach drętwotę. Zakłopotanej koleżance pospieszył z pomocą młody subjekt, lecz gdy szarpnął za materiał, z półki spadł młotek i ugodził go w głowę.

Młodzieńcowi nic się wprawdzie nie stało, Helenka jednak przyszła do przekonania, że nie należy lękać się objawów, które mogą jej wyjść na dobre. Tego samego dnia, po powrocie z magazynu, zabrała się do doświadczeń z pismem automatycznym.

Tym razem z pod stalówki wyszło kilka liter, a poza tem nieprawdopodobna bazgrani- na. Dziewczynkę bawiło to, iż nie potrzebowała nawet patrzeć na papier, a dłoń, jakgdyby wiedziona cudzą ręką, kreśliła skomplikowane rysunki bez najmniejszego sensu.

Po kilku dniach takich ćwiczeń, zdumio-

*Hier matin dans la matinée j'ai de
nouveau parlé en vers sans m'en
douter. ce n'est qu'en finissant ma
phrase que j'ai senti qu'elle rima.*

Wyjątek z prywatnego listu panny Schmidt. W drugim wierszu, w słowie „vers” zamiast litery v figuruje obcy znak. To samo w słowie „rimait” (wiersz ostatni).

Są to pierwsze zwiastuny mającego nastąpić objawienia językowego marsjan

na Helenka odczytała wreszcie pierwsze całkowite słowo, napisane bezwiednie. Było to imię męskie — Leopold. Podpis nie odznaczał się ani rozmachem, ani pięknnością charakteru pisma. Przypominał raczej pierwsze kroki analfabety. Ale po tym wypadku tajemniczy Leopold manifestował się już codziennie, zapisywał liczne arkusze papieru

solym Leopoldem. do seansów zaczęły się wtrącać inne istności. mniej dla Helenki ciekawe, gdyż nie władające językiem francuskim.

Pewnego razu dłoń Schmidtowny skreśliła jakieś dziwne znaki, których nikt z otoczenia nie mógł odcyfrować. Było to, jak się później okazało, pismo arabskie, pisane od prawej strony ku lewej. Prócz pisma arabskiego

zaczęły się ukazywać inne znaki. mianowicie sanskryckie, oraz litery, których nie można było porównać z żadnym alfabetem współczesnym, bądź starożytnym. W seansach na stąpił zamęt. Leopold zdradzał coraz coraz figlarność, następnie

Pismo arabskie otrzymane podczas transu. „Elgalil men elhabit kstir” — co znaczy „Odrobina przyjaźni to dużo”

i nawet zaczął kleić zdania, przyczem litery stawały się coraz zgrabniejsze, a pismo nie przypominało ucznia z wstępnej klasy.

Niedosć na tem. Schmidtowna zupełnie nie chcąc została poetką. Ołówek (gdyż po pewnym czasie zarzuciła pióro) kreślił skończone utwory rymowane, nie odznaczające się wprawdzie wielkimi zaletami, ale bądź co bądź wiersze, o których pisaniu nie miała dotychczas pojęcia. Co najciekawsze, to że podczas takich seansów charakter pisma Schmidtowny zmieniał się całkowicie. Ow Leopold był, jak się zdaje, „duchem” z dość odległych czasów, gdyż posługiwał się piśmownią staroświecką i kaligrafował litery w sposób dziś niepraktykowany. Zamiast

avait, pisał, „avait” zamiast etait — „estoit” i t. d. Helenka przyzwyczaiła się wkrótce do niewidzialnego partnera i nawet gniewało ją, gdy ktośkolwiek pozwolił sobie na żart niewłaściwy. Wierzyła święcie, że Leopold jest „duchem” zmarłego szlachcica, który interesuje się jej losem.

Cóż, kiedy po roku obcowania z we-

zaczęła się manifestować nieszczęsna królowa Marja Antonina. potem kiku hindusów oraz tajemnicze osobistości z zaświatów, występujące pod imionami: Astane, Ese-nale, Matemi i Ramie. Ta czwórka posługiwała się nieznanym alfabetem, a tekst odczytywane przez Schmidtownę, nie przyminał ani sanskrytu, ani hebrajskiego, ani greki.

Sława medjum szybko wzrastała. Kółka spirytystów zainteresowały się młodą ekspedjentką i wkrótce Helenka zaczęła seansować w licznej gronie wielbicieli. Komunikaty zbierano skrzętnie i dołączano do protokółów, dzięki czemu udało się profesorowi Flournoy zgromadzić bardzo obfity materiał.

Tajemniczy język, występujący na sean-

Niesforny Leopold wtrąca się do korespondencji panny Heleny. Przerwał jej w połowie zdania i pisze w dalszym ciągu zupełnie co innego. Wiersz órgny jest normalnym pismem medjum. Dolny należy do Leopolda

*Le ciel est tout gris.
Il faisait beau Dimanche
Dernier.*

*Le ciel est tout gris.
Il faisait beau dimanche
dernier.*

*Zdanie napisane ręką pseudo Marji Antoniny (u dołu) i powtórzone przez me-
dium na jawie*

sach, otrzymał od okultystów genewskich nazwę „Martien“ t. j. pochodzący z Marsa. Dla uproszczenia nazwijmy go językiem M.

Profesor Flournoy, wykładający psychologię na uniwersytecie genewskim, potrafił w krótkim przeciągu czasu odtworzyć całkowity alfabet tego języka. Zawdzięczać to należy okoliczności, że Schmidtówna, pisząc cokolwiek poza seansami, zupełnie bezwiednie wstawiała dziwne znaki na miejsce liter fran-

kle, tak zwane duże, stawiane na początku zdania i S (podwójne), poza-tem ma tylko coś w rodzaju kropki, obchodzą się zupełnie bez przecinków, średników itd.

Odkrycie profesora pozwalało na fonetyczne studjowanie tajemniczego języka, cóż kiedy treść komunikatów stanowiła zagadkę nie do rozwiązania. Z biegiem czasu Schmidtówna za-

częła zapadać w trans coraz głębszy. Obok mechanicznego kreślenia znaków wystąpiły wizje z głosnemi dialogami. Dzięki umiejętnemu kierownictwu, udało się uzyskać tak zwane półtransy, podczas których medium odpowiadało na pytanie kierownika seansu i pozostawało pod jego wpływem.

Stopniowo Schmidtówna zaczęła tłumaczyć komunikaty na język francuski i po pewnym czasie, dzięki pracy profesora Flournoy,

*Quand même tu serois satisfait,
Aurois-tu pour cela plus de joie*

*Charakterystyczne pismo Leopolda wcielonego w medium. Godna uwagi jest pi-
sownia archaiczna*

cuskich. Podajemy kopję jej listu z dwoma błędami, których nie poprawiła, co najlepiej świadczy, iż pisała w stanie podświadomym. W słowie „vers“ (wiersz drugi od góry) litera v jest zastąpiona przez obcy znak. To samo w słowie „rimait“ (wiersz ostatni) zamiast m widnieje zagadkowa iltera.

Dzięki owym lapsusom, profesor stworzył alfabet, składający się z 26 znaków i porównał go z alfabetem łacińskim. Różnica polega na tem, że alfabet M posiada mniej liter, natomiast ma znak specjalny na oznaczenie liczby mnogiej, posiada trzy rodzaje S (zwy-

powstał słownik języka M. Było to odkrycie tak dziwne i niepokojące, że na ten temat ukazało się w Genewie i Paryżu, niemal jednocześnie, kilka książek. W pismach poświęconych zagadnieniom psychicznym zaważała gwałtowna polemika. Profesor nie poprzestał na słowniku, lecz jeszcze opracował gramatykę i pisownię. Dzięki transom młodej Helenki, światu przybył nowy język, całkowicie odrębny od znanych i, co najważniejsze, niewiadomego pochodzenia.

Leopold, po niespełna rocznej przyjaźni z medium, zmienił się nie do poznania. „Duch“

5730621
 1701265.1
 04.12.1

5221 7055214
 020
 5016.

Pierwszy komunikat w języku M. (Schmidtówna skopjowała litery z tablic, które jej się ukazały podczas transu

ten, jak się zdawało dobrze wychowany i grzeczny, zaczął się awanturować i wyprawał takie brewerje, że Helenka „zerwała” z nim i wybrała na opiekuna... Wiktora Hugol Figlarz Leopold poczuł się tem dotknięty i odtąd często dawał dowody złego humoru. Zajrzyjmy do protokołów, co o tem mówią uczestnicy seansów.

„Duch Leopolda oznajmia o swem przybyciu. Przychodzi do panny Schmidt i zdradza chęci wywierania na nią wielkiego wpływu. Medjum widzi go przez pewien czas. Jest to jakoby 35-letni mężczyzna, w czarnem ubraniu. Wyraz twarzy ma raczej dobroduszny. Na kilka pytań, jakie mu zadajemy, odpowiada, że znał pannę Schmidt w poprzedniej egzystencji, a obecnie nie życzy sobie, by przywiązywała się do kogokolwiek na tym padole.”

W innym sprawozdaniu znajdujemy taki opis:

„Jakiś duch objawia się dość energicznie. Jest to Leopold. Mówi nam: Przychodzę dziś sam i chcę rządzić... To nas peszy, gdyż nie można po nim spodziewać się poważnych objawów. Widzimy, że usiłuje uspić pannę Schmidt, jak to już raz zrobił. Medjum walczy z ogarniającą je sennością. Nie chcąc ulec, wstaje od sto-

lika i oddala się na 10 minut, w nadziei, że Leopold odejdzie, ustępując miejsca innym duchom. Ale ani dobrocią, ani szorstkiemi słowami, nie możemy go zmusić do porzucenia naszego towarzystwa. Wobec upor, zdajemy sobie sprawę, iż usiłowania nasze są daremne. Przerywamy seans”.

W innem miejscu czytamy:

„Zjawia się Leopold. Staramy się przemówić mu do rozsądku. Jeżeli nas odwiedza, to niechże przychodzi jako przyjaciel, a nie jak dyktator. Jest dostrzegalny. Przechadza się dokoła stołu i daje nam przyjazne znaki ręką.

Przemawia Wiktor Hugo. Pytamy o pannę Schmidt. „Nie pozwalajcie jej nigdy zasypiać!” — odpowiada. Budzimy medjum, gdyż głęboki sen niepokoi nas bardzo. Mieliśmy dużo trudności z rozbudzeniem...

...zirytowany Leopold dwukrotnie wysunął z pod medjum krzesło i rzucił w róg pokoju. Panna Schmidt padła ciężko na podłogę i stłukła sobie kolano, wskutek czego przez kilka dni kulała. Musieliśmy przerwać seans. Skąd takie animozje?”

512 514. 578621 11
 5214 1 30 0 8412 70
 844 57061 21450
 57.0 61 26 052021
 120 5840 30 01
 85061 1 30 5140.3
 12021 15510 30 80515 ~
 512 5214 10 541541
 21 558750 120201
 120. 2005 30 01 120.
 51060 5041 05201 ~
 1550 10021
 414 0121.

Tekst otrzymany w transie. Inkarnacja Mateni

Tak wygląda Leopold po rocznej przyjaźni z panną Heleną. Co najciekawsze, to, że niesforny ten duch zaczął się podawać za Józefa Balsamo (!), co do reszty wyrobiło mu opinię blagiera.

Profesor Flournoy niezbyt się interesował Leopoldem. Chodziło mu jedynie o zbadanie tajemnicznych liter i dlatego urządził szereg seansów, na których starał się utemperować natrętnego urwisa. Nie udało mu się to całkowicie, jednak Leopold spoważniał nieco i zachowywał się znośnie. Medjum nigdy nie bywało szlucznie usypiane. Wszystkie se-

anse zaczynały się od towarzyskiej pogadanki. Helenka sama doskonale wiedziała, kiedy należy przerwać rozmowę. Oczekiwanie trwało zwykle kilkanaście minut, nigdy ponad godzinę. Trans przeciągał się czasami dość długo, nawet do dwóch godzin. Schmidtowna ulegała woli d-ra Flournoy, o ile nie wmieszał się do sprawy Leopold, lub jaki inny intruz.

Przebudzenie następowo po ukazaniu się pewnych oznak charakterystycznych. Oczy medjum, zamknięte podczas transu, otwierały się z wysiłkiem. Rozszerzone źrenice nie reagowały na światło. Twarz była nieruchoma, bez żadnego wyrazu.

— Obudź mnie...

Kierownik seansu brał ją za rękę i rachował do trzech. Był to umówiony sygnał. Przy słowie „trzy!” martwą twarz rozjaśniał uśmiech, powieki zaczynały drżeć, Helenka przytulała głowę do poduszki, kryjąc oczy przed rżącym światłem.

Częstokroć przebudzenie bywało tylko chwilowe. Wtedy, zupełnie nieoczekiwanie dziewczyna wpadała w trans spontaniczny. Oczy zamykały się, wyraz twarzy stawał się

podobny do maski woskowej, głowa zwisała bezwładnie.

Materiały dotyczące języka M zbierano podczas kilkudziesięciu seansów. Oto przebieg jednego z pierwszych posiedzeń, na których panna Schmidt zaczęła przemawiać w niezrozumiałym języku.

Trans głęboki, połączony z katalepsią. Po

kilkuminutowym bezwładzie, Helenka powstaje z otomany i, postąpiwszy kilka kroków na środek pokoju, zaczyna wyrażać mimiką podróż na Marsa. Porusza miarowo rękami, co ma naśladować fruwanie (atmo-

ra ziemska), następnie stoi bez ruchu (próżnia międzyplanetarna) i wreszcie znów lot na skrzydłach, uwieczniony szczęśliwym wyładowaniem. Oczy medjum są zamknięte. Usta szepcą jakieś niezrozumiałe wyrazy, których brzmienie można jednak notować. Profesor zadaje pytania po francusku, na co otrzymuje odpowiedzi w obcym języku.

Wszystkie słowa są skrzętnie notowane piśmownią fonetyczną. Między innymi pochwyciono zdanie: „Dode ne si haudan te mesze metisze astane ke de me wesze...”

Patrzac w otwarty notatnik, profesor Flournoy kładzie dłoń na czole medjum i woła

tonem rozkazującym:

- Co oznacza słowo „dode”?
- Dode znaczy oto.
- A „ne”?
- Jest.
- A „si”?
- Tam.

Słowo po słowie całe zdanie zostaje przetłumaczone. Ma ono oznaczać: „Oto jest (tam) dom wielkiego człowieka Astane, który ty widziałeś”. (Medjum miało na myśli ry-

5 5 1 4 3 2 2 c 2 2 2
 a b c d e f g h i j k l m n
 4 5 1 4 3 2 2 c 2 2 2
 o p q r s t u v w x y z . ch
 5 5 1 4 3 2 2 c 2 2 2
 5 5 1 4 3 2 2 c 2 2 2

Alfabet języka M. w zestawieniu z łacińskim

1 5 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23 24 25 26 27 28 29 30 31 32 33 34 35 36 37 38 39 40 41 42 43 44 45 46 47 48 49 50 51 52 53 54 55 56 57 58 59 60 61 62 63 64 65 66 67 68 69 70 71 72 73 74 75 76 77 78 79 80 81 82 83 84 85 86 87 88 89 90 91 92 93 94 95 96 97 98 99 100 101 102 103 104 105 106 107 108 109 110 111 112 113 114 115 116 117 118 119 120 121 122 123 124 125 126 127 128 129 130 131 132 133 134 135 136 137 138 139 140 141 142 143 144 145 146 147 148 149 150 151 152 153 154 155 156 157 158 159 160 161 162 163 164 165 166 167 168 169 170 171 172 173 174 175 176 177 178 179 180 181 182 183 184 185 186 187 188 189 190 191 192 193 194 195 196 197 198 199 200 201 202 203 204 205 206 207 208 209 210 211 212 213 214 215 216 217 218 219 220 221 222 223 224 225 226 227 228 229 230 231 232 233 234 235 236 237 238 239 240 241 242 243 244 245 246 247 248 249 250 251 252 253 254 255 256 257 258 259 260 261 262 263 264 265 266 267 268 269 270 271 272 273 274 275 276 277 278 279 280 281 282 283 284 285 286 287 288 289 290 291 292 293 294 295 296 297 298 299 300 301 302 303 304 305 306 307 308 309 310 311 312 313 314 315 316 317 318 319 320 321 322 323 324 325 326 327 328 329 330 331 332 333 334 335 336 337 338 339 340 341 342 343 344 345 346 347 348 349 350 351 352 353 354 355 356 357 358 359 360 361 362 363 364 365 366 367 368 369 370 371 372 373 374 375 376 377 378 379 380 381 382 383 384 385 386 387 388 389 390 391 392 393 394 395 396 397 398 399 400 401 402 403 404 405 406 407 408 409 410 411 412 413 414 415 416 417 418 419 420 421 422 423 424 425 426 427 428 429 430 431 432 433 434 435 436 437 438 439 440 441 442 443 444 445 446 447 448 449 450 451 452 453 454 455 456 457 458 459 460 461 462 463 464 465 466 467 468 469 470 471 472 473 474 475 476 477 478 479 480 481 482 483 484 485 486 487 488 489 490 491 492 493 494 495 496 497 498 499 500 501 502 503 504 505 506 507 508 509 510 511 512 513 514 515 516 517 518 519 520 521 522 523 524 525 526 527 528 529 530 531 532 533 534 535 536 537 538 539 540 541 542 543 544 545 546 547 548 549 550 551 552 553 554 555 556 557 558 559 560 561 562 563 564 565 566 567 568 569 570 571 572 573 574 575 576 577 578 579 580 581 582 583 584 585 586 587 588 589 590 591 592 593 594 595 596 597 598 599 600 601 602 603 604 605 606 607 608 609 610 611 612 613 614 615 616 617 618 619 620 621 622 623 624 625 626 627 628 629 630 631 632 633 634 635 636 637 638 639 640 641 642 643 644 645 646 647 648 649 650 651 652 653 654 655 656 657 658 659 660 661 662 663 664 665 666 667 668 669 670 671 672 673 674 675 676 677 678 679 680 681 682 683 684 685 686 687 688 689 690 691 692 693 694 695 696 697 698 699 700 701 702 703 704 705 706 707 708 709 710 711 712 713 714 715 716 717 718 719 720 721 722 723 724 725 726 727 728 729 730 731 732 733 734 735 736 737 738 739 740 741 742 743 744 745 746 747 748 749 750 751 752 753 754 755 756 757 758 759 760 761 762 763 764 765 766 767 768 769 770 771 772 773 774 775 776 777 778 779 780 781 782 783 784 785 786 787 788 789 790 791 792 793 794 795 796 797 798 799 800 801 802 803 804 805 806 807 808 809 810 811 812 813 814 815 816 817 818 819 820 821 822 823 824 825 826 827 828 829 830 831 832 833 834 835 836 837 838 839 840 841 842 843 844 845 846 847 848 849 850 851 852 853 854 855 856 857 858 859 860 861 862 863 864 865 866 867 868 869 870 871 872 873 874 875 876 877 878 879 880 881 882 883 884 885 886 887 888 889 890 891 892 893 894 895 896 897 898 899 900 901 902 903 904 905 906 907 908 909 910 911 912 913 914 915 916 917 918 919 920 921 922 923 924 925 926 927 928 929 930 931 932 933 934 935 936 937 938 939 940 941 942 943 944 945 946 947 948 949 950 951 952 953 954 955 956 957 958 959 960 961 962 963 964 965 966 967 968 969 970 971 972 973 974 975 976 977 978 979 980 981 982 983 984 985 986 987 988 989 990 991 992 993 994 995 996 997 998 999 1000 1001 1002 1003 1004 1005 1006 1007 1008 1009 1010 1011 1012 1013 1014 1015 1016 1017 1018 1019 1020 1021 1022 1023 1024 1025 1026 1027 1028 1029 1030 1031 1032 1033 1034 1035 1036 1037 1038 1039 1040 1041 1042 1043 1044 1045 1046 1047 1048 1049 1050 1051 1052 1053 1054 1055 1056 1057 1058 1059 1060 1061 1062 1063 1064 1065 1066 1067 1068 1069 1070 1071 1072 1073 1074 1075 1076 1077 1078 1079 1080 1081 1082 1083 1084 1085 1086 1087 1088 1089 1090 1091 1092 1093 1094 1095 1096 1097 1098 1099 1100 1101 1102 1103 1104 1105 1106 1107 1108 1109 1110 1111 1112 1113 1114 1115 1116 1117 1118 1119 1120 1121 1122 1123 1124 1125 1126 1127 1128 1129 1130 1131 1132 1133 1134 1135 1136 1137 1138 1139 1140 1141 1142 1143 1144 1145 1146 1147 1148 1149 1150 1151 1152 1153 1154 1155 1156 1157 1158 1159 1160 1161 1162 1163 1164 1165 1166 1167 1168 1169 1170 1171 1172 1173 1174 1175 1176 1177 1178 1179 1180 1181 1182 1183 1184 1185 1186 1187 1188 1189 1190 1191 1192 1193 1194 1195 1196 1197 1198 1199 1200 1201 1202 1203 1204 1205 1206 1207 1208 1209 1210 1211 1212 1213 1214 1215 1216 1217 1218 1219 1220 1221 1222 1223 1224 1225 1226 1227 1228 1229 1230 1231 1232 1233 1234 1235 1236 1237 1238 1239 1240 1241 1242 1243 1244 1245 1246 1247 1248 1249 1250 1251 1252 1253 1254 1255 1256 1257 1258 1259 1260 1261 1262 1263 1264 1265 1266 1267 1268 1269 1270 1271 1272 1273 1274 1275 1276 1277 1278 1279 1280 1281 1282 1283 1284 1285 1286 1287 1288 1289 1290 1291 1292 1293 1294 1295 1296 1297 1298 1299 1300 1301 1302 1303 1304 1305 1306 1307 1308 1309 1310 1311 1312 1313 1314 1315 1316 1317 1318 1319 1320 1321 1322 1323 1324 1325 1326 1327 1328 1329 1330 1331 1332 1333 1334 1335 1336 1337 1338 1339 1340 1341 1342 1343 1344 1345 1346 1347 1348 1349 1350 1351 1352 1353 1354 1355 1356 1357 1358 1359 1360 1361 1362 1363 1364 1365 1366 1367 1368 1369 1370 1371 1372 1373 1374 1375 1376 1377 1378 1379 1380 1381 1382 1383 1384 1385 1386 1387 1388 1389 1390 1391 1392 1393 1394 1395 1396 1397 1398 1399 1400 1401 1402 1403 1404 1405 1406 1407 1408 1409 1410 1411 1412 1413 1414 1415 1416 1417 1418 1419 1420 1421 1422 1423 1424 1425 1426 1427 1428 1429 1430 1431 1432 1433 1434 1435 1436 1437 1438 1439 1440 1441 1442 1443 1444 1445 1446 1447 1448 1449 1450 1451 1452 1453 1454 1455 1456 1457 1458 1459 1460 1461 1462 1463 1464 1465 1466 1467 1468 1469 1470 1471 1472 1473 1474 1475 1476 1477 1478 1479 1480 1481 1482 1483 1484 1485 1486 1487 1488 1489 1490 1491 1492 1493 1494 1495 1496 1497 1498 1499 1500 1501 1502 1503 1504 1505 1506 1507 1508 1509 1510 1511 1512 1513 1514 1515 1516 1517 1518 1519 1520 1521 1522 1523 1524 1525 1526 1527 1528 1529 1530 1531 1532 1533 1534 1535 1536 1537 1538 1539 1540 1541 1542 1543 1544 1545 1546 1547 1548 1549 1550 1551 1552 1553 1554 1555 1556 1557 1558 1559 1560 1561 1562 1563 1564 1565 1566 1567 1568 1569 1570 1571 1572 1573 1574 1575 1576 1577 1578 1579 1580 1581 1582 1583 1584 1585 1586 1587 1588 1589 1590 1591 1592 1593 1594 1595 1596 1597 1598 1599 1600 1601 1602 1603 1604 1605 1606 1607 1608 1609 1610 1611 1612 1613 1614 1615 1616 1617 1618 1619 1620 1621 1622 1623 1624 1625 1626 1627 1628 1629 1630 1631 1632 1633 1634 1635 1636 1637 1638 1639 1640 1641 1642 1643 1644 1645 1646 1647 1648 1649 1650 1651 1652 1653 1654 1655 1656 1657 1658 1659 1660 1661 1662 1663 1664 1665 1666 1667 1668 1669 1670 1671 1672 1673 1674 1675 1676 1677 1678 1679 1680 1681 1682 1683 1684 1685 1686 1687 1688 1689 1690 1691 1692 1693 1694 1695 1696 1697 1698 1699 1700 1701 1702 1703 1704 1705 1706 1707 1708 1709 1710 1711 1712 1713 1714 1715 1716 1717 1718 1719 1720 1721 1722 1723 1724 1725 1726 1727 1728 1729 1730 1731 1732 1733 1734 1735 1736 1737 1738 1739 1740 1741 1742 1743 1744 1745 1746 1747 1748 1749 1750 1751 1752 1753 1754 1755 1756 1757 1758 1759 1760 1761 1762 1763 1764 1765 1766 1767 1768 1769 1770 1771 1772 1773 1774 1775 1776 1777 1778 1779 1780 1781 1782 1783 1784 1785 1786 1787 1788 1789 1790 1791 1792 1793 1794 1795 1796 1797 1798 1799 1800 1801 1802 1803 1804 1805 1806 1807 1808 1809 1810 1811 1812 1813 1814 1815 1816 1817 1818 1819 1820 1821 1822 1823 1824 1825 1826 1827 1828 1829 1830 1831 1832 1833 1834 1835 1836 1837 1838 1839 1840 1841 1842 1843 1844 1845 1846 1847 1848 1849 1850 1851 1852 1853 1854 1855 1856 1857 1858 1859 1860 1861 1862 1863 1864 1865 1866 1867 1868 1869 1870 1871 1872 1873 1874 1875 1876 1877 1878 1879 1880 1881 1882 1883 1884 1885 1886 1887 1888 1889 1890 1891 1892 1893 1894 1895 1896 1897 1898 1899 1900 1901 1902 1903 1904 1905 1906 1907 1908 1909 1910 1911 1912 1913 1914 1915 1916 1917 1918 1919 1920 1921 1922 1923 1924 1925 1926 1927 1928 1929 1930 1931 1932 1933 1934 1935 1936 1937 1938 1939 1940 1941 1942 1943 1944 1945 1946 1947 1948 1949 1950 1951 1952 1953 1954 1955 1956 1957 1958 1959 1960 1961 1962 1963 1964 1965 1966 1967 1968 1969 1970 1971 1972 1973 1974 1975 1976 1977 1978 1979 1980 1981 1982 1983 1984 1985 1986 1987 1988 1989 1990 1991 1992 1993 1994 1995 1996 1997 1998 1999 2000 2001 2002 2003 2004 2005 2006 2007 2008 2009 2010 2011 2012 2013 2014 2015 2016 2017 2018 2019 2020 2021 2022 2023 2024 2025 2026 2027 2028 2029 2030 2031 2032 2033 2034 2035 2036 2037 2038 2039 2040 2041 2042 2043 2044 2045 2046 2047 2048 2049 2050 2051 2052 2053 2054 2055 2056 2057 2058 2059 2060 2061 2062 2063 2064 2065 2066 2067 2068 2069 2070 2071 2072 2073 2074 2075 2076 2077 2078 2079 2080 2081 2082 2083 2084 2085 2086 2087 2088 2089 2090 2091 2092 2093 2094 2095 2096 2097 2098 2099 2100 2101 2102 2103 2104 2105 2106 2107 2108 2109 2110 2111 2112 2113 2114 2115 2116 2117 2118 2119 2120 2121 2122 2123 2124 2125 2126 2127 2128 2129 2130 2131 2132 2133 2134 2135 2136 2137 2138 2139 2140 2141 2142 2143 2144 2145 2146 2147 2148 2149 2150 2151 2152 2153 2154 2155 2156 2157 2158 2159 2160 2161 2162 2163 2164 2165 2166 2167 2168 2169 2170 2171 2172 2173 2174 2175 2176 2177 2178 2179 2180 2181 2182 2183 2184 2185 2186 2187 2188 2189 2190 2191 2192 2193 2194 2195 2196 2197 2198 2199 2200 2201 2202 2203 2204 2205 2206 2207 2208 2209 2210 2211 2212 2213 2214 2215 2216 2217 2218 2219 2220 2221 2222 2223 2224 2225 2226 2227 2228 2229 2230 2231 2232 2233 2234 2235 2236 2237 2238 2239 2240 2241 2242 2243 2244 2245 2246 2247 2248 2249 2250 2251 2252 2253 2254 2255 2256 2257 2258 2259 2260 2261 2262 2263 2264 2265 2266 2267 2268 2269 2270 2271 2272 2273 2274 2275 2276 2277 2278 2279 2280 2281 2282 2283 2284 2285 2286 2287 2288 2289 2290 2291 2292 2293 2294 2295 2296 2297 2298 2299 2300 2301 2302 2303 2304 2305 2306 2307 2308 2309 2310 2311 2312 2313 2314 2315 2316 2317 2318 2319 2320 2321 2322 2323 23

2YHCT 592V I 592V
 HO 120212L 0YV 7M21
 592V 21 592V 01021

Inkarnacja Ramie

sunek wykonany w transie, podczas poprzedniego seansu).

Przed obudzeniem się, Helenka powiedziała na zakończenie:

„Astane naucz mnie pisać”.

Tajemnicza Astane spełniła obietnicę.

Pewnego wieczoru Schmidtówna zatelefonowała do profesora, że w sklepie, podczas przerwy obiadowej, miała widzenie. Otoczyły ją cztery postacie, a każda z nich trzymała w dłoni tabliczkę pokrytą znakami. Miało to być pismo mieszkańców Marsa.

Na seansach, które nastąpiły po tym wypadku, Leopold kilkakrotnie przemawiał przez usta Heleny, obiecując, że chwila objawienia alfabetu marsjan jest bliska. Wreszcie na seansie u profesora, podczas gwałtownej ulewy, pogrążona w półtransie Schmidtówna krzyknęła nagle: „O widzę ich, idą do mnie z tabliczkami”!

Profesor włożył jej do ręki ołówki i podsunął papier. Zaczęła kreślić gorączkowo dziwaczne znaki, podając jednocześnie ich brzmienie. Spoglądała co chwila w przestrzeń i uśmiechała się do niewidzialnych dla otoczenia istot.

— Już ciemno — zawołała wreszcie Helenka — więcej nic nie widzę.

Po przyjściu do przytomności, gdy jej pokazano zapisany papier, oświadczyła:

— To są te same znaki, które widziałam w sklepie.

Dopiero po upływie trzech tygodni od tego wypadku, Schmidtówna zaczęła biegle pisać w języku M. Nigdy nie podawała się za autorkę. Twierdziła zawsze, że ręką jej kieruje jedna z postaci, które po raz pierwszy ujrzała podczas wizji.

I rzeczywiście, pobieżne zbadanie załączonych tekstów, pisanych jakoby pod inspiracją Astane, Matem, Esenale i innych marsjan pozwala ustalić znaczne różnice w charakterze pisma. Niektóre komunikaty są skrócone jakgdyby ręką kobiecą, inne znów składają się z wielkich znaków, rozstawionych szeroko. Pozwolimy sobie przytoczyć kilka słów w języku M, przyczem będziemy się posługiwali pisownią polską (fonetyczną).

Mode ine se di kawuicze ni ewe sze
Matko droga ja cię poznaję i jestem twoim
kine line.
małym Line.

I mode mete mode
 Omatko, droga matko,
 mode ine
 matko bardzo
 palette
 kochana.

I kisz te ti
 O czemu obok mnie
 si ke di ewe
 (tam) nie (ty) jesteś
 etesze mene
 zawsze przyjaciółko

5Y4521 592V 21 592V
 8c Hc 41c 21 592V 2c 4c
 Hc 120212L 0YV 7M21 5c
 4513c 2c ~

Inkarnacja Astane

izo beneze
 wreszcie odzwyskara.

Ames mis tense lade ti ames ten tiwe
 Przyjdź na chwilę ku mnie, przyjdź do
 awe men kume je sze peleze.
 starego przyjaciela stopić cały swój smutek.

Z powyższych przykładów widać, że język „mieszkańców marsa” niezbyt odbiega od języków indo-europejskich. Te same dźwięki, alfabet równie ubogi, jak w łacinie, deklinacja podobna dofrancuskiej. Profesor Flo-

365213c 21 592V 21 592V

Słowa francuskie: français, lumière, prairie, napisane bezwiednie przez medium alfabetem M.

h v v h p m p w
 v m i v c b c

Halucynacja wzrokowa skopjowana przez medjum

urnoy wyraża się bardzo ironicznie o podróżach Schmidtowny na inne planety. Wszystkie to uważa za wytwór bujnej fantazji i gani spirytystów genewskich, którzy zbyt pochopnie wysuwają wnioski, przez co mimowolnie inspirują medjum.

Analiza języka M wykazuje, że z pośród samogłosek e powtarza się najczęściej (około 40%), następuje litera i (34%) wreszcie a (16%), gdy tymczasem o, u oraz dźwięki nosowe składają się na pozostałe 10%. Alfabet marsjan ma specjalny znak na wyrażenie liczby mnogiej, czego nie spotykamy w innych językach.

Obok języka M, panna Schmidt może się pochwalić niezwykle bogatym „dorobkiem” medjumicznym. Brak miejsca nie pozwala nam na podanie szczegółów o wszystkich dziwach, jakie zaobserwowano na seansach z tem fenomenalnym medjum.

Helenka miewała swe fazy, które można dość ściśle scharakteryzować. Pierwsza dotyczy języka M. Druga faza, induska, podczas której Helenka przemawiała w sanskrycie i pisywała alfabetem dévanāgarī. Wreszcie trzecia, tak zwana faza królewska, charakteryzuje się inkarnacją Marji Antoniny. Poza tem można wyliczyć przypadkowe inkarnacje i komunikaty w innych językach, na przykład w arabskim.

Na zakończenie przytoczymy w streszczeniu protokół z ciekawego seansu, spisany przez profesora Flournoy a dotyczący dwu wypadków inkarnacji.

„Seans odbył się u mnie. Panna Schmidt wpada w trans i natychmiast oznajmia, że widzi niewielkie miasteczko, otoczone winnicami. Po kamienistej ścieżce idzie staruszek. Ma buty zapięte na guziki i kapelusz o szerokim rondzie. Szczupłą twarz wygląda z poza wysokiego koźnierzyka, zasłaniającego całkowicie policzki. Wieśniak, który go mija, zgina się do ziemi, jak przed osobą na wy-

sokiem stanowisku. Staruszek wita kmiotka dobrem słowem. Rozmawiają w dialekcie chłopskim, którego medjum nie rozumie.

Nagle, Helenka, opowiadająca dotychczas spokojnie, woła zmienionym głosem:

— Zegnij jej rękę!

Acha, to Leopold wtrącił się do rozmowy. Stosuję się do wskazówek. Dziewczyna opiera się rozpaczliwie, lecz w końcu ulega. Wkładam jej ołówek między palce. Po chwili, zwracając się do niewidzialnego starca, który jakoby chce się posługiwać przy pisaniu jej ręką, Schmitówna mówi, krzywiąc się boleśnie:

— Pan mi zabardzo ściska rękę... to boli... o, teraz dobrze!

Namysłła się chwilę, rzuca ołówek, bierze pióro i podpisuje: „Chaumontet syndic”.

Po kilku minutach zjawia się ponownie jeszcze wyraźniejsza wizja owego miasteczka. Nalegam, by Helenka spróbowała przenieść się ku rogatkom i odczytać napis na drogowskazie. Zgadza się i czyta: „Chas-senaz”.

Wobec takich rezultatów, zwracam się do niej z prośbą, by zapytała starca o rok. Odpowiada: 1839.

Wizja znika. W Helenkę wciela się całkowicie Leopold i właściwym sobie tubalnym głosem, o wybitnym akcencie włoskim zaczyna dialogować. Przerywam mu pytaniem—co może powiedzieć o ostatniej wizji medjum.

Helenka-Leopold (gdyż tworzą w tej chwili jedną całość) wskazuje palcem kierunek na Fort-de-l'Écluse.

— Szukaj tam — mówi — tam znajdziesz

Time 146 731
 20 15 2

Litery sanskryckie napisane bezwiednie zamiast francuskich w normalnym liście panny Schmidt (la-me, ru-bis, 1-6-6, pli-s, 2-86-5, 15-4)

Burnier salut

*ce vingt et un de mai je certifie
à tous ceux à qui la connoissance
appartient que je suis*

*Burnier
curé de Chassenez*

Podpis proboszcza Burnier wykonany przez medjum w transie (u góry) i podpis autentyczny na dokumencie nadesłanym z merostwa Chassenez

dowód. znajdziesz listy z podpisem tego starca.

Medjum, po odzyskaniu przytomności, nie nie pamięta. Wyjmuję z biurka mapę kantonu i szukam we wskazanym kierunku. W odległości 26 kilometrów od Genewy znajduję miasteczko Chassenez.

Po dłuższej przerwie panna Schmidtówna wpada w trans po raz trzeci i widzi tego samego starca idącego w towarzystwie proboszcza. Starzec przemawia do księdza: „Mon cher Burnier”. Proszę Helenki, by pozwoliła proboszczowi podpisać się jej ręką. Po długim wzdraganiu zgadza się, chwytając pióro i pisze: „Burnier salut”.

Profesor Flournoy nie poprzestał na gołosłownych zapewnieniach Leopolda, lecz niezwłocznie wystosował list do merostwa Chassenez z prośbą o jaknajszybszą informację.

Po dwu dniach otrzymał odpowiedź, napisaną własnoręcznie przez mera p. Sanier.

„W latach 1838 i 1839 — pisał p. Sanier — syndykiem Chassenez był Jan Chaumontet, którego podpisy figurują na wielu dokumentach. Miasteczko nasze miało wtedy za proboszcza zanego księdza Andrzeja Burnier. W jego podpis są zaopatrzone wszystkie ówczesne akta chrztu, ślubu i śmierci.”

Wraz z tym listem profesor otrzymał z merostwa próbki autografów, których kopje zamieszczamy wraz z kopjami podpisów, skreślonych ręką Heleny Schmidt.

Czytelnicy będą łaskawi porównać.

Powstrzymujemy się od wysnuwania jakichkolwiek wniosków, gdyż zbyt pochopność prowadzi w tych wypadkach na manowce.

Gigantyczne budowle starożytnych

Napisał inż. Z. Kacprowski.

Jeśli postępy nowoczesnej techniki budzą w nas słuszny podziw i schlebają do pewnego stopnia naszej miłości własnej, to sprawiedliwość nie pozwala nie doceniać wysiłków i inteligencji ludów starożytnych, które złożyły w budowlach, istniejących od setek i tysięcy lat, wieczyste dowody swej inicjatywy i ambicji.

Nie zapominajmy, w jakich to warunkach powstały owe budowle bez odpowiedniej wiedzy teoretycznej, i bez tej potężnej pomocy, jaką nam dają obecnie doskonale maszyny i dokładne narzędzia. Protoplaści nowoczesnych inżynierów mieli do swej dyspozycji tylko wielotysięczne armje robotników — tego materiału ludzkiego, który nie, lub prawie nie kosztował, — prymitywne rusztowania, a jako narzędzia, wałki do przesuwania ciężarów, równie pochyle, kilofy i łopaty.

Jeśli, zważywszy to, spojrzemy teraz na rezultaty, utrzymane przez starożytnych w ich budownictwie, to z pewnością przyznamy, iż są tam rzeczy godne najwyższego podziwu i sprawiedliwej, współmiernej do środków, oceny.

Starożytni byli przede wszystkim, o ile chodzi o rzemiosło, murarzami. Jest to zresztą zrozumiałe, gdyż ciosanie kamieni nie wymaga złożonych instrumentów, lecz tylko zręczności osobistej i czasu. Ten ostatni element podniesiony do rzędu najważniejszych czynników we współ-

czesnej teorii pracy, wówczas nie grał roli żadnej. Wszak poddostatkiem było wszędzie rąk niewolniczych, które pracowały niemal darmo. Dla tych samych powodów rozwinęła się w starożytności dziedzina robót ziemnych. Wystarczy tu kilof i łopata — narzędzia, które dopiero bardzo niedawno wyszły z użycia przy wykonywaniu podobnych robót na wielką skalę.

Z budowli prymitywnych należy cytować przedewszystkiem dolmeny, menhiry i kronlehy, które można spotkać i dziś jeszcze w wielu miejscach, a szczególnie w Bretanii. Owe pomniki z okresu neolitycznego wznoszą się, bądź jako głazy ustawione pionowo, bądź też jako ogromne kamienie, ułożone poziomo na innych pionowych. Każdy z tych głazów, zresztą nieobrobionych z powodu braku narzędzi w tej epoce, przedstawia ciężar, zgola niewspółmierny z siłą człowieka, niezaopatrzonego w narzędzia pomocnicze.

Jednakże te głazy wagi kilku ton, dochodzące czasami do dwudziestu metrów długości, były przenoszone, ustawiane, układane w odpowiedni sposób. Zważywszy zupełny w owych czasach brak urządzeń do podnoszenia ciężarów, należy przyznać, iż ludzie wtedy musieli stosować przy pracy pewne sposoby dowcipne, aczkolwiek proste. Przypuszczalnie kamienie, które miały stać pionowo, były przesuwane na wałkach (sposób znany w naj-



„Igła Kleopatry” — obecnie znajduje się w Londynie.

odleglejszej starożytności), a następnie spychane jednym końcem do uprzednio wykopanego dołu. Następnie między tak umocowane kolumny, czy też pilastry, sypano ziemię aż do wierzchołków ostatnich. Na tym nasypie umieszczano poziomo głaz, podsunięty również na wałkach, poczem wygrzebywano nasypaną poprzednio ziemię. W ten sposób mogły być budowane dolmeny. Ale za cenę jakich wysiłków, z jaką zatrata energii i czasu! Obecnie podniesienie ciężaru kilkutonowego jest fraszką. Wtedy było to niemalej epopeją.

Doskonałym okazem pracy kamieniarskiej jest słynny blok kamienny z Baalbek. Głaz ten, ważący nie mniej niż 500 ton, ma 21 metrów długości i 5 metrów grubości, i może być uważany, jako arcydzieło w swoim rodzaju. Z obróbki jego widać, iż współcześni kamieniarze posiadali już znaczne wiadomości fachowe i rozporządzali narzędziami względnie udoskonalonemi, jakkolwiek metody podnoszenia ciężarów były jeszcze nader pierwotne. Obecnie olbrzymi kamień znajduje się w pozycji leżącej, częściowo zagłębiony w ziemię, wśród wspaniałych ruin świątyni Jowisza, wzniesionej w swoim czasie w Baalbek, czyli w słynnym Heliopolis w Syrii.

Jednakże żadna może z wielkich budowli starożytnych nie budzi takich refleksyj o potęgę muskularnej armij robotniczych, i o ogromnych okresach czasu, zużytego na wznoszenie gigantycznych pomników, co piramidy egipskie. Kolosy te, powstałe na rozkaz wszechwładnych faraonów, rzucają wyzwanie kruszącym wpływom stuleci, i dobitnie dokumentują prawa starożytnych do miejsca w Panteonie twórczości ludzkiej.

Budowa wielkich piramid zaczęła się około roku 4800 przed Chrystusem. Były one prze-

znaczone, jak wiadomo, na grobowce dla rodziny królewskiej. We wnętrzu tych niezwykłych konstrukcyj urządzano mnóstwo komór, korytarzy i nisz, dziwnie poplątanych w celu zmylenia drogi świętokradczym intruzom. Wejście od zewnątrz było ongiś zupełnie zamaskowane pokryciem piramidy. To pokrycie, składające się z kamienia polerowanego, dawało piramidom wygląd jednolity i dokładnie geometryczny. Zewnętrzna powłoka została z czasem zniszczona, głównie przez Arabów, i obecnie, miast równej powierzchni, ściany piramid posiadają cały szereg ogromnych stopni, na podobieństwo schodów.

Dokładność w wykonaniu tych budowli jest

wprost zdumiewająca, szczególnie jeśli się pamięta o skromnych środkach, jakimi rozporządzali egipcjanie budowniczy. Zresztą wieki dawno wystawiły świadectwo tej dokładności.

Herodot podaje szczegóły wykonania



Pont du Gard, dawny wodociąg rzymski w okolicach Nîmès.

największej piramidy Cheopsa. Ogromne głazy, przeznaczone do budowy, sprowadzano aż z Arabji. Całe armje niewolników, zaprzężonych do długich lin, ciągnęły bloki kamienne zwolna po ułożonych pod niemi wałkach, przez nieskończone setki kilometrów, wśród spiekoty i znoju dni podzwrotnikowych, aż do brzegów Nilu. Tutaj ładowano je na statki, zdejmowano na drugim brzegu rzeki i znów ciągnięto w podobny sposób do miejsca przeznaczenia. Pisarz grecki wspomina, iż pracowało stale w ten sposób 100.000 ludzi, których zmieniano co trzy miesiące. I tylko na zbudowanie drogi, po której odbywała się ta wędrówka, poświęcono dziesięć lat. Ale w tych czasach, ani życie ludzkie, ani czas ceny nie posiadały.

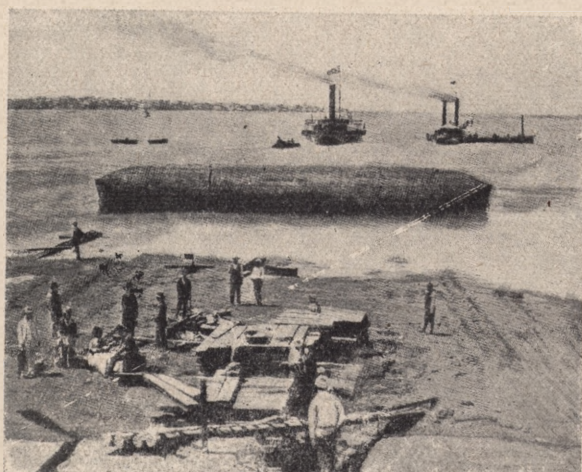
Kolosalne bloki piramidy tworzą schody z 200 stopni, z których każdy ma 70 centyme-

trów wysokości. Prawdliwość tych bloków, i ich dopasowanie przedstawiają ideał dokładności, o przewyższeniu którego w naszych pracach obecnych nie może być mowy.

Wierzchołek piramidy znajduje się na wy-

mierzy tylko 11 metrów wysokości, gdyż pozabawiono go nóg, ale który był wykuty z jednego bloku piaskowca. Należy się zapytać, jak Egipcjanie, przy prymitywności swych metod manipulacyjnych, mogli taki olbrzymi kamień przywieźć na miejsce, ustawić pionowo i należycie obrobić.

Narody starożytne lubowały się w konstrukcjach wielkich rozmiarów, ale, z małymi wyjątkami, te rzeczy nie posiadają charakteru użyteczności publicznej, która cechuje nowoczesne prace, wykonywane na dużą skalę. Są to zazwyczaj posągi, obeliski, świątynie, lub pałace, schlebające ambicji władców, lub w najlepszym razie przeznaczone do użytku małej liczby uprzywilejowanych. Do tej kategorii dzieł bezsprzecznie należy Wielki Sfinks egipski. Jest on właściwie wykuty w skale, dosztukowanej tam, gdzie zacho-



„Igła Kleopatry“ odpowiednio opakowana celem wysłania do Europy.

sokości 140 metrów od ziemi, a całość jej przedstawia masę kamienia objętości 2 i pół miliona metrów sześciennych. Ktoś obliczył, iż materiału tego wystarczyłoby na otoczenie całej Hiszpanii murem wysokości około 2 metrów.

Trzecia, t. j. najmniejsza z wielkich piramid, posiada wysokość 66 metrów, czyli mniej więcej wysokość wieży paryskiej katedry. W swoim czasie była ona całkowicie obłożona czerwonym granitem, który trzeba było sprowadzać z miejscowości, oddalonej o 900 kilometrów. Taka odległość nas nie przestrasza obecnie, skoro rozporządzamy siecią kolejową i odpowiednim taborem, ale w czasie panowania czwartej dynastji egipskiej rzecz przedstawiała się zgoła inaczej. W bezpośrednim sąsiedztwie piramid znajdujemy inne jeszcze wielkie dzieła starożytnych, choćby posąg Ramzesa II, który teraz



Doskonale zachowany wodociąg rzymski pod Segową w Hiszpanji.

dziła potrzeba, za pomocą ogromnych bloków kamiennych. Tajemniczy twór istniał już wtedy, gdy Cheops zaczynał budować swoją piramidę. Wymiary tego kolosa są imponujące. Ucho jego mierzy przeszło 4 metry długości. Niestety żaden pisarz starożytny nie zostawił nam bliższych szczegó-

łów, związanych z budową jego. Możemy przeto zgadywać tylko, za cenę jakich wysiłków tysięcy ludzi, jakich cierpień fizycznych i moralnych, i wielu śmierci istot żyjących, powstał ów chimeryczny emblemat tajemniczości, który dziś liczy przeszło 6000 lat.

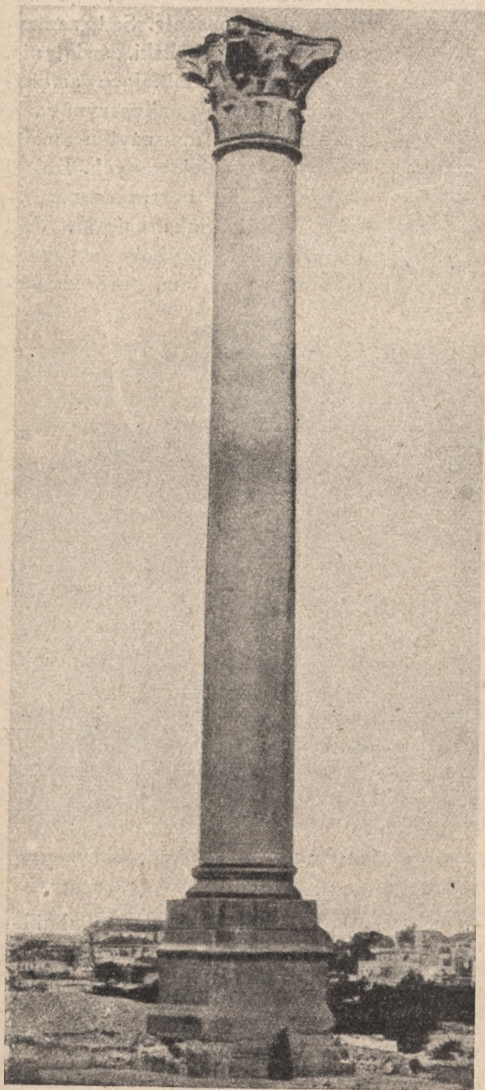
Gdy przejdziemy do cywilizacji późniejszych, spotkamy więcej jeszcze dzieł niezwykłych. Na wyspie Pharos, w pobliżu Aleksandrii, pierwsi Ptolomeusze zbudowali słynną latarnię morską, zaliczoną przez starożytnych do cudów świata. Przedewszystkiem sama wyspa została połączona z lądem za

pomocą sztucznej drogi bitej długości 800 metrów, wykonanej przez wielotysięczne rzesze robotników, którzy nanosili potrzebną ilość ziemi i kamienia w workach lub koszach. Wieża latarni wznosiła się na 110 metrów, co nawet wzięte w nowoczesnej skali, przedstawia znaczną wysokość. Podobno ogień z wierzchołka wieży był widziany przez marynarzy w odległości 40 kilometrów, choć liczba ta zdaje się być przesadzona. Budowa latarni, która składała się z trzech kondygnacji, kosztowała 800 talentów — sumę na owe czasy kolosalną, bo wynoszącą obecnie około 4 milionów franków złotych. Zwróćmy uwagę na to jeszcze, że, jak wspomniano, większa część robotników nie otrzymywała żadnej zapłaty pieniężnej, a tylko jakieś takie pożywienie.

O dokładności i sumienności wykonania tej wieży świadczy fakt, iż jeszcze w XIII stuleciu można było ją oglądać, jakkolwiek wierzchołek jej był odtracony i widać było liczne ślady uszkodzeń.

Nie można również pominąć milczeniem słynnego kolosa Rodyjskiego, wzniesionego około roku 280 przed Chrystusem. Figura ta, stworzona przypuszczalnie dla uczczenia boga słońca, była zrobiona z brązu, pochodzącego z machin wojennych, i ofiarowanego na ten cel przez Demetrjusza, króla macedońskiego. Plinusz miał możność oglądania resztek kolosa, obalonego w czasie trzęsienia ziemi. Opowiada on, iż wielki palec ręki figury był takich rozmiarów, że nie można było objąć go obu ramionami. Wielką była zasługa i umiejętność greckich konstruktorów, którzy potrafili podobnego olbrzyma zrobić, a szczególnie zmontować. Montaż coprawda trwał 12 lat, a ogólny koszt tej nadzwyczajnej imprezy wyniósł na obecne pieniądze z górą milion franków. Inny historyk dodaje jeszcze, iż „gruzy kolosa Rodyjskiego spoczywały na ziemi aż do roku 672 naszej ery, w którym to czasie zostały sprzedane handlarzom. Do przewiezienia ich trzeba było użyć 900 wielbłądów”. Czyż bez racji umieszcili starożytni to niezwykle dzieło pośród „cudów świata”?

Ale jednym z najpiękniejszych twórców starożytności była niezaprzeczenie świątynia Diany w Efezie, wzniesiona na miejscu niezbyt odległym od dzisiejszej Smyrny. To był również jeden z „cudów świata”. Świątynia



Kolumna Pompejusza w Aleksandrii.



ŚWIĄTYNIA KOŁOSÓW W LUKSORZE (EGIPT)

*Piramida w Saħhara*

ta zniknęła zupełnie, jak również cyrk, teatr i wodociąg. Wszystko zostało zniszczone i zrównane z ziemią przez barbarzyńców, w okresie panowania rzymskiego. Świątynia

miała 120 metrów długości i 66 głębokości. Było tam 127 kolumn, dźwigających posagi znakomitych mężów. Wiązania gmachu były wykonane z drzewa cedrowego — luksus, na

*Koloseum rzymskie.*

jaki przypuszczalnie nie pozwolilibyśmy sobie obecnie, i zresztą zgoła zbyteczny w czasach, gdy posiadamy wysmienite, lekkie i wytrzymałe wiązania metalowe, z którymi współczesna technika dokonywa nadzwyczajnych niemal rzeczy. Jako gżemsu u głównych drzwi wejściowych, użyto ogromnego bloku kamiennego, ważącego bodaj że nie mniej od opisanego powyżej „kamienia z Baalbek”. Jakim nadludzkim nakładem pracy, lub też w jaki przedziwnie pomysłowy sposób zdołano podnieść olbrzymi głaz na odpowiednią wysokość? A okres trwania budowy? — Długi, bardzo długi, bo około 220 lat!

Skoło mówimy o słynnych na cały świat starożytnych „siedmiu cudach”, nie zapomnijmy o wiszących ogrodach Babilonu, wykonanych na rozkaz świetnej Semiramidy. Ogrody te istniały w rzeczywistości i oprócz tęczowej legendy, związanej z ich egzystencją, mamy tu pewne dokładne dane, a nawet liczby.

Składały się one, mianowicie, z czterech tarasów, leżących w różnych kondygnacjach. Najwyższy wznosił się na 25 metrów. Wszystko spoczywało na murach grubości 6 i pół metra. Tarasy były utworzone z wielkich bloków ka-

miennych, na których układano warstwę cegły, a potem warstwę ołowiu. Wreszcie na tak przygotowane powierzchnie sypano ziemię, która rodziła nietylko najpiękniejsze kwiaty, ale gdzie rosły nawet wielkie drzewa. Nie wiemy ile czasu i jakich kosztów

wymagało urządzenie tej luksusowej zabawki pysznych władców azjatyckich, ale łatwo się domyślić, iż obie te pozycje musiały się przedstawiać nader poważnie.

Dotychczas widzieliśmy budowle wielkie i imponujące, będące raczej wyrazem pychy lub sybarytyzmu możliwych, niż odpowiedzią na potrzeby szerokiej ludności. Lecz było i inaczej, choć wielkie prace w starożytności, jak to zaznaczyliśmy już, przynajmniej przed okresem rzymskim, rzadko kiedy były podejmowane dla dobra ogółu. Jedną z takich prac pożytecznych był tunel Schileah,

Ten odległy pierwowzór na-

szych Simplonów i Gothardów nie przechodził cprawda pod wielką górą, ale przechodził pod wzgórzem Król Ezechjasz, panujący w Jerozolimie około roku 700 przed Chrystusem, chciał w ten sposób zaopatrzyć miasto w dobrą wodę i zbudował cały system wodociągowy. Trzeba było tedy wodę sprowadzić ze źró-



Olbrzymia brama przed świątynią w Karnaku.



Olbrzymi Sfinks w Egipcie.

dła Marji, aż do rezerwoaru, urządzonego wewnątrz miasta. Ostatni jest znany pod nazwą stawu Siloam, spotykana w czwartej ewangelji. Król Ezechjasz nie zawahał się przebić w tym celu wzgórza, gdyż tedy szła najprostsza droga. W tunelu znaleziono nawet tabliczkę, opiewającą różne momenty tej trudnej pracy, tembardziej trudnej, że używano wtedy narzędzi z bronzu! Wymiary tunelu były skromne: długość 500 metrów, szerokość od 60 do 90 centymetrów, i wysokość bardzo różna od 60 centymetrów do 3 metrów. Tunel zresztą przedstawiał linię łamaną z powodów łatwo zrozumiałych. Zaczęto go bowiem prowadzić zupełnie prawidłowo, t. j. z obu stron jednocześnie, ale, z powodu braku instrumentów precyzyjnych, nie umiano wytknąć prostej linii, wobec czego spotkanie obu grup nastąpiło na chybił trafił.

Nie wszystkim również jest wiadomo, iż w odległych czasach dynastji macedońskiej,

a później za Kaliguli i Nerona, kielkowała już myśl przekopania kanału Korynckiego, myśl, która została urzeczywistniona dopiero znacznie później przez inżynierów nowożytnych.

Wielkimi budowniczymi byli Rzymianie. Ślady ich twórczości zachowały się po dzień dzisiejszy, i z postępem czasu odkrywamy coraz to nowe zabytki urządzeń i budowli, pozostawionych przez nich w różnych miejscach dawnego imperjum. Rzymianie przytem budowali dużo obiektów użyteczności publicznej. Wiadomo powszechnie o słynnych drogach rzymskich, mniej nieco o mostach i wodociągach. Nie bali się oni rzucać mostów przez najgwałtowniejsze rzeki, a na Dunaju postawili most, którego nie powstałoby się nasi technicy. Dostarczanie dobrej i czystej wody ludności było stałą troską władz rzymskich. Wodociągi ich były budowane nadzwyczaj dokładnie i solidnie. Niektóre z nich przetrwały do czasów dzisiej-

szych w lepszym lub gorszym stanie. Wskazać tu można na znany Pont du Gard w okolicach Nîmes, i na drugi wspaniały zabytek tego rodzaju pod Segowją w Hiszpanji.

Jeśli budowle rzymskie były świetne pod względem wytrzymałości, to nie należy bynajmniej przypuszczać, iż wynaleziono w tym czasie jakieś nowe, doskonalsze narzędzia, lub urządzenia pomocnicze. Wszystko pozostało po staremu... Falangi niewolników, wałki do przesuwania, równia pochyła i może wielokrążki, w jakiejś formie. Zresztą jeśli zrobimy skok gwałtowny o kilkanaście stuleci naprzód, to zobaczymy ze zdumieniem jak pierwotne metody stosowano przy podobnych pracach w czasach stosunkowo niedawnych. Kiedy np. Riquet, inżynier francuski przekopywał

w XVII-em stuleciu kanał Południowy we Francji, to znów, jak za dobrych czasów faraonów, można było zobaczyć przy pracy całą armję robotników z łopatami i kilofami.

Większa część linii kolejowych w Europie zbudowana została w niemniej prymitywny sposób.

Wreszcie, gdy w okresie już zupełnie nam bliskim, rozpoczęto wielką pracę przekopania kanału Suezkiego, to jeszcze można było ujrzeć robotników, noszących ziemię koszarą lub workami.

Ale wkrótce rozpoczyna się nowa era w tej dziedzinie techniki.

Zjawiają się liczne maszyny pomocnicze, które z miesiąca na miesiąc, nieomal z dnia na dzień, stają się potężniejszymi, które mnożą stokrotnie, a potem tysiącrotnie słabe siły człowieka, i pozwalają mu wykonać w szybkim czasie zadania, przekraczające najsmiel-

sze marzenia starożytnych.

Nadzwyczaj silnym bodźcem w tym kierunku była niezłomna wola wykonawców słynnego kanału Panamskiego. Trudności, jakie tam napotymano przy pracy, zgłębiał odmiennego charakteru, zmusiły inicyjatywę ludzką do stworzenia coraz lepszych, coraz potężniejszych pomocy mechanicznych.

Wreszcie i Wielka Wojna zrobiła swoje. W licznych laboratoriach, biurach kons-



Kolosy Memnosa w Tebach.

trakcyjnych i fabrykach, z całego kompleksu intensywnych wysiłków, powstał nie jeden nowy projekt, wyłoniła się nie jedna myśl twórcza. Zrodzone pierwotnie z pobudek niszczycielskich, przyczyniły się one później do powiększenia dorobku cywilizacyjnego ludzkości, i do rozszerzenia zakresu posiadania tej ogromnej dziedziny, którą jest technika, a której wielkim celem jest uczynić nasze trudne życie znośniejszem i lepszem.

Port of London

Napisał

J. Szapiro



U DYREKTORA PORTU.

Zwiedzanie portu londyńskiego zajęło mi kilka dni czasu, chociaż starałem się zobaczyć jedynie rzeczy najciekawsze i najbardziej godne widzenia. Aby otrzymać pozwolenie na zwiedzenie portu i być oprowadzonym przez kompetentnego przewodnika, musiałem po przeprowadzeniu odpowiedniej korespondencji odwiedzić generalnego dyrektora Port of London Authority, p. D. J. Owena. Biura zarządu portu zajmują olbrzymi gmach w odległości kilku kroków od znanego zamczyska Tower i od wspaniałego mostu, Tower Bridge, ostatniego mostu na Ta-

mizie w kierunku morza. Gmach Port of London Authority jest trochę może zacieężki i za przygniatający, jak zresztą wiele innych publicznych gmachów londyńskich, ale odpowiada godności samego portu.

W rozmowie zapytałem p. Owena o to, jak zapatruje się on na możliwość rozwoju stosunków z polskimi portami. P. Owen dyplomatycznie odpowiedział, że jest to sprawa, która raczej zależy od kupców w obu krajach i od przedsiębiorstw okrętowych. On sam, jako kierownik zarządu portowego, z wielką gotowością weźmie pod uwagę propozycje, które będą obliczone na poparcie rozwoju i powiększenia wzajemnej wymiany i ruchu między Polską a Anglią.

Zapatrzony w przepustkę, w polecające listy do zarządzających poszczególnymi działami w porcie, i w plan dokładny — puściłem się w drogę. Zacząłem naturalnie od doków, do których przybywają okręty ze wszystkich stron świata i skąd wypływają na szerokie morze.

Najniżej położony jest Tilbury Dock, w odległości czterdziestu kilometrów od centrum Londynu. Tamiza w tym miejscu, już niedaleko od swego ujścia, rozszerza się niebywale i sprawia wrażenie raczej zatoki morskiej, aniżeli rzeki, która cała przecież nie jest dłuższa ponad 330 kilometrów. Znaczenie i wielkość Tamizy wogóle polega na tem, że rzeka ta bardziej zależy od morza, aniżeli od swoich dopływów. Z przypiływem morskim Tamiza wzbiera ogromnie i fala powrotna, przeciw prądowi naturalnemu rzeki, docho-



Gmach zarządu portu londyńskiego

dzi aż do Teddington, o 100 kilometrów od morza, do miejsca, gdzie Tamiza ma może kilkadziesiąt metrów szerokości.

Tilbury Dock używany jest dla ruchu pasażerskiego z Australji i Dalekiego Wschodu. Ruch towarowy jest stosunkowo niewielki, odbywa się tam przeważnie przeładowanie na mniejsze statki rzeczne. Zarząd portu przedsięwziął niedawno rozszerzenie tych doków i chce tak daleko je posunąć, aby odważyć się na przyjęcie największych pasażerskich statków oceanicznych. Dotychczas doki w Tilbury mają powierzchnię 72 akrów i zgórą cztery kilometry linii pobrzeżnej.

JAK SIĘ WJEŻDZA DO DOKÓW?

Największe i najważniejsze są doki, nazwane imieniem króla Jerzego i Alberta, księcia, małżonka królowej Wiktorji. Wjeżdżaliśmy do doków Alberta, zbudowanych w końcu ubiegłego stulecia, łodzią motorową. Z pełnej rzeki, która stale zwężała się w miarę oddalenia się od Tilbury, ale mimo to miała jeszcze kilkaset metrów szerokości, zjechaliśmy ku północnemu brzegowi, do koryta szerokości kilkudziesięciu metrów. Za nami zamknęła się szluza i poziom wody w

basenie, w którym znaleźliśmy się razem z kilkunastu innymi statkami, zaczął podnosić się. Kiedy poziom zrównał się z poziomem wody w dokach, który o tej porze dnia i roku bywa wyższy, aniżeli na rzece, otworzyła się inna szluza i wjechaliśmy pod mostem zwodzonym, łączącym przeciwne brzozi doków i podnoszonym przy przejściu wielkich statków. Przed nami, na jakie dwa kilometry, ciągnął się z obu stron gładkiej i równej powierzchni wody długi sznur okrętów różnej wielkości i budowy.

Doki Alberta wchodzą daleko w głąb lądu i połączone są z równoległe do nich zbudowanymi najnowszymi, powojennymi dokami Jerzego. Zajmują znaczną przestrzeń i mogą przyjmować okręty pojemności 20 tys. ton. Głębokie są na 10 metrów, mają dno cementowe, oczyszczane starannie od piasku i mułu. Doki Jerzego są jeszcze głębsze, do 15 metrów i szersze. W miejscu, gdzie doki kończą się i wpierają się w ląd, znajdują się niezwykle ciekawe urządzenia dla inspekcji i naprawy olbrzymich okrętów.

„SUCHE DOKI”.

Urządzenie zw. „Suchym dokiem” — to

wielki basen cementowy, oddzielony od reszty doku mocną szluzą, która otwiera się dla przepuszczenia okrętów, wymagających naprawy. Znalazł się w suchym doku, okręt zapomocą całego systemu belek i lin zostaje umocowany tak, aby mógł się utrzymać w pionowej pozycji po wypompowaniu wody. Elektryczne pompy mogą usunąć z doku w ciągu niewielu minut kilkanaście tysięcy ton wody. Okręt cały od zakrąglonego i zastrzonego u dołu dna aż do wierzchołków wież radiowych ukazuje się oczom. Olbrzymie rozmiary wielkich okrętów oceanowych dopiero w takim suchym doku można należycie ocenić, kiedy widzi się, że część nadwodna okrętu jest znacznie mniejsza od podwodnej. Dokoła okrętu powstają rusztowania, jak przy budowie wysokich kamienic i setki robotników zatrudnione są przy malowaniu, odświeżaniu i naprawianiu kadłuba. Po dokonaniu wszelkich niezbędnych przeróbek—normalnie wielkie okręty co rok poddawane są oględzinom w suchych dokach — wpuszcza się na nowo wodę do doku, okręt zwalnia się z lin i belek i o własnych siłach wychodzi na szerszą wodę doku zwykłego i dalej.

DOKI HANDLOWE.

Po obu brzegach doku Alberta wznoszą się liczne budowle, przeznaczone głównie na składy. Okręty, wprowadzone do doków przez pilotów, zatrzymują się przed składami, do których mają wyładować towary na dłuższy czas albo przed prowizorycznymi szopami, z których bezpośrednio następuje przeładowanie na pociągi.

CHŁODNIE.

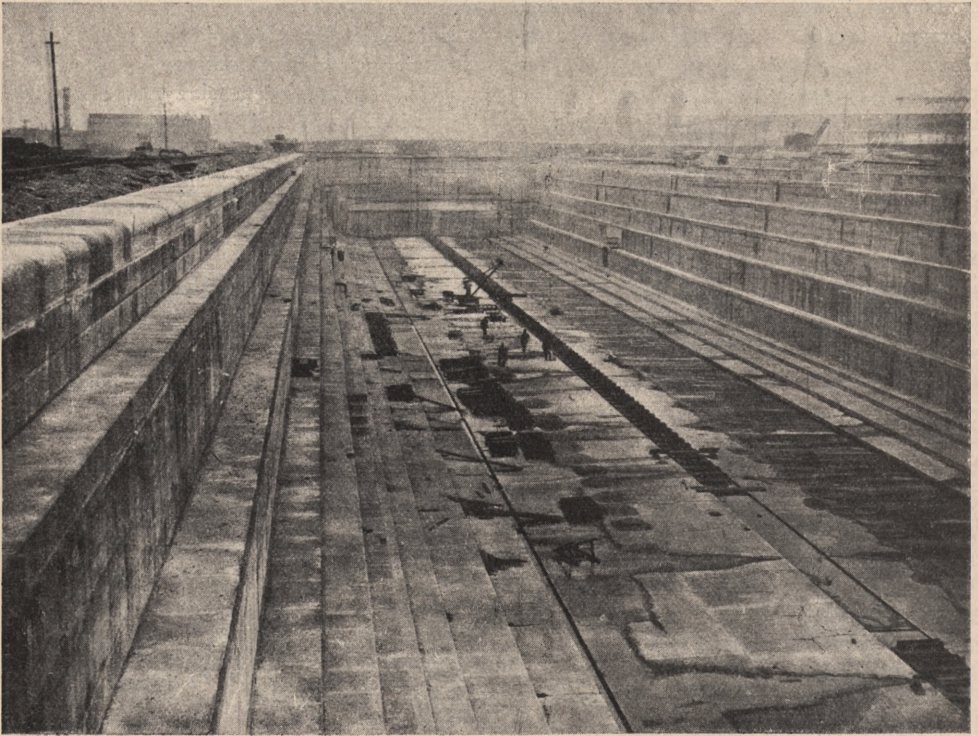
Najokazalszym budynkiem jest wielka chłodnia, sześciopiętrowa, wyglądająca zewnątrz, jak zamknięta skrzynia, bez okien i drzwi. Z wysokości piątego piętra ciągnie się zamknięta galerijka do niewielkiego składu tuż przy wodzie. Aby się dostać do chłodni, należy windą wjechać na górę, do sali, w której temperatura jest bliska zera. Z tej sali właśnie rozpoczyna się galerijka, która wewnątrz zawiera szeroką taśmę, nieustannie poruszającą się na wałkach, w kierunku zdołu w górę. Przedmiot umieszczony na tej taśmie na dole w składzie, szybko posuwa się w górę. Taśma ta może przenosić z ogromną szybkością wielkie ciężary.



Ogólny widok doków Alberta

Chłodnie w Albert Dock służą do przechowywania mięsa. Port londyński jest jednym z największych na świecie rynków mięsnych. Zamrożone mięso przychodzi głównie z Australji i Nowej Zelandji — baranina i jagnięcina z Argentyny — wołowina — i ze Stanów Zjednoczonych — wieprzowina. Kiedy otwarto pierwsze chłodnie w 1882 roku, mieściły one zaledwie 500 sztuk bydła. Obecnie w całym porcie londyńskim jest miejsc

ją się prosto do wagonów-chłodni. Procedura przeładowania trwa bardzo krótko. Praca ludzka ogranicza się do kierowania ruchami lin i przesuwania wieszaków. Starannie unika się przy tej robocie dotykania rękami mięsa. Pociągi po przeładowaniu od razu są skierowywane do odpowiednich stacji nadania. Mięso, przeznaczone dla Londynu samego, przeładowuje się wprost z okrętów do samochodów-chłodni tym samym systemem.



Suchy dok długości 250 metrów, w którym pomieścić można statek 20 tys. tonowy

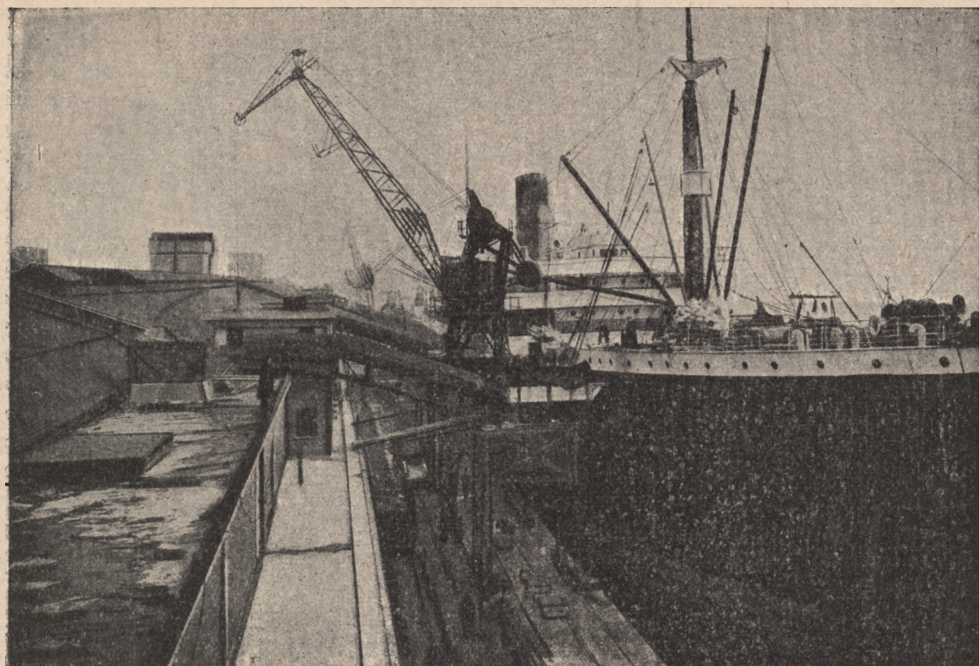
w różnych chłodniach w różnych dokach na 3 i pół miliona sztuk. Przeciętny przywóz mięsa do portu wynosi 750 tys. ton rocznie, czyli 75 tys. wagonów, czyli prawie 25 milionów sztuk. Chłodnia w Albert Dock może pomieścić sama zgórą milion sztuk tułowi.

GÓRY MIĘSA MROŻONEGO.

Okręt, przywożący mięso zamrożone, stara się wyładować je jaknajszybciej. Jeżeli bezpośrednio przeładowuje się na pociągi, wówczas wzdłuż specjalnych lin zaszyte w płótno tułowie, uwieszane na hakach, przesuwają

się prosto do wagonów-chłodni. Każdy samochód zabiera około 120 sztuk bydła. W ciągu półtorej godziny od chwili wydobycia mięsa ze składów na okręcie dostaje się ono na centralny rynek mięsny londyński w West Smithfield!

Procedura bywa bardziej skomplikowana, jeżeli mięso ma zostać na składzie w porcie. Wówczas przeładowuje się je do chłodni albo zapomocą taśmy ruchomej, albo windami. W wielkiej sali na najwyższym piętrze chłodni odbywa się sprawdzanie i sortowanie mięsa. Chodzi głównie o to, aby nie dostało się do chłodni mięso niedość dobrze prze-



Wyładowywanie okrętu bezpośrednio do chłodni w dokach Alberta

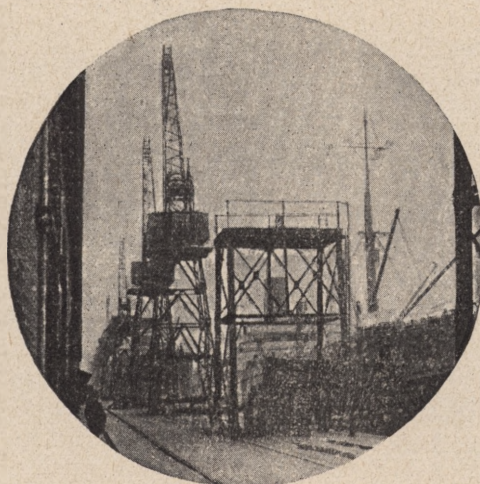
chowane. Po sprawdzeniu rozwozi się je po różnych salach, w których po raz pierwszy w ciągu mego pobytu w Londynie poczułem mróz dotkliwy. Mięso w tych chłodniach może pozostawać bardzo długo, nie psując się. Taki zamrożony baran jest twardy jak deska. Przy uderzeniu wydaje

dźwięk skrzyni drewnianej. Jest odpowiednio spreparowany: wnętrze są usunięte, łeb ścięty, brzuch rozplątany; zapachu żadnego nie wydaje. Ale i też smaku ma niewiele, kiedy nareszcie odgrzany dostaje się na stoły jadalne Anglików. Zrozumiałem w tej chłodni, dlaczego mięso, którym mnie karmią, a szczególnie baranina i jagęcina, tak mało oddziaływają na zmysł smaku...

SKRZYNIE Z NABIAŁEM I BECZKI Z OWOCAMI ZE WSZYSTKICH STRON ŚWIATA.

Oprócz mięsa chłodnie mieszczą wielkie zapasy produktów mlecznych, głównie masła

i sera. Wyładowanie niezliczonych skrzynek z nabiałem odbywa się albo zapomocą specjalnych przenośnych platform albo zapomocą elewatorów. Platformy ze skrzyniami przenosi dźwignia elektryczna prosto z okrętu do składów, a elewatory zbudowane są systemem taśmy ruchomej. Tak samo, jak mięso, nabiał przychodzi przeważnie z Australji, Nowej Zelandji i Kanady, i głównie bywa od razu ładowany na pociągi bezpośrednie. Przy-



Żurawie elektryczne wzdłuż doku Alberta

wóz nabrał do portu londyńskiego w 1923 roku wynosił 175 tys. ton.

W ciągu ostatnich kilku lat ogromnie wzrósł przywóz surowych owoców do portu. W 1923 roku blisko cztery miliony skrzynek owoców przywieziono do Londynu, z tego dwa miliony skrzynek jabłek, gruszek, pomarańcz i winogron z Australji, Tasmanji i Nowej Zelandji oraz drugie dwa miliony śliwek, pomarańcz, ananasów i t. p. z Południowej Afryki i Kanady. Londyn jest centralnym rynkiem owocowym na całą Anglję. Owoce są przeładowywane przeważnie na mniejsze parostatki z wielkich okrętów oceanicznych, albo też przechowywane w chłodzonych magazynach. Przeważnie owoce bezpośrednio zwożone są na rynek do Covent Garden, w sąsiedztwie słynnej Opery, w samym centrum Londynu. Cała procedura wyładowania ze statku aż do rozłożenia owoców na lądzie w owocarni trwa niekiedy niedłużej, niż od rana do południa.

ŻYWNOSĆ DLA MOLOCHA—LONDYNU.

Przywóz, wyładowanie i przechowanie żywności wszelkiego rodzaju—stosunkowo mało

przywozi się do portu londyńskiego zboża tylko dwa miliony ton, gdyż Liverpool jest centralnym rynkiem zbożowym Anglji — oto główne zadanie portu, który obsługuje miasto, samo przez się stanowiące ogromnej pojemności rynek. Trzeba bowiem wziąć pod uwagę, że w promieniu 16 kilometrów od portu londyńskiego mieszka 8 milionów ludzi, a w promieniu 160 kilometrów 16 milionów. Takie możliwości handlowe w kraju, który posiada zaledwie 20 procent ludności rolniczej i skazany jest prawie całkowicie na przywóz żywności, już same wystarczyłyby, by uczynić z Londynu wielki port dla konsumpcji wewnętrznej. Ale Londyn stał się nie tylko największym portem żywnościowym wysp brytyjskich, lecz zajął również całkiem wyjątkowe stanowisko w niektórych gałęziach handlu, jako światowe centrum.

ALEJA ŻÓRAWI ŻELAZNYCH I MAGAZYNÓW BETONOWYCH.

Po obejrzeniu chłodni i składów owocowych poprowadzono mnie na spacer wzdłuż doków. Całe pobrzeże na przestrzeni dwu kilometrów, usiane jest wielkimi żórawiami



Jelen z magazynów portowych

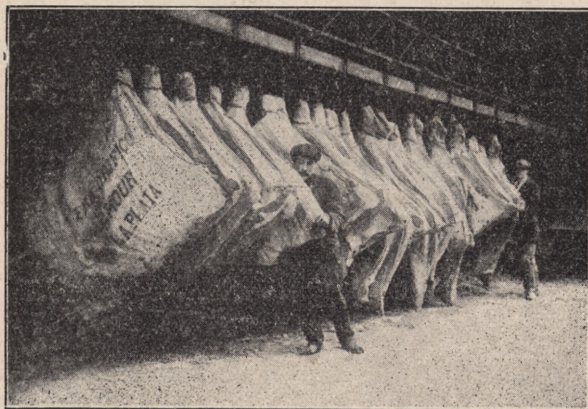


Wnętrze chłodni w porcie Londyńskim. Baranina z Nowej Zelandji

elektrycznemi, w odległości kilkunastu kroków jeden od drugiego. Żorawie, te, wysokości kilkunastu metrów, mogą podnosić ciężary kilkutonowe, od 3 do 6 ton. Jeden człowiek kieruje nimi, siedząc na wierzchołku wieżyczki. Pozornie niezgrabne, żorawie te niezwykle lekko poruszają się, opuszczając swe dzioby do najdalszych wnętrzy okrętów, chwytają ciężkie paki, albo platformy ze skrzynkami, albo siatki z beczkami, albo powiązane bele, i przenoszą je nad głowami ludzkiemi i nad dachami zabudowań do magazynów, opisując wielkie półkole w powietrzu. W ma-

gazynach najnowszych systemu, jak w niedawno ukończonych dokach Jerzego, ładunki, przeniesione przez te żorawie z okrętów, chwytane są przez inne dźwignie, które są umieszczone na ruchomych platformach wewnątrz magazynów i które dzięki całemu systemowi szyn i lin jeżdżą pod sufitem po ca-

tej ogromnej sali, zostawiając ładunek tam, gdzie wskazuje kierownik. Praca ludzka jest ograniczona do minimum. Robotnicy zatrudnieni są przy nakładaniu ładunków na statkach i przy rozstawianiu ich w magazynach. Wszystko inne, najważniejszą część pracy,

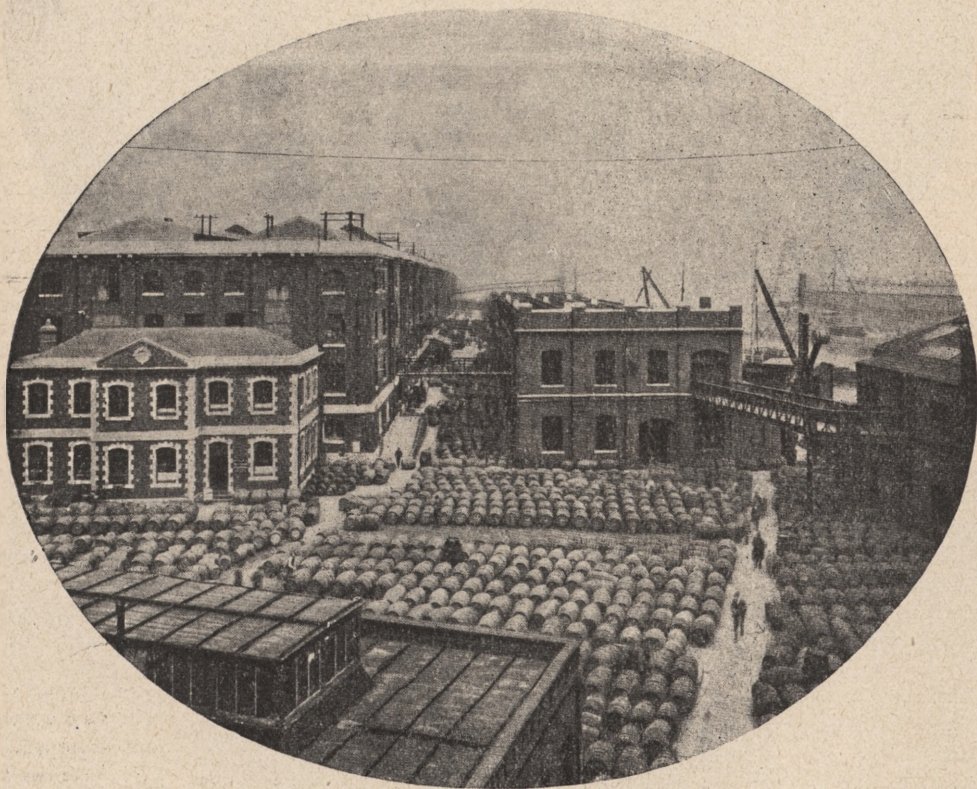


Przesuwanie ładunku mrożonego mięsa zapomocą lin ruchomych, ze statku do składów

przenoszenie wielkich ciężarów wykonywają maszyny elektryczne, szybko, cicho, lekko, nie wymagając więcej obsługi, prócz jednego maszynisty.

Taki podróżujący po całym magazynie żóraw przydaje się doskonale w magazynach tytoniowych, w których przechowuje się wielkie beczki przywiezione z Indyj Zachodnich, Egiptu i t. d. Takie same urządzenia znajdują się w składach herbaty, której przy-

Dock i do St. Katharine's Dock, położonych w górę rzeki, bliżej miasta. Tam wełna króluje niepodzielnie. Wełna przychodzi z Australji, i z Nowej Zelandji, z Południowej Afryki, i z Argentyny, Patagonji, i Azji Mniejszej. W 1923 roku przywieziono prawie półtora miliona bel wełny. Magazyny wełniane, znajdujące się w kilkunastu budynkach wzdłuż doków, mogą pomieścić milion bel, przyczem 60 tys. bel można w ten sposób



Beczki z winem przed przeniesieniem do magazynów

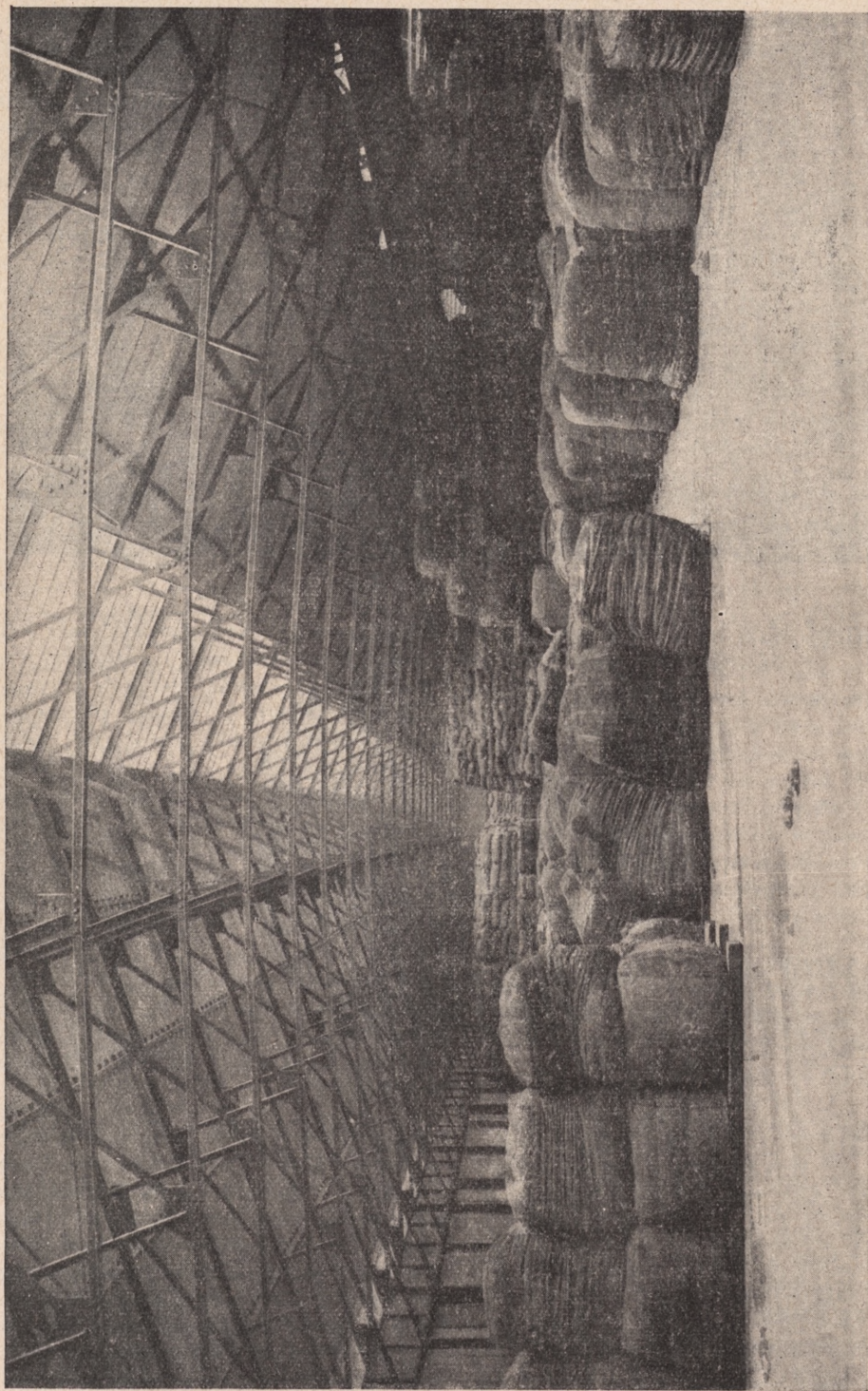
wozi się do portu londyńskiego zgórą 200 milionów kilogramów, czyli 85 procent całego przywozu do Anglii, kraju, który jest najznaczniejszym spożywcą herbaty w Europie.

ŚWIATOWA GIEŁDA WEŁNIANA.

Handel żywnością przedstawia interes raczej miejscowy, angielski. Międzynarodowe znaczenie portu londyńskiego polega głównie na tem, że jest on centralnym rynkiem handlu wełną. Aby zobaczyć wełnę w porcie londyńskim, musiałem udać się do London

ulokować, aby każdej chwili mogły one być pokazane nabywcom.

Sześć razy do roku na giełdzie wełnianej przy Coleman Street odbywają się przetargi publiczne, na które przyjeżdżają przedstawiciele kupców z całej Europy. Trzy tygodnie trwają takie przetargi. Rano, w dniu przetargów agenci, zaopatrzeni w katalogi, oglądają towar na miejscu w składach portowych, a popołudniu zapełniają obszerną salę giełdy i rozpoczynają namiętne targi, kupując za setki tysięcy funtów.



Magazyny wełny w porcie londyńskim



Centralne magazyny zbożowe w Millwall Dock

MONOPOL PIÓR STRUSICH I KOŚCI SŁONIOWEJ.

Londyn posiada poza tem zupełny monopol na handel piórami strusimi i kością słoniową. Siła organizacji handlowej Anglików jest tak znaczna, że ze wszystkich stron świata te dwa kosztowne i rzadkie produkty są zwożone w stanie surowym do Londynu, który dopiero przeprowadza podział ich i sprzedaż przetwórcom.

Aby uzupełnić opis doków, muszę jeszcze wymienić bardzo obszerne doki w Surrey, jedyne na południowej stronie rzeki, służące przeważnie dla wyładowania drzewa, którego przychodzi z górą półtora miliona ton rocznie. Najstarsze doki znajdują się bliżej centrum Londynu i bliżej City, i noszą nazwę Indj Zachodnich i Wschodnich. W dokach Indj Zachodnich wyładowuje się spore ilości rumu z Jamajki, około 4 milionów galonów. Jeżeli dodać do tego 8 milionów galonów wina i spirytusu przywożonego do Londynu, to okaże się, że Anglja wcale nie-
źle sobie popija.

CO SIĘ PRZYWOZI I CO SIĘ WYWOZI.

Dotychczas pisałem jedynie o tem, co się przywozi do portu londyńskiego, nic nie mówię

o wywozie. Otóż port londyński jest portem głównie obliczonym na przyjęcie, wyładowanie i przechowanie towarów przywiezionych do Anglii, i wywozi stosunkowo mało. Eksport angielski odbywa się innemi drogami. Węgiel idzie albo z portów walijskich, jak Cardiff, albo z północy, jak Newcastle. Wyroby wełniane z Liverpoolu i Manchesteru, żelazne z Liverpoolu i Hullu, oraz z portów irlandzkich (Belfastu) i szkockich. Statystyka za rok 1923 pokazuje, że do Londynu przywieziono 2 miliony 300 tys. ton towarów, które przeszły przez doki (wyjawszy towary załadowane na berlinki) a wywieziono 615 tys. ton. Ogólna wartość importu i eksportu wynosiła blisko 600 milionów funtów, czyli 15 miliardów złotych.

ZNACZENIE HANDLOWE PORTU LONDYŃSKIEGO.

Potęga i znaczenie portu londyńskiego wypływają z tego, że Londyn jest wielkim ośrodkiem handlowym i finansowym. Stolica najsilniejszego państwa morskiego stała się z biegiem czasu stolicą handlową świata. Samo położenie geograficzne Londynu sprzyjało jego rozwojowi. W stosunku do kontynentu zajmuje on bardzo wygodne położenie w odległości kilkunastu kilometrów

od ujścia Tamizy, które otwiera się na niezwykle ożywioną i ruchliwą drogę morską, jeszcze przez Rzymian używaną. Jeżeli parzeć na Londyn z odległości dalekich mórz, to jest on niejako centralnym punktem w Europie, z którego łatwo dostać się można do portów europejskich. Wyspiarze brytyjscy siłą rzeczy skierowali swe wysiłki w kierunku opanowania morza i wcześniej, niż inne narodowości, zbudowali potężną marynarkę handlową, która pozwoliła im na opanowanie handlu morskiego i na utworzenie u siebie ośrodków handlowych oraz stacji przeładunkowych dla wszelkiego rodzaju towarów, przywożonych z krajów egzotycznych i zaoceanowych. Równolegle do tego szedł rozwój organizacji handlowych i głównie finansowych kraju.

Handel i finanse są bardzo konserwatywne. Supremacja, zdobyta przez Anglię w tych dziedzinach, została przy niej mimo wysiłków innych krajów i mimo powstania nowych wielkich ośrodków gospodarczych w Ameryce i gdzieindziej. W Londynie giełda decyduje o kursach zagranicznych, bogate towarzystwa ubezpieczeniowe angielskie dyktują warunki asekuracyjne na cały świat, rozgążone stosunki pośredników handlowych, rozsypanych po całej kuli ziemskiej, pozwalają na skierowywanie towarów do portów angielskich, tradycje kupieckie „narodu handlarzy”, jak Anglików przezwiał Napoleon,

i ich doświadczenie budzą zaufanie i podziw kupców w innych krajach. Wszystkie te czynniki składają się na to, że Londyn jest taką potęgą w świecie handlowym i pieniężnym. Wreszcie trzeba wziąć pod uwagę, że dla samego rynku wewnętrznego angielskiego Londyn jest źródłem zakupów. W dużym stopniu do rozwoju Londynu przyczyniła się niezwykle gęsta i celowo pobudowana sieć kolejowa, obejmująca najdalsze zakątki Anglii i dochodząca wszędzie, gdzie nada-

żyć się może jej potrzeba. W porcie londyńskim schodzi się 8 wielkich linii kolejowych ze wszystkich stron wysp brytyjskich.

KILKA PRZEKONYWAJĄCYCH LICZB.

Wziawszy to wszystko pod uwagę, nie będziemy się zbytnio dziwić tym wielkim liczbom, które przytoczę: obszar, należący do portu, równa się 15 kil. kw., obszar samych doków — 3 kil. kw., długość linii pobrzeżnej — 52 kilometry, pojemność magazynów — milion ton, ilość żorawi — 630. W 1923 roku przybyło do portu i wyszło na pełne morze kilkaset tysięcy statków, pojemności ogólnej blisko 42 miliony ton. Przez Gravesend, punkt obserwacyjny, położony najbliżej ujścia Tamizy, przechodzi około 1000 statków różnego rodzaju dziennie. Okręty do 12 metrów mogą wchodzić do doków londyńskich.

Z PRZESZŁOŚCI PORTU.

Zarząd tą tak wielką organizacją, jak już na wstępie zaznaczyłem, spoczywa w ręku Port of London Authority, czegoś w rodzaju rady portowej, która powstała w 1908 roku. Poprzednio port londyński, jako jedna całość, właściwie nie istniał. W swoim rozwoju historycznym przechodził różną koleję, będąc w zamierzonej przeszłości targowiskiem, które z nadejściem Rzymian stało się portem morskim, szybko rozwijającym się. Liczne pozostałości po Rzymianach i wyko-



Władowywanie jabłek kanadyjskich

paliska świadczą o tem, jak pożyteczną działalność rozwinęli zdobywcy rzymscy w Brytanii. W średniowieczu Londyn przeżywał wszystkie najścia Sasów, Duńczyków, Normanów i ci nowi zdobywcy używali go, jako dogodnego punktu oparcia do posuwania się w głąb kraju. Rosło miasto Londyn i rósł miasta tego handel i przemysł. Związek hanzeatycki przez pewien czas trzymał swą rękę na Londynie, ale już w XIV stuleciu kupcy londyńscy na własną rękę przedsiębiorali da-

lekie podróże na daleki Wschód. Z odkryciem Nowego Świata przed Londynem otworzyły się całkiem nowe możliwości. Podczas panowania Elżbiety Anglja poczuła się wielkiem mocarstwem morskiem. Siła i znaczenie handlu morskiego Anglików rosły szybko. Właściwie przecież kupcy angielscy zdobyli Indie dla Imperjum Brytyjskiego. Kolonialna polityka zaczęła stawać się polityką narodową Anglii. Zwycięskie wojny napoleońskie uczyniły Anglję potęgą polityczną i gospodarczo finansową. Z zastosowaniem parowych kotłów na okrętach handlowych rozpoczął się nowy okres rozkwitu marynarki i handlu. Londyn stał się ośrodkiem handlu światowego.

KTO RZĄDZI PORTEM?

Przedsiębiorczość prywatna pierwotnie przyczyniła się do technicznego udoskonalenia portu londyńskiego. Do końca XVIII stulecia wszystkie okręty przystawały na rzece niedaleko City i nieraz tygodniami czekać musiały na wolne miejsce przy brzegach dla wylądowania towarów. Pierwsza nieśmiała próba wybudowania doku sięga wprawdzie XVIII wieku, kiedy wykopano niewielki kanał obok Tamizy. Dopiero jednak na początku ubiegłego stulecia kupcy drzewni zbudowali pierwsze właściwe doki w Surrey, prowadzący handel z Indjami, zbudowali dla swoich celów doki West India, zaopatrzone w magazyny. Stopniowo różne inne przedsiębiorstwa budowały swoje doki,

mając na o oku jedynie własne cele i zyski. W organizacji portu, jako całości, zapanał chaos, zwiększony rywalizacją między kompanjami dokowemi a zarządem miejskim Londynu i cechem pilotów. Wielki rozwój nowoczesnego handlu morskiego i wymagania techniki zmusiły i parlament i zainteresowane czynniki gospodarcze do wejrzenia w sprawę i do znalezienia drogi wyjścia z nieładu. Po długich, kilkuletnich badaniach ostatecznie postanowiono utworzyć istniejący obecnie zarząd portu, Port of London Authority, który przejął na własność wszystkie doki, magazyny i urządzenia wielu prywatnych kompanij i utworzył jedno wielkie jednolite przedsiębiorstwo, świetnie funkcjonujące. Dorady portu posyłają swych przedstawicieli wszystkie zainteresowane czynniki, i w ten sposób utrzymywana jest kontrola nad działalnością zarządu. Reforma okazała się skuteczną. Port of London Authority obecnie jest odpowiedzialny za utrzymywanie doków i urządzeń portowych, za konserwację pobraży Tamizy nawet w samym Londynie, za pogłębianie i oczyszczanie dna rzeki, za regulowanie dna rzeki, za regulowanie ruchu statków na rzece itd. Obowiązki swe pełni ku powszechnemu zadowoleniu, rozszerza i udoskonala port, pracuje dla pożytku portu i kraju, mając ambicję zachowania sławy Londynu, jako centrum handlu światowego i jako największego portu na świecie.

Londyn, w maju.



(Przekład z upoważnienia autora).

Gustaw Arigenti i Rudolf Karowski poznali się zaledwie kilka dni temu w odludnej, pierwotnie urządzonej oberży, co, niby narośli na skale, wysuniętej nad morzem, zdawała się, dzięki jakiemuś kaprysowi gór, wbrew rzekłobyś wszelkiej możliwości, poprostu domkiem z kartonu w szopce. Wyjątkowo dobry obiad, przyrządzony dzięki chwilowo szczególnemu usposobieniu pocciwego oberżysty, wprowadził obu gości w stan serdecznego ożywienia. Przełamało to lody powierzchownej znajomości współbiedniaków, siedzących naprzeciw siebie, przy stole, przepelnionym smakołykami i lśniącem od szklanek, zabarwionych winem. Poznali się lepiej. Rudolf Karowski wiedział, że Gustaw Arigenti jest osobnikiem o duszy szlachetnej i o wyższym, acz ociężałym umyśle, któremu pewna zamożność pozwala oddawać się próżniactwu... A Gustaw Arigenti zaś wiedział, że Rudolf Karowski jest duchem niespokojnym, artystą, nieznu-

żonym autorem powieści i nowel, co wyjechał z Polski do Włoch dla studjum obyczajów i języka, którym już teraz posługiwał się z wielką biegłością. Rozmaitość kolei życia. Różność temperamentów. Wspólny mieli tylko wiek: po czterdzieści lat. Zgadzała się też z sobą na punkcie niektórych upodobań, niektórych przyzwyczajęń, jak na przykład uciekali czasem na długie miesiące od gwaru życia towarzyskiego. Oprócz tego zgadzali się z sobą pod względem szczególnego zapatrywania na płęć piękną, mianowicie, że instytucja „Kobiety” wogóle tak dobrze się powiodła, iż ze względu na nią można przebaczyć Opatrzności błąd, jaki popełniła, tworząc świat.

— O! Kobieta! Kobieta! — wykrzykiwał, egzaltując się, Polak, gdy zgodnie wymienili pierwsze myśli. Pisałem o nich wiele. I będę pisał w dalszym ciągu. Nigdy dość się o tem nie napisze. I nigdy nie napisze się dość na ich korzyść i w ich obronie. Teraz

przygotowuję tom nowel. Każda będzie miała osobny tytuł. A cały tom zatytułuję: „Zbrodnie mężczyzn”. Napiętnuję z dramatyczną siłą rzeczywistości i zgryźliwym sarkazmem zbrodnie, które popełnia mężczyzna moralnie i fizycznie, działając z nakazu swych wad męskich. I niech ten rzuci pierwszy kamieniem, co ma sumienie wolne od wyrzutów.

Gustaw Arigenti, którego oczy, zwykle spokojne, rozblęły pełnem drzeń światłem, po kiwał głową. Polak zaczął wichrzyć nerwowo ręką czub włosów gęstych, długich à la Chopin; zakrywały mu one czoło, aż po wielkie oczy, koloru szylkretu. Potem z uprzejmym uśmiechem, tonem przyjacielskim, spytał:

— Czy w tej chwili nie budzą się może w pańskim sumieniu wyrzuty, dotąd uśpione?

— Jeden wyrzut, ale potężny budzi się w sumieniu — oświadczył zapytany, w niespodzianym, trwożnym wylewie serca. Wiem, że wyrządziłem krzywdę jednej kobiecie i na nieszczęście krzywdę większą, niż wszystkie wyrządzone zbrodnie, o jakie wy, obrońcy kobiety, oskarżacie mężczyzn.

Głęboki żal przejął Rudolfa Karowskiego, że był na tyle niedyskretny i zamać dobry humor i trawienie swego nowego przyjaciela. W milczeniu, spoglądając na jego oblicze, pogrążone w cieniu smutnych wspomnień, zaczął napychać i zapalać amerykańską fajeczkę. Lecz, gdy żal minął, przerwał śmiało milczenie, poprzedzając słowa kłębem dymu. Był teraz jeszcze bardziej niedyskretny, niż poprzednio:

— Chcę tworzyć swe dzieła z pierwiastków, zapożyczonych z rzeczywistości. I dlatego chciałbym dokładnie poznać pańskie zdarzenie. Czy byłby pan tak uprzejmy i zechciał mi je opowiedzieć.

Prawie zuchwała niedyskrecja odniosła skutek:

— Zachęca mnie pan, bym się dobrowolnie dręczył — westchnął tamten. Mimo to jednak, dobrze, opowiem panu. Nie mogę mu odmawiać tej drobnej przysługi.

Wyszli na przyległy taras. Oparli się o balustradę. Mieli wrażenie, że znaleźli się w aeroplanie, cudownie umieszczonym w nieskończoności pustej przestrzeni. Pod nimi otwierała się niezmierzona otchłań, w głębi której rozprzestrzeniało się nieobjęte morze. Groźne w swoim ogromie, kołysało się spokojnie, ledwo muśnięte łagodnemi podmu-

chami poczynającej się, jeszcze trwożliwej jesieni i zdobiło się, roześmiane, igrające, szalonymi barwami nieba, na którym żarzyła się pożoga purpurowego zachodu słońca.

— Z tego obrazu wspaniałej piękności — zauważył Rudolf Karowski — istota ludzka jest usunięta zupełnie. My tu czujemy się wyodrębnieni od wszystkiego. Możemy spoglądać na nędzę życia zupełnie bezstronnie. Tem lepiej. Niechże pan opowiada, drogi panie. Niech pan opowiada!

Gustaw Arigenti, skupiwszy się w sobie, uprzedził:

— Jestem może złym opowiadaczem. Pójdę śladem mych wspomnień i mogę grzeszyć kiedy żyłka alpinisty. Byłem więc alpinistą, lić rzeczy zbytecznych z pośród tych, które pamięć zachowała bardzo drobiazgowo.

I zaczął mówić:

— Miałem trzydzieści lat. Byłem wówczas, jak i teraz, wyznawcą zasad próżnowania i, jak teraz, uciekałem dość często od gwaru miasta. Próżniactwo moje przewyciężała niekiedy żyłka alpinisty. Byłem więc alpinistą, ale nie z zawodu, nieprzygotowany i wskutek tego niedoświadczony. W ten sposób, pewnego dnia, nakerśliłem sobie plan przechadzki popołudniowej, z miasteczka wysokiej Irpinji, dokąd wuj mnie zaprosił, do podnóża góry, której nawet nazwy nie znałem, a która widziana z przodu, zdawała się stożkowata, stroma, cała najeżona zaroślami kosodrzewia i miejscami poroździerana, jakby wskutek kataklizmu natury. Góra ta rozpałała we mnie alpinistę i zamierzałem wspiąć się na nią. Czepiając się darni, wyplątując z pomiędzy poskręcanych krzaków jeżyn, kalecząc się kolcami powykrzywianych dziwacznie roślin, wydobywając się z jednych zarośli, przebijając przez inne, ocierając się o krawędzie skał, poza którymi rozstępowały się ciasne przepaści: uszedłem dobry kawałek drogi. Ścieżynka górską, która szczęśliwie odkryłem, dodała mi odwagi, by pisać się wyżej. Wyżej... wyżej!... coraz wyżej!... Wiedziałem dobrze, że nie dążę na szczyt jakiejś znanej góry. Wiedziałem dobrze, że pomiar wysokości sprowadziłby na właściwy poziom i ujednolodził z igraszką natury, górę, na którą się wdrapywałem. a mimo to odczuwałem upojenie i dumę alpinisty-badacza. Zdawało mi się niemal, że jestem niewiele mniej sławnym, niż pułkownik

Frémont lub księżę Abruzzów i wyobrażałem sobie prawie, że niosę z sobą flagę, aby ją utkwic na stromym obelisku, wzniesionym na znak zwycięstwa.

W pewnej chwili spostrzegłem, że ta błogosławiona góra nie kończy się tam, gdzie mi się zdawało. Byłem znużony. Duma i upojenie legły na mnie ciężarem. Słońce zachodziło nie tak radośnie, jak dzisiaj... lecz smutnie, bezbarwnie, kryjąc się poza szarą zasłoną gęstych, nieruchomych obłoków. Zatrzymałem się parę chwil, by oczy nacieszyć tym widokiem, który jednak tymczasem rozpraszał się, popsuł, zatracił w tej rozkołysanej szarżynie, jakby ziemia się roztopiła i zamiast ucieszyć, zgłębił mnie, zaniepokoił. Postanowiłem więc zawrócić. Zdezorientowany, zboczyłem ze ścieżki, którą przyszedłem. Robiło się coraz ciemniej. Schodziłem na oślep, z rękami wyciągniętymi przed siebie nakształt macek wśród poplątanych zarośli, stopami szukając gruntu, co chroniło mnie przed nieustannem nie-

bezpieczeństwem runięcia w otchłań. Straciłem odwagę. I już myślałem zaniechać marszu i usiąść gdziekolwiek, aby przeczekać tę noc nieskończoną, zamiast narazić się na grożące ze wsząd niebezpieczeństwo upadku, gdy wdała się w to Opatrzność. W pewnej odległości przed oczyma memi zamajaczył nędzny białuteńki domek, z którego promieniował pas słabego światła. Nie wahalem się. Ruszyłem naprzeciw, w stronę domku. Podeszedłem bliżej płotu, który go otaczał, i zatrzymałem się, by uprzednio poznać miejsce. Drzwi, ponad którymi umieszczony był niezdarnie namalowany krzyż, stały otworem i ukazywały wnętrze wieśniaczej izby. Od zadymionego tła pod

okapem, jakby płonący obraz w złotych promieniach światła oliwy, odcinała się twarz starca, sucha, poprzeryzana zmarszczkami i usiana na policzkach i brodzie, jakby białymi szpilkami. Po chwili starzec dotąd nieruchomy dźwignął się na odgłos mych kroków.

— Pozdrowienie i pokój przechodniowi — rzekł na progu głosem łagodnym i pokornym.

Przeskoczyłem płot. Pochylił się w ukłon i powtórzył pozdrowienie dla przechodnia. Odwzajemniłem mu się również pozdrowieniem i wyznałem, że nie jestem przechod-

niem, któremu uśmiechałaby się myśl, aby przejść i iść dalej. Natychmiast zaofiarował upragnioną gościnę.

— To jest lepianka Tadeusza Arparo, którym ja jestem; jest to przytułek dla każdego chrześcijanina, który tu przybywa, jest głodny lub spragniony, albo senny lub też lęka się góry, okrytej nocą.

Gdy ujrzałem go zbliska w tym jego ubiorze góral-skim, malowniczo stylizowanym, który przypominał

miłowoli pracownię garderoby teatralnej, zdawał mi się on być raczej istotą ze sceny. Także i słowa jego niemal skandowane, i drżący głos miał w sobie coś teatralnego. Niemniej, pojąłem, że była w nim prosta szcera gościnność, którą prawie wyczuwało się w powietrzu i to nappełniło mi radością ciało i duszę.

— Jesteś wielkim panem — rzekł do mnie. To widać. Ale tu musisz o tem zapomnieć. I przyjmij to, co ci mogę ofiarować. Chcesz może gorącej polewki? Lub szklaneczkę wina? A może łyk wody błogosławionej, co wytryska tam, dokąd raz padła promienna strzała gwiazdy?... Mów, o wielmożny panie! I rozkazuj! Usłużę ci sercem chrześcija-



„Jeden wyrzucił, ale połączony, budzi się w sumieniu — oświadczył zapytany, w niespodzianym, trwożnym wylewie serca”...

skiem, albowiem jestem chrześcijaninem, tak jak i ty, gdyż poznać to od razu. I w tej izbie ubogiej i poczerniałej od dymu drzewa z ogniska, możesz mieć, jeśli zechcesz, łóżko prawie godne ciebie, wprawdzie, ze słomianym siennikiem, lecz z prześcieradłem, pachnącem lawendą, białem, świeżem i cienkiem, niemal jak prześcieradło na twem wielkopańskim łóżu.

Poprosiłem o cudowną wodę, którą przyniósł mi w glinianym dzbanku i od której, naturalnie, oczekiwałem tylko błogosławieństwa orzeźwienia i jakkolwiek zdawało mi się, że jestem daleki od snu, aby jednak nie okazać się wybrednym, przyjąłem proponowany spoczynek. Wtedy zawołał:

— Mannarella! Mannarella!

I ukazała się Mannarella.

— Nreszcie jesteśmy u celu — przerwał Polak.

— Tak, jesteśmy u celu! Ale niech pan sobie nie wyobraża, że wskutek tego właśnie opowiadanie staje się dla mnie dręczącym.

„A więc mówiłem... mówiłem, że ta, którą starzec nazwał Mannarellą, imieniem niespotykanem w żadnym kalendarzu, ukazała się. Zaledwie weszła, zatrzymała się ruchem kota, który nie chce podejść, dopóki się nie przekona, że nie ma co obawiać się nieprzyjaciela. Z szerego rozwartych na moment oczu padło ku mnie spojrzenie szybkie, płomienne, oślepiające, jakby przesyczone elektrycznością. Miałem wrażenie, że uderzył we mnie piorun, który cudem

iakimś, jest bezgłośny i nie ma mocy zabijania. Starzec kazał pościć dla mnie łóżko tak, abym mógł spać wygodnie, ona zaś usłuchała go natychmiast, nie opierając się, nie wzdrażając, ale poruszała się leniwie, powoli, powolnością tak umyślną i równą, jakby to było w czasie zdjęcia kinematograficznego, o akcji najbardziej powoli obmyślanej. Ja siedziałem w kącie, na ławeczce, zmieszany, oniemiały, obserwując ją uważnie, a nieruchomości mojej niczem nie możnaby było usprawiedliwić, gdyby nie spojrzenie jej oczu, skierowanych ku mnie! Lecz oczy te nie spoglądały już na mnie. Nawet unikały patrzenia w moją stronę. Ale od czasu do czasu z pod gęstych i długich frendzli rzęs, co okalały półprzymknięte powieki, z pomiędzy posępnie sinawych głębokich orbit, dostrzegałem źrenice zielone, to znów szare, posiatkowane czerwono, niby źrenice tygrysa, co

wwiercały się we mnie i badały mnie, płonąc blaskiem fosforycznym. Znieruchomiały, śledziłem przedewszystkiem jej oczy. Oczywiście, że nie uszło meї uwagi nic ze szczegółów, dotyczących jej osoby. Widziałem, że nie była ubrana, jak wieśniaczka i że bezładna odzież nędzna i ciemna tworzyła rodzaj futerału wokół elastycznego doskonałego młodego ciała. Widziałem, że jej twarz owalna była biała białością bez życia i że natomiast jej włosy czarne, zebrane w węzeł nad karkiem, a rozsypałe niesfornie nad małym czołem, zdawały miotać się pod wpływem wybujałej wzmoczonej siły żywotnej; i widzia-



Ocierając się o krawędzie skał, poza którymi rozstępowały się ciasne przepaści, uszedłem dobry kawałek drogi.

łem, że jej gołe nogi posuwały się naprzód dumnie, po pańsku. I że jakkolwiek zabrudzone od zetknięcia z podłogą, miały jednak ten zarys czystości, jaki mają nogi nieodziane, wykute w marmurze. Ale nie to wszystko panowało nademną; przybierało to raczej charakter kształtów zwiewnych postaci, które widzujemy w półśnie. Tylko jej oczy mnie porwały, jej oczy! Tylko jej oczy dawały mi odczuwać obecność rzeczywistości, wobec której nie mogłem pozostać obojętny. Starzec, który, stojąc obok mnie, śledził robotę dziewczyny, podkreślił moje milczenie:

— Jesteś małomówny, wielmożny panie?

— Jestem zmęczony.

— Widzisz, jak ci ściele łóżko Mannarella?

— Znakomicie!

O niej to chciał mówić:

— To jest Mannarella, moja Mannarella. Nieznośna jest, ale dobra. Pracuje, gdy może. Nie zawsze może. Jest chora. Na co?... Nie wiem. I jakich lekarstw trzebaby było dla niej? Trudno sprowadzić tutaj, w góry lekarza. A iść z nią, by go szukać, nie próbowałem. Musiałbym związać ją i nieść na plecach jak worek kasztanów. Dla niej gdzieś indziej poza górami — to śmierć. A resztą nienawidzi lekarzy. Nienawidzi, bo nie rozumie, czym są. Tłumaczę jej. Nie rozumie. Cóż mam robić?... Polecam ją Bogu, który jest wszędzie, i którego nie potrzeba szukać. A jeśli On mi ją uleczy, będzie to lepiej, niż gdyby ją uleczyli doktorzy.

Mannarella kończyła słać łóżko, ciągle niezruszona, obca wszystkiemu. Przysiągłbym, że nic nie słyszała. A z jej oczu bez przerwy wybijały blaski fosforyczne, które z ukosa mnie śledziły. We mnie, com tu od początku stał się wrażliwym na tajemniczość choroby, nieruchomość poprzednia zamieniła się w drżenie. Aby przerwać milczenie, zapytałem starego:

— Czy Mannarella jest pobożna?

— Do kościoła — odrzekł — nie chodzi. Jest tu kościół niedaleko, z tamtej strony góry. Nie chodzi tam. I nie widzę nigdy, by się modliła przed obrazem Matki Boskiej Różańcowej, zawieszonym na ścianie ładnej stancyjki, którą mogłem dla niej przeznaczyć w tej chałupce. Ale jest chrześcijanka, gdyż wymawia imię Boskie z szacunkiem, wpatruje się w niebo pobożnie i czule pięści ptaśzka, co upadnie martwy z zimna. Zabić

nie umiałaby nawet muchy, a chociaż nie grzeszy, czyni pokutę niejednokrotnie, poszcząc z żalu za grzechy, jak to czynią prawdziwi chrześcijanie.

Tymczasem Mannarella, skończywszy zadaną jej pracę, stanęła nieruchoma, z opuszczoną głową i zwieszonymi ramionami.

— Teraz — zwrócił się do niej starzec, czyniąc głową ruch podziękowania — możesz wrócić do siebie, do swej zwykłej samotności, w izdebce. Nieznośna jesteś. Idź już, idź!

Nie poruszyła się.

— O, patrzcie! Nie chce ci się stąd iść? Dlaczego ci się nie chce?

Nie odpowiedziała i po chwili zwłoki odeszła. W istocie jednak czyż można powiedzieć: szła? Była to chyba zjawą, którą leciuchno unosił tajemniczy fluid. Starzec napomniął ją:

— Pokłoń się wielmożnemu panu. Pocałuj go w rękę.

Ona, nagle, ukłękła przedemną, porwała rękę, którą usuwałem, musnęła ją lodowatymi wargami i drżąca uciekła. A od miejsca zaledwie dotkniętego jej ustami, rozszedł mi się od stóp do głów, jakby prąd lodu.

— Chora jest — pomyślałem. Ale jaki związek z tą osobą może mieć ta jej choroba, która mnie męczy, jak zmora?

I, aby przerwać to zawiłe dociekanie, zrobiłem pytanie, które pokutowało w głębi mego umysłu:

— Wy, Tadeuszu Arparo, jesteście dziadkiem Mannarelli?

Był zadowolony, że może znów zacząć mówić o niej:

— Nie, nie jestem jej dziadkiem. Znalazłem ją za płotem pewnego ranka, zawiniętą w pęk trawy. Mogła mieć około roku. Była na pół żywa. Podniosłem ją, rozgrzałem. Ożyła w mych ramionach. Zaczęła płakać. Krzyczała, ach jak krzyczała! Jakąż rozrywką był mi ten płacz, ten krzyk! Jaką rozrywką w mej samotności! Stworzonko porzucone przez jakąś podłą kobietę, przybawało, by mi dopomóc w walce z życiem. Manna pustyni!... I dałem jej imię Manna-rella... Później... zamiast pomagać mi żyć — mój Boże! zmarnowała mi starość Ale to nic... Zawsze nazywam ją Mannarellą.

Nastąpiły wspomnienia czasu wspólnie przeżytego. I z pomiędzy półcieniów prze-

szłości, która przewijała się wywoływana drżącym głosem tego pocziwca, widziałem przykre, smutne, żałosne dzieciństwo dziewczęcia porzuconego przez wyrodną matkę i rozwój jej piękności slinksowej wśród zuchwałego niepokoju, ponurych smutków, płaczu cichego lub szalonego, wśród przepalającej gorączki, omdleń z powodu anemji, duszności zgubnych i nie do opanowania. O! wszystko przyczyniło się do podniecenia mej wyobraźni, do rozjątrzenia mej wrażliwości, do spoglądania na tę dziewczynę, jako na istotę nieziemską, która miała w sobie fatalną siłę Nieznanego...

Nie chciałem słuchać dłużej opowiadania o niej. Pożegnałem starca:

— Do jutra zatem, mój dobry człowieku, do jutra!

— Nie, — uwiadomił mnie — jutro nie będę mógł się z tobą pożegnać. Udam się dziśszej nocy w drogę, aby o świcie przybyć do Villareйна. Tam, zaledwie wszędzie słońce, poniosą w procesji statwę Świętego Vitalisa. Chodzę tam co roku, gdyż uczyniłem kiedyś pewien ślub. I dlatego teraz cię żegnam, wielmożny panie, sercem chrześcijanina i dziękuję, że zaszczyciłeś mą rudę twem zaufaniem!

Powstrzymałem okrzyk dziwnego przerażenia, który mi się z duszy wydierał, a którego nie mogłem sobie wytłumaczyć. Wy-

ciągnąłem z kieszeni sakiewkę, aby naprzód już uiścić się z długu. Powstrzymał mię, pokornie, zakazując mi tego. Poczem zwrócił me oczy na rodzaj puszki z ordynarnej majoliki, na której był napis: „Charitas”.

— Po powrocie, niech znajdę tam obola, który da wyraz twej wspaniałomyślności.

Pozostałem sam. Zamknąłem drzwi, które wszedłem. Te, które prowadziły do wnętrza chałupki, były wyrwane z zawiasów, to też musiałem poprzestać na tem, żem je przysunął do kołatki. Tymczasem poczułem, że słabnę. Jakaś obręcz ścisnęła mi głowę. Usta miałem suche, czułem w nich gorycz i cierpkość. Odnalazłem na stole dzbanek z cudowną wodą. Wypiłem sporo. I stała się rzecz dziwna. Tym razem, woda, o której cudowności wątpiłem, wyświadczyła mi istotnie ogromne dobrodziejstwo. Nie mogłem temu zaprzeczyć, pomimo braku jakiegokolwiek wiary w tym kierunku. Spokój olimpijski ogarnął mnie stopniowo. Moje uprzedzenia, nie dające się określić, kędyś się rozproszyły. I wkrótce spokój przeszedł w błogie zamglenie umysłu, które poprzedza sen. Począłem się rozbierać. Lecz nadszedł przemożny sen i, nim się rozebrałem, upadłem na łóżko.

Tu, drogi przyjacielu, kończy się moja rozwlekłość. Opowiadając panu koniec tej pamiętnej przygody, będę bardzo zwięzły, bo jakkolwiek zachowałem niezatarte wrażenia,



Natychmiast zaofiarował mi upragnioną gościnę.



Objąłem ją ramieniem i słuchałem co mówi.

jednak zbiorowo, w nieładzie. Muszę raczej nieco samowolnie je uporządkować, aby skupić tok opowiadania.

Zmiana dekoracji. Spokój minął. Wracamy do zamętu. Przypominam sobie, że chwile, które poprzedziły moje przebudzenie, były straszne. Miałem wrażenie, że zmora mię przytłacza. Dusilem się. Chciałem się obudzić. Nie mogłem. Zdawało mi się, że jestem żywcem pogrzebany. Próbowałem kilkakrotnie zdźwignąć płytę grobu. I żadna siła ani materialna, ani duchowa, człowieka nie da się porównać do siły, nie wiem... duchowej czy materialnej..., za pomocą której, pogrążony we śnie, usiłowałem pokonać potęgę snu. Wreszcie zbudziłem się... pod urokiem jej oczu... Przywidzenie? Żłuda fantazja?... Nie. Jej oczy, jej dziwne oczy jako niezbita rzeczywistość, trwały tuż obok mnie, nademną, rozwarte szeroko, jak w tym samym momencie, gdy spostrzegła mnie, wezwana przez starca. I dzierżyły mnie te oczy, panowały nade mną, ujarzmiły mnie z okrucieństwem i słodyczą. W olbrzymich żrenicach, to chwi-

lami szarych i posiatkowanych czerwono, płomienna groźba przechodziła w słodycz anielską, a z ust jej, wraz z gorącym oddechem delikatnej kobiecości wybiegał głuchy szept błagania. Poczułem w żyłach cały żar mej młodości. Umysł stał się odrętwiały, niezdolny do myślenia. Opanowała mnie gorąca żądza młodzieńcza, nad którą nie czuwała rozważa. Wyciągnąłem ku niej drżące ramiona. Wymknęła się, nie uciekając. Doścignąłem ją, nie goniąc za nią. Objąłem ją ramieniem i słuchałem co mówi: był to szczebiot dziecinny, bojaźliwy, pełny uczucia mistycznego fanatyzmu i poddania się, zagłębiłem twarz w jej włosy. Ale przytem zetknięciu, zdawało mi się, że usłyszałem wewnętrzną, duchowy obronny płacz jej niewinności. Wstrząsnął on gwałtownie mój umysł, który w jednej chwili odzyskał przytomność. Zabłysła mi wyraźna myśl: „To dziewczę jest nieświadome niczego!”... Rozpłynęła się we mnie cześć dla niej i gorzki żal, od którego prysnął mój popęd do szału. Oderwałem się od niej, cofnąłem. Wykrzyknęła: „dlaczego?” i padła twarzą ku ziemi, cała drżąca. Ach! Co to było? Podniosłem ją z trudem. Ułożyłem wygodnie na łóżku. Członki miała zesztynniałe. Naprawdę palce me szukały uderzeń pulsu i skroni. I cóż to stało się tutaj? Pytanie to rozrastało się w coraz większe przerażenie, które wreszcie doszło niemal aż do utraty przytomności. Opadłem na krzesło przy niej. Zatraciłem się w nicości.

Gdy przyszedłem do siebie, już jej nie było.

Uratowała zatem uchodzące życie, jak i swą niewinność.

Jak mi jednak było smutno!... Jak smutno, gdy zdałem sobie sprawę, że musiałem raz na zawsze wyrzec się próby zobaczenia jej raz jeszcze!... Już miałem głośno wymówić jej imię, ale się przemogłem: wzmocniłem swą wolę ofiary i wyrzekłem się jej ostatecznie, co mi zdawało się heroizmem.

Światelko lampki oliwnej konało, a w poświacie wschodzącej jutrzeńki widać było zarysy połupanych brzegów drzwi wejściowych.

Mogłem odejść. Musiałem odejść. I nie miałem odwagi. Powinienem był ją mieć jednakże. Zdobyłem się na nią wreszcie. Przez pamięć przebiegła mi dyskretna prośba starego, by pozostawić obolę na znak mej wspa-

niałomyślności. Wsunąłem w puszkę jałmużniczą trochę pieniędzy. I wyszedłem.

Niebo kwitło różami, pożyczowanemi złotem. Z cienia gór wytryskały uśmiechy szmaragdów. Żywe energie nowego, czystego dnia płynęły harmonijnie w przestrzór. Powietrze śpiewało z radości. Ustąpił, zniknął smutek, że nie mogłem raz jeszcze ujrzeć przeczystej małej zakochanej dziewczeczki o pierwotnych instynktach. Przygoda, którą przeżyłem w takiej męce, przybrała kształty zanikające. Powiedziałem, czy pomyślałem: „Zegnaj, Mannarello!” I już schodziłem z góry przez lasek, wolny, lekki, prawie szybko, prawie radośnie

Minął rok. Było to w rocznicę owego wdrapania się z przygodami na górę. Mój wuj gościł mnie znów u siebie. Wspominałem często melancholijnie Mannarellę, z melancholją nieco powierzchowną, lecz wolną od ciekawości. Tego dnia melancholją wspomnienia była rzeczywistość i łączyła się z ciekawością dojmującą, nieustępliwą, męczącą. Tak męczącą, że skłoniła mnie, bym ponownie wspiął się na górę. Obecnie nie nie były mi już nieznane ścieżki tej góry. To też nie utrudziłem

się zbytnio. Z łatwością znalazłem odludny domek Tadeusza Arparo. Zaledwie mnie ujrzał, poznał natychmiast i, jak gdyby przeczuł powód mych odwiedzin; bojaźliwy i chwiejący się na nogach, pochylił się zwykłym pokornym ruchem i płaczem wybuchnął; potem mi powiedział, że Mannarella opuściła go na zawsze, przekładając kącik w niebie nad swą ładną stancjkę. Gdy wrócił z Villareina dnia następnego, znalazł ją nieżywą, z głową roztrzaskaną u podnóża góry, na której szczycie wisiał zaczepiony o fałd jej szal.

Samobójstwo! Napewno samobójstwo! Trudno zrozumieć to, czego doświadczyłem, gdyż było to zupełnie co innego, niż bywa

zwykle w takich wypadkach. Mieszały się we mnie naprzemian litość przeogromna, żal świadomości, że litość ta była zbyt duża, gryzący protest przeciw niesprawiedliwości losu, wybuch uczucia płomiennego i pełnego dla istoty już nieżyjącej i wyrzuty sumienia. Tak, wyrzuty sumienia... gdyż, ściśle rzecz biorąc, samobójstwo tej nieszczęsnej pierwotnej dziewczyny było, bezwątpienia, mojem dziełem. Jak pan widzi, miałem rację, twierdząc, że krzywda, jaką wyrządziłem jednej kobiecie, chociaż nie wynikała z mojej winy, ale była wyrazem moich skrupułów, przewyższyła w konsekwencji swej wszystkie zbrodnie, których winni są inni mężczyźni.



Gustaw Arigenti zamyślony, przejęty do głębi, oparł się na skrzyżowanych łokciach o balustradę, pochylił się i spoglądał na morze, leżące jakby w przepaści, które ciemniało zwolna, gdy poznikały czerwienie zachodu wraz ze słońcem, które już zgąsło. Polak przerwał zamyślenie:

— Bardzo interesująca ta pańska historia. I, wbrew obawom, jakie pan wyrażał, opowiadał pan doskonale. Gdybym był stenografował pańskie słowa, miałbym już gotową nowelę, którą należałoby tylko podpisać. I byłaby to kradzież. Zresztą, postaram się

przypomnieć sobie jakoś wszystko, co słyszałem. Możliwość kradzieży nigdy mnie nie nęciła.

— A jaki tytuł da pan naszej noweli?

Tamten, zastanowiwszy się, wyskandował:

— E - go - izm!

— O ?!

— Ten tytuł, niech mi pan wierzy — jest najodpowiedniejszy. Mężczyzna może wyrządzić krzywdę kobiecie, uwodząc ją lub korzystając z jej słabości, z jej zabłąkania, z jej złudzeń, z jej nieświadomości wreszcie. Ale również może wyrządzić jej krzywdę, odpychając jej miłość, zwłaszcza, gdy miłość, którą odrzuca, jest nieoczekiwanym, szczerym wykwitem dzikiej natury.

Tłum. z włoskiego Stela Olgierd.

Turniej literacki czytelników Naokoło Świata

Niżej rozpoczynamy druk opowieści zbiorowej pod tytułem: „Książ Kudełek i djabeł”. Obecnie drukowana część pierwsza, napisana przez jednego z literatów naszych i nieskończona, stanowi jedynie związek opowieści i pozostawia możność dowolnego rozwoju akcji autorowi dalszych ciągów tego opowiadania. — Redakcja Naokoło

Świata zwraca się niniejszym z wezwaniem do swych czytelników, aby jaknajliczniej przystępowali do „turnieju literackiego” nadsyłając dalszy ciąg zapoczątkowanej obecnie opowieści „Książ Kudełek i djabeł”. Szczegółowe warunki turnieju zawarte są w „Trzecim konkursie dla czytelników Naokoło Świata” — na początku zeszytu.

Książ Kudełek i djabeł

Opowieść zbiorowa

Wszyscy ludzie, jako tako wykształceni, przywykli w ostatnich czasach do interwencji duchów i sił nadprzyrodzonych, bo oswoił nas z tem zawodowi spirytyści i medjumiści. Ale tu mamy zupełnie wyjątkowy przypadek zaangażowania w nasze ziemskie sprawy prawdziwego diabła; diabła określonego i zdefiniowanego przez różnych najpoważniejszych ludzi. Nie ma on bynajmniej znaczenia symbolicznego, nie jest użyty w sensie przenośni, nie odmalowano go ani z posmakiem wewnętrznej tragedji, ani humorystycznie. Jest to poprostu zwyczajny, ordynarny djabeł.

Ale najlepiej dowiedzieć się od początku, jak to było. Było to zaś w maleńkiem miasteczku, zwanem Lipów. Leży ono pośród fałistych wzgórz w południowych okolicach Rzeczypospolitej, w granicach Niedomierskiej

diecezji. Zapomniane przez ludzi, mieszkających w dużych miastach i stolicy, miłe było Bogu, który ozdobił je pięknymi drzewami i błogosławił obfitością ptaków na wiosnę, a spokojem serc i pogodnym uśmiechem ludzi o każdej porze roku.

Na skraju tego miasteczka stał kościół, okazałych rozmiarów, wybielony i kryty czerwoną dachówką. Wokół rosły stare lipy i kasztany tak blisko, że niektóre z nich kładły swe grube konary i gęstwę mniejszych gałązek na wykuszach murów i stokach dachu, tworząc ponad świątynią sklepienie.

Kościół był pod wezwaniem św. Barbary. Czcigodne relikwie tej wielkiej nikomedyskiej męczenniczki znajdowały się w kościelnym skarbczyku, skąd wydobywano je z ko-

sztownego relikwiarza jedynie w uroczyste święta.

Obok kościoła, tuż za ogrodzeniem, stała niewielka plebanja, tonąca pośród krzewów jaśminu, obrośnięta winem i wokół otoczona ogródkiem. Mieszkał w niej miejscowy proboszcz, bardzo szanowany książd kanonik Piotr Biegaj wraz ze swym wikarym, młodym, a pobożnym księdzem Jackiem Kudełkiem.

Wszyscy byli wzajemnie z siebie zadowoleni: obaj księża radowali się pobożnością parafjan, a mieszkańcy Lipowa byli dumni ze swego duchowieństwa i kochali je. Książd proboszcz Biegaj słynął z uczoności i poważnej słodyczy usposobienia. Wiedzano, że nie tylko starannie opracowuje swoje kazania, lecz niekiedy drukuje naukowe rozprawki w „Wiadomościach diecezjalnych”. Co się zaś tyczy księdza wikarego, to odznaczał się on przede wszystkim zaletami prawdziwie chrześcijańskich cnót. Bóg umiłował sobie tę gołębią duszę, zlewając na nią obficie swe łaski, tak iż książd Kudełek żył z tego powodu w ciągłym zachwyceniu i pokornej radości wobec dobrodziejstw nieba.

Książd Kudełek był człowiekiem młodym. Dobiegał ledwie trzydziestego roku życia. Postaci był wyniosłej, ale wątlej. Twarz miał szczupłą, oczy jasne, błękitne i uśmiech pogodny na ustach.

Wielka miłość dla świata i ludzi ginęła w uwielbieniu doskonałości bożej, którą książd Kudełek słusznie i mądrze podziwiał, gdziekolwiek padł wzrok jego, albowiem, jak promień słoneczny nieci blaski nawet w kałuży, tak w najlichszym stworzeniu mieszka bezmiar tegoż piękna, a niebo odbija się w każdych oczach, wzniesionych ku górze — wszystko jedno, będą-li oczy zbrodniarza, czy świętego.

To też wzorem najcudniejszego ze sług bożych książd Kudełek spoglądał z uśmiechem za-

równo na dzieciaki, wodzące się za łby w pyłe drogowym, jak i na dostojne kury proboszczowej gospodyni, wielbiąc w cichości swego serca wszystko przenikający ład i jedyną, wieczną harmonję nieskończoności bożej.

W tym pięknym świecie, jaki otaczał księdza Kudełka, był wszakże grzech. Książd Jacek wzdrygał się na myśl o tem. Gdzie? Skąd? Czyż pod jasnym niebem, na którym z mocy bożej świeci słońce, z którego nocą srebrzysta zamieć gwiazd śle do serc ludzkich spokój i ukojenie, czyż w duszach ludzi, w igraszkach nierozumnych bydła, w szumie drzew — czyż w tem wszystkim może być grzech? Wikary wierzył w jego istnienie, ale go nie widział. Nie umiał go dojrzeć.

Tak mijały dnie za dniami, niby kulki różańca w palcach pobożnego człowieka i nic nie mąciło ciszy lipowskiego życia.

Obaj księża utrzymywali doskonale stosunki towarzyskie z elitą miasteczkową. Książd Biegaj był jednak bez porównania milej widywanym gościem od księdza Kudełka, nie dlatego, aby wikarego mniej ceniono, ale tylko ze względu na rodzaj usposobień tych ludzi.

Niemal co wieczór, gdy gruby książd Biegaj wyruszał z domu, dążąc poważnym krokiem i z uśmiechem na ustach do jakichś przyjaciół, książd Kudełek pozostawał samotnie w swym skromnym pokoiku, aby

wśród ciszy, jaka poczyniała spływać na świat, oddawać się wzniosłym rozmyśleniom i zgłębiać tajemnicze skarby uczuć własnego serca.

Książd Biegaj był w wielkiej zażyłości z całą rodziną zacnego i obdarzonego szlachetną duszą aptekarza, pana Cyrjaka Nózki. To rzadkie u nas imię nadal mu jego rodzice za radą pewnego świętobliwego kapłana. Sprawa nie była pozbawiona ukrytego i rzewne-



Czcłgodny aptekarz Cyrjak Nózka...

go znaczenia. Oto ś. p. matka pana Cyrjaka cierpiała na pewne przypadłości nerwowe, które po urodzeniu się malca zupełnie ustąpiły. Wówczas to przyjaciel domu, staruszek ksiądz, wzniosłszy oczy ku niebu, tak powiedział do wzruszonego ojca:

— Bóg jest wielki i drogi, któremi chadza, są niezbadane. Wspomniałem właśnie pewnego świętego, któremu Opatrzność pozwoliła dwukrotnie na cudowne zmuszenie do ucieczki szatana. Szatan ów opętał najpierw córkę prześladowcy chrześcian Dioklecjana, a potem, wypędzony z niej, właśnie przez św. Cyrjaka, wstąpił w córkę króla perskiego, Jobję. Cyrjak udał się za nim do Persji i tam również z wielką chwałą poniżył wroga bożego. Twój syn, przyjacielu, powinien się nazywać na jego cześć Cyrjakiem. A o tym wypadku możesz sobie przeczytać w żywotach świętych.

Podanie rodzinne tak wyjaśniało, dla czego

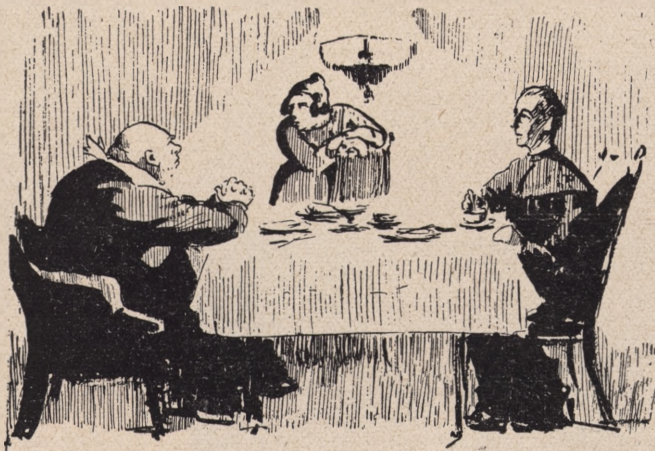
pan Cyrjak nazywał się Cyrjakiem. Był to człowiek prawdziwie wyższy; twarz miał tylko krzywą od urodzenia, co wedle twierdzenia jego piastunki było rezultatem nieostrożności ś. p. matki pana aptekarza, bo w momencie przyjścia na świat dzieciny wrzasnęła gromko, a malca zawiąło od przeciągu.

Czcigodny aptekarz Cyrjak Nóżka miał żonę, kobietę rozumną i gospodarną, a także dwie córki, już dorosłe. Jedna z nich wyszła była za mąż przed trzema laty i nie mieszkała w Lipowie. Druga, młodsza, panna Aniela, liczyła sobie dwudziestą wiosnę i żyła z rodzicami w miasteczku, gdzie pomagała matce w zajęciach gospodarskich, pracowała w szkółce, a w wolnych chwilach marzyła o przyszłości. Panna Aniela była dość ładna,

o ciemnych włosach, szczupłej twarzy i regularnych rysach. Wzrostu średniego — odznaczała się wdziękiem ruchów, a głos miała niski, najbardziej podobający się panom.

Podobno odrzuciła już kilku konkurentów, a teraz miała jeszcze jednego. Był to dwudziestoparoletni handlowiec, sierota, który pracował we własnym interesie, odziedziczonym po rodzicach. Nazywał się Jan Ohędużko i mówiono o nim powszechnie, jako o zdolnym i przedsiębiorczym człowieku. Mimo handlu, prowadzonego na własną rękę, nie był to młodziwiec zamożny i z tego powodu państwo aptekarstwo przyjmowali go jako konkurenta córki, dość powściągliwie,

nie tracąc nadziei, że się może jeszcze co odmieni. Pan Jan odznaczał się jednak wytrwałością, ufny w swą dobrą gwiazdę. Co do uczuć panny Anieli, to nie znał ich nikt. Wszyscy mówili to, co im się zdawało, ale nikt prawdy.



Pewnego wieczora pod koniec maja obaj księża spożyli skromną wieszczę...

Ksiądz proboszcz okrutną miał ochotę do skojarzenia tej pary głównie przez szczerą życzliwość dla swych przyjaciół, to też niejednokrotnie starał się w naiwnej dyskretny sposób nagabywać panienkę w tej sprawie, ale zawsze się spotykał z jej nieprzeniknionym milczeniem. Panna Aniela dawała mu odpowiedzi uprzejme, lecz wykrętne i chytre, tak, że ksiądz Biegaj zamykał usta z zakłopotaniem, pomrukując jeno i głową kręcąc.

Pewnego wieczora pod koniec maja obaj księża spożyli skromną wieszczę, pogwarzając ze sobą, to z usługującą im starą gospodynią, której mąż spełniał od dwudziestu lat zaszczytne funkcje kościelnego. Dzień był piękny i cichy wieczór spływał na ziemię. Ksiądz proboszcz razem z wikarym wyszli

na próg swego domku i stali jakiś czas w milczeniu, wodząc wzrokiem dokoła. Nad ich głowami rozpostarła się bezdenne toń ciemniejszego błękitu, na której poczynaly migotać blade jeszcze gwiazdy, a przed niemi majaczyły kontury drzew, jak nieprzebita wzrokiem czarna głąb.

— Piękna dziś noc będzie i piękny wieczór, — rzekł proboszcz.

— Tak... — bąknął wikary, nie odwracając oczu, które utkwiał gdzieś wysoko w przestrzeni. Znowu nastała chwila milczenia. Z poza domku dochodziły niewyraźne słowa gospodyni, wydającej polecenia, a od strony miasteczka było czasem słyhać głośniejsze okrzyki i nawoływania.

Ksiądz Biegaj chrząknął i począł się rozglądać. Wikary, nie bacząc na to, usiadł na wysokim progu, głowę wsparłszy o odrzwia.

— Hm... — mruknął proboszcz, — księżu wikary?

— A co, ojciec?

— Czy myślicie, że się Anielka wyda za tego handlarza? Pani Nóżkowa martwi się. Wczoraj tak mi mówi: „A bo, proszę księdza proboszcza, mało to dobrych i porządných kawalerów? to się taki musiał przyczepić. Com nie gadała, com nie radziła i tłumaczyła. A ta nic i nic. I żeby choć wiedziała, czy się ma do niego, ale milczy. Podobą ci cię, powiadam; „może i podobą”, rzecze. I wydobądź tu co z takiej. Jak chłop przyjdzie i zacznie mówić, to ona tylko brodę podeprze i słucha, a słucha. On w świecie bywał, widział dużo, to i wie. Dziś znowu, powiada, książkę jej jakąś przyniósł, to czyta, że i odpowiadać mi nie chce. A kiedyś, jakem jej nagadała, żeby wreszcie było tak, czy inaczej, i żeby mu rzekła wręcz: idź sobie, to powiada: „nie nudź; pójdę w świat, jak mnie nudzić będziecie...”

Ksiądz proboszcz przerwał na chwilę i odsapnął. Wikary, ciągle z głową wspartą o drzwi, nie przestawał spoglądać w niebo, jakby mało słuchając słów księdza Biegaja.

— Piękny, piękny wieczór... — począł znów proboszcz. — Ja bo myślę, że ona się za niego wyda... co? he?

— Może być, — odparł z wolna ksiądz Kudełek.

— Cóż, że jeszcze niemajątny — ciągnął dalej proboszcz — to się dorobi. Taki dzielný chłop. Nóżkowa zarazby wielkich rzeczy chciała. Anielka go miłuje. Ja ci to mówię, księżu wikary... Wandzia, jak szła za tego geometrę z miasta, to co on miał? tyle co i ten... Ale powiadają stałe zajęcie i dobry fach! Dorobi się i ten... Ha! żeby świniami handlował, toby i on był dobry! A baba szelma! Że to książki, a papier niby gorsze od świń?...

Ksiądz proboszcz sapał coraz gniewniej i za łaską się oglądał, którą był w izbie zostawił. Wszedł na chwilę do domu i wkrótce ukazał się na progu z kijem w ręku i kapeluszem pod pachą. Ściemniło



Ksiądz wikary chłonił czar nocy, zapatrzone w bezmiary niebios



...drzwi i zamek były nienaruszone

się już na dobre i mrok gęsty spłynął na ziemię.

— Pójdźcie, księżo wikary, pójdźcie — zachęcał proboszcz Kudętką. Książd Jacek zwrócił oczy na mówiącego i uśmiechnął się wesoło:

— A wy, ojczu, już do Nóżków! Ja zostanę — może potem po was przyjdę. Proboszcz jeszcze się z nim chwilę certował i namawiał na oną wizytę u aptekarzostwa, lecz że mu do kompanji śpieszno było, przeto już dłużej nie nalegał i sam ruszył w drogę. Książd Kudętek słyszał przez jakiś czas drobne kroki staruszka po ścieżce ogródkowej, aż wreszcie otoczyła go niczem niemająca cisza. Wiatr usnął, drzewa stały nieruchome, milczące. Czuwał tylko zapewne stary Nikodem, kościelny, który ze wszystkich najpóźniej chadzał spać, ile że codziennie obchodził pilnie całe gospodarstwo i kościół, sprawdzając zamki i bacząc, czy się gdzie jaki złodziej nie zakradł. Było mu to koniecznie potrzebne, choć wogóle nie było potrzebne, bo

coby tam przyszło komu z ubożego mienia księży i kościoła.

Książd wikary chłonał czar nocy, zapatrzony w bezmiary niebios. Myśli jego usnęły, owiane mgłą słodkiej zadumy, która przecież nie jest zupełną bezmyślnością, albowiem nieraz się przytrafia, iż gdy myśl ludzka w pozornym zostaje bezwładzie, pośród owych głębi spokoju, co otulają wówczas człowiecze serce, poczynają majaczyć coraz to jaśniejsza, coraz wyraźniejsza i zrozumialsza myśl, i przeszywa jasnym promieniem tajemnicze bezmiary duszy, jak światło Niosąca Jutrzenka. Blask jej może niekiedy, ni by strzała, ból rozniecić, ale nie zawsze, gdyż w największem cierpieniu jasność myśli jest szczęściem i radością.

Książd Jacek poruszył się i przeciągnął leniwie. Nasunęły mu się słowa psalmu, na których przerwał swą pobożną lekturę przed wieczerną i głęboka zmarszczka zarysowała się na jego czole.

— Quoniam iniquitatem meam ego cognos-

co, et peccatum meum contra me est semper. Tibi soli peccavi et malum coram Fe feci...

— Albowiem znam nieprawość swoją i grzech mój jest przede mną. Tobie samemu zgrzeszyłem i złe uczyniłem przed oczami Twemi...

Duszę Kudełka przeszył grot lęku, ale ukrył się cicho i tylko pomyślał: Nie rozumiem.

Potem zaczął rozważać, że tam jedynie grzech i zło się może plenić, gdzie jest zła wola ludzka. Ale czyż można ją znaleźć? W którąś stronę wzrok obrócić, tam jeno słabość widać i nieporozumienie. Czyż dziecko ponosi winę, gdy w swej igraszcze ból komu wyrządzi? A przecież tyle wieków ludzie walczą z grzechem; czyżby to miała być walka próżna?

— Boże! chroń mnie od takich myśli, — szepnął wikary. Poczucie własnej niemocy ogarnęło księdza Kudełka. Poruszył się, jakby się z miejsca pragnął otrząsnąć. Godzina była już późna. Powstał z progu, na którym dotąd siedział i, założywszy wtył ręce, wolnym krokiem posunął się ku ogrodzeniu plebanji. Doszedłszy do parkanu, stanął i patrzył jakiś czas w czarny mrok, panujący pod koronami rozłożystych drzew.

Nagle od strony kościoła doszedł uszu jego odgłos czyichś pośpiesznych kroków.

Ksiądz wikary zwrócił się bacznie w tę stronę, ale poprzez ciemność nie mógł nikogo dojrzeć. Po chwili zaskrzypiała furtka w płocie i na jaśniejszym tle krzewów zamajaczył kon'ur człowieka, kierującego swe kroki ku plebanji.

— Kto tam idzie? — odezwał się ksiądz Jacek.

— O rany boskie, — jęknął skrzypiącym głosem Nikodem, to ksiądz wikary tu stoi. O, Jezus, trzeba duchem gnać do księdza proboszcza; tam w zakrystji, ani chybi złodziej!...

— Co się stało, Nikodemie?

— Sam jestem, a tam cicho i klucza nie mam, tom tu do plebanji powrócił — mówił zdyszany, przyciszonym głosem kościelny.

— Ale co się stało?...

— Okno od zakrystji otwarte, księżu wikary, okno otwarte, a ja sam po nabożeństwie zamknąłem. Tam ktoś był, albo jest...

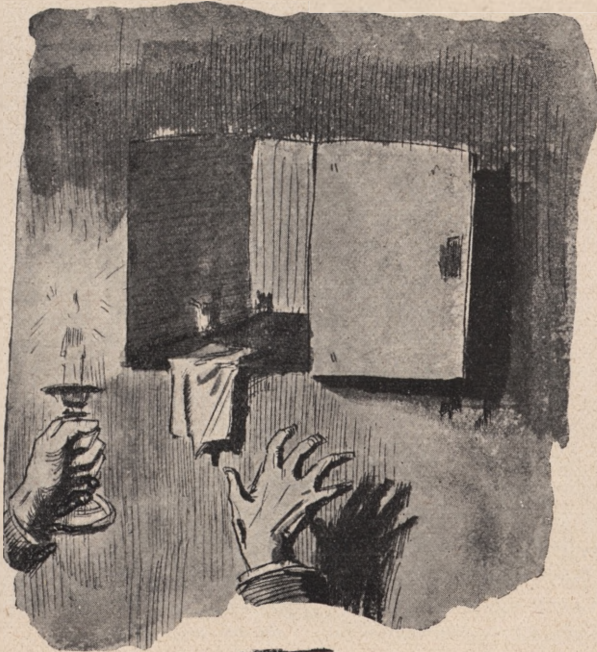
— Czekajcie, Nikodemie, zaraz wezmę klucz i świecę, to zobaczymy. Pocóżby tam kto przychodził, mój staruszk, — uspakajał wikary, — a gdyby trzeba było, to zaraz pójde po proboszcza.

Szybko się udał do plebanji, a wróciwszy po chwili z kluczem i zapaloną świecą, pośpieszył ku kościołowi.

Powietrze było tak ciche i spokojne, że najłżejszy powiew nie tłumiał migotliwego płomienia lojówki. Stary kościelny dreptał drobnym kroczeniem obok księdza Jacka, wy-

patrując lekliwie, zali się z głębokiej ciemności nie ukaże nagle jakieś niebezpieczeństwo, ale nic nie przeszkodziło ich bohaterskiej wyprawie.

Obeszli kościół i zbliżyli się do zakrystji. Była to niewielka przybudówka o potężnie grubych murach i spadzistym, poczerniałym od starości dachu. Do wnętrza wiodły okute i osadzone na wielkich zardzewiałych za-



...szafka była pusta...

wiasach drzwi. Z tej samej strony, co drzwi, było okno. Ksiądz wikary i Nikodem, zbliżywszy się do zakrystji, zauważyli, iż to okno jest otwarte. Szybko nie była stłuczona. Ksiądz Kudełek podniósł świecę do góry i podszedł z wolna, aby zajrzeć do środka. Z wnętrza nie dochodził najłżejszy szmer.

— Chybażecie zapomnieli okno zamknąć, rzekł ksiądz Nikodem, wzruszając ramionami.

Nikodem spojrział na wikarego z nietajomym oburzeniem.

— Sam zamykałem po niesporach, — ożwał się z godnością, — tylko, że jak się dostał szelma, kiedy drzwi były zamknięte.

Istotnie, drzwi i zamek były nienaruszone. Ksiądz Kudełek otworzył je. Zazgrzytały okrutnie i ustąpiły z wolna, gdy nacisnął żelazną klamkę.

Z wnętrza chłonał na obu chłód piwniczny. Wszedłszy do niewielkiej izby, ksiądz Jacek podniósł do góry świecę i począł się rozglądać. Wszystko znajdowało się na swoim

miejsu i nic nie zdradzało czyjejs obecności w zakrystji.

Wikary odwrócił się już, aby się zabrać do wyjścia, ale Nikodem podreptał jeszcze ku drzwiom, wiodącym do kościoła i nagle wydał okrzyk. Ksiądz Kudełek szybko pospieszył za nim i, rzuciwszy okiem w kierunku wyciągniętych rąk przerażonego kościelnego, oniemiał.

W ścianie małej sionki, pomiędzy zakrystją, a kościołem, znajdowała się gruba dębowa szafka, okuta żelazem, gdzie przechowywano dwie drogocenneści, dwa skarby ubogiego kościoła: relikwiarz z paru kosteczkami św. Barbary, nikomedyjskiej męczenniczki, i stary srebrny, połączony kielich z dwoma rubinami w podstawie. Relikwiarz był również ze srebra, kryty złotą blachą i cudnie rzeźbiony.

Wikary jednym spojrzeniem zorjentował się w sytuacji: szafka była pusta!..

Napisał Roś...ski

Rozrywki umysłowe

1. KRZYŻÓWKA.

Wyrazy w krzyżówce czytają się w dwóch kierunkach — poziomym (od lewej strony ku prawej) i pionowym (z góry do dołu), przy czym każdy wyraz zawarty jest między czarnymi kwadratami, względnie między jedną z

czterech linii bocznych krzyżówki, a czarnym kwadratem.

Znaczenie wyrazów poziomych: 1. Inaczej minerał. 5. Rodzaj pokoju. 9. Liczebnik. 10. Owad. 12. Imię żeńskie. 13. Wydzielina. 14. Rodzaj tonu. 15. Ukrop. 16. Działacz rewolucyjny. 18. Sygnał świetlny. 21. Imię żeńskie. 24. Miasto w Hiszpanji. 25. Tkanka. 26. Mieszkaniec Pirenejów. 28. Naczynia krwionośne. 31. Litera grecka. 34. Miasto starożytne. 35. Zwierzę dzikie. 37. Zwierzę domowe. 38. Zaimek w liczbie mnogiej. 39. Utwór poetycki. 40. Fabrykant szkła. 41. Cesarz rzymski.

Znaczenie wyrazów pionowych: 1. Roślina. 2. Miasto w Finlandji. 3. Zakończenie gry. 4. Miasto. 5. Narodowość. 6. Zwierzę drapieżne. 7. Zaimek. 8. Przyrząd sportowy. 11. Instytucja biblijna. 16. Zjawy. 17. Ozdoba uczesania. 19. Dwie litery. 20. Cesarz. 22. Zaimek. 23. Pojęcie zbiorowe z zakresu botaniki. 25. Złudzenie optyczne. 27. Księga święta. 29. Część czapki. 30. Część sukni. 32. Okaz. 33. Część sztuki. 35. Trasa. 36. Część ciała.

Ułożył Czesław Pogorzelski

2. ROZSYPAŃKA.

dokoła	I	złości	ludzkie	nie	się	swój	
ich	Języki	nic	zdoła	obnoszą	od	uchronić	jad

Z powyżej rozsypanych słów ułożyć dwuwiersz ze sztuki granej w r. b. w jednym z

warszawskich teatrów; podać autora i nazwę sztuki.

Jot-Kot

3. ZADANIE NUMIZMATYCZNE

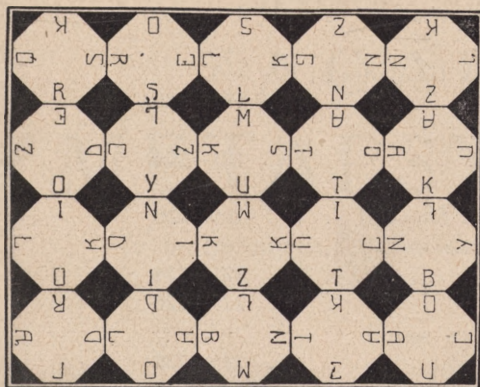
Wypisać 15 nazw monet niżej wykazanych państw w porządku wskazanym. Początkowe litery czytane z góry do dołu powinny utworzyć wyraz, który ma wiele wspólnego z numizmatyką.

1. Persja.
2. Grecja
3. Francja.
4. Chili.
5. Danja.
6. Peru.
7. Turcja.
8. Szwecja.
9. Persja wspak.
10. U. S. A.
11. Indje.
12. Palestyna.
13. Chiny.
14. Polskie Inflanty.
15. Turcja.

Sylaby: ag, ar, bol, cen, cu, de, do, du, e, es, el, jir, ko, kran, le, li, lik, mi, na, nek, nik, o, o, on, pja, re, ro, ru, srebr, ta, ta, wiar.

Jerzy Wielowieyski

4. UKŁADANKA KAFELKOWA



W kawałku posadzki należy tak poprzestawiać białe kafelki, aby litery tworzyły 18 nazw miast w Polsce czytanych z lewej strony ku prawej w czterech kierunkach.

Zygmunt Tietz

Termin nadsyłania rozwiązań miesięczny. Nagrody (w czem — roczna gratisowa prenumerata „Tygodnika Ilustrowanego” z dodatkami oraz dzieła Reymonta) udzieli wydaw-

nictwo „Naokoło Świata” proporcjonalnie do liczby rozwiązujących.

Najlepiej i najestetyczniej wykonane rozwiązania „Krzyżówki” oraz „Układanki kafelkowej” zostaną umieszczone na łamach naszego działu.

Rozwiązujący winien podać swe nazwisko i imię, dokładny adres miejsca zamieszkania, oraz dołączyć bieżący kupon. Rozwiązania nadsyłać w kopertach zaklejonych: Redakcja „Naokoło Świata”. Warszawa, Zgoda 12. „Rozrywki umysłowe”.

Rozstrzygnięcie Konkursu II zostanie ogłoszone w numerze 16.

Kierownik działu *Jarosław Kotwicz* przyjmuje w sprawach dotyczących działu w piątki od 2-ej do 3-ej w redakcji „Naokoło Świata”.

ODPOWIEDZI.

Witek J. — *Kutno*. Horendalnie spóźnione!

Łąkowski J. — ? „Rebus—układanka” do bry w pomyśle, zły — w wykonaniu. Nie pójdzie. Reszta też.

Tamilin W. — *Piotrków*. *Goliński J.* — *Łódź*. Skorzystamy przy okazji.

Jastrzębiec. — *Poznań*. Jak wyżej.

Zimnowoda B. — *Zgierz*. *Rysz. Z.* — *Warszawa*. Nie pójdzie.

Pogorzelski W. — *Pułtusk*. List skierowaliśmy na ręce p. Przepiórki. Od siebie polecamy — „Gra w szachy” — teoretyczny i praktyczny przewodnik gry szachowej w wydaniu Zukerkandlowskiej *Biblioteki Powszechnej* (Nr.Nr. 841—850). Dostać można w księgarni *Gebethner i Wolff*.

Koseta R. — *Sandomierz*. Zgodnie z wykazem administracji w swoim czasie wysłano Sz. P. i „Naokoło Świata” Nr. 13, i „Tygodnik Ilustrowany” Nr. 19. Prosimy o sprawdzenie w księgarni Chodakowskiej, ewentualnie o bezpośrednie skomunikowanie się z administracją „Tyg. Il.”.

Głowacki K. — *Łódź*. „Zadanie arytmetyczne” zamieszczone w Nr. 8 „N. Ś.” posiada 234 rozwiązania, zatem tyle punktów zgodnie z warunkiem mógł otrzymać każdy rozwiązujący. Nie podaliśmy wszystkich wariantów z powodu braku miejsca, jednak gotowi jesteśmy przesłać Sz. P. takowe na wyraźne życzenie z warunkiem odesłania.

J. K.

Treść Numeru 14-go

	Str.
<i>Jan Kwietniewski:</i>	
Podróże cudzoziemców po Polsce (13 ilustracyj) . . .	5—32
Podziękowanie od Królowej Rumuńskiej dla Redakcji	
Naokoło Świata	33—34
<i>Maciej Wierzbński:</i>	
Szkaplerzyk (4 ilustracje J. Pokrzywnickiej-Borowskiej)	35—42
<i>Joseph Hone:</i>	
Współczesna Irlandja (1 karton i 12 ilustracyj) . . .	43—70
<i>Józef Moszyński:</i>	
Od opaski do opaski (13 ilustracyj)	71—84
<i>Jerzy Sosnkowski:</i>	
Szalona katedra (6 ilustracyj własnych)	85—108
<i>L. Konopacki:</i>	
Święta ludowe w Indjach (7 ilustracyj)	109—118
Ponowne ukazanie się widma w operze (6 ilustracyj)	119—128
<i>Jonina Słesońska:</i>	
Zwierzęta ze szkła (5 ilustracyj)	129—142
Zwycięzca Konkursu Kwietniowego Naokoło Świata	143—144
<i>W. Z-cki:</i>	
Listy z Marsa (15 facsimile)	145—160
<i>Inż. Kacprowski:</i>	
Gigantyczne budowle starożytnych (10 ilustracyj i 1	
karton	161—180
<i>Jerzy Szapiro:</i>	
Port of London (13 ilustracyj)	181—204
<i>Robert Bracco:</i>	
Zbrodnie mężczyzn (6 ilustracyj K. Sopoćki) . . .	205—220
<i>B. Nowakowski i K. Mackiewicz:</i>	
Z teki humorysty	221—224
Turniej literacki	225—226
<i>J. Roś...ski:</i>	
Książd Kudełek i djabeł (5 ilustracyj)	225—238
Rozrywki umysłowe (3 ilustracje	239—242
Wyniki drugiego konkursu Naokoło Świata na osobnej kartce.	

Oktadkę trójbarwną wykonał J. Sosnkowski.

WARSZAWIANKA PENSJONAT W ZAKOPANEM

POD NOWYM ZARZĄDEM

P O L E C A

POKOJE Z WYKWINTNEM UTRZYMANIEM

NOWOCZESNY KOMFORT * CENY ZNIŻONE

JEDYNE W SWOIM RODZAJU PIECYKI KAFLOWE PRZENOŚNE

systemu patentowanego 5-o kanałowego „HEKLA” grzeją dłużej i silniej, niż piece pokojowe, są od nich tańsze, estetyczniejsze, oszczędzają 75% opału

POLSKIE ZAKŁADY CERAMICZNE

„HEKLA” H. GALLASI S-ka
Nowy-Świat Nr. 62 (w podwórzu), tel. 36 32

UWAGA. Dostawa kafli kwadratowych, berlińskich i majolikowych, posadzki terrakotowej i płytek glazurowych ściennych w ilościach wagonowych

Wszelkie roboty i instalacje zdruńskie

Wyszedł Nr. 4 kwartalnika ZAGADNIENIA METAPSYCHICZNE

*(o medjumizmie, jasnowidzeniu, przewidywaniu przyszłości,
telepatji, psychometrii etc.)*

Cena numeru 2 złote

T R E Ś Ć :

Artykuły oryginalne. Sprawozdania z seansów i doświadczeń. Rewelacje otrzymane na seansach. Ruch Metapsychiczny w Polsce. Doświadczenia magnetyczne. Korespondencje z gazet i pism polskich. Z prasy zagranicznej. Kronika zagraniczna. Bibliografia. Informacje i adresy. Od Redakcji.

Pozostaje jeszcze tylko niewielka ilość Nr 1 i 3-go

Sprzedaż w większych księgarniach i w kioskach „Ruch”

Skład Główny:

Księgarnia „DOBRA KSIĄŻKA” — Warszawa, Al. Jerozolimskie 47.



Angelus
PARFUMERIE-DISTILLERIE
VARSOVIE STAROGARD (POMORZE)

Mydło Alkaliczne

do mycia twarzy osób z cerą tłustą, potłuskującą, skłoną do wągrów i pryszczy oraz przy łuszczeniu się skóry.



W wypadkach uporczywszych używać należy N^o 2.

TOW. A.K.C. „*Jr. Karpiński*”
 w WARSZAWIE

PERFUMERJA „MARQUISE DE SEVIGNY”

MYDŁO Z MONETA

WYTWÓRNI PERFUMERJI
 „MARQUISE DE SEVIGNY”

najlepszego gatunku o bardzo mocnym i miłym zapachu

W każdy kawałek mydła włożona jest MONETA ZŁOTA, SREBRNA LUB BILON następującej wartości:

Monety złote: 20 frank. franc., 10 frank. franc., 5 frank. franc.

Monety srebrne: 2 franki franc. i 1 frank. franc.

Bilon groszowy: 50 groszy, 20 gr., 10 gr. i 5 gr.

Żądać wszędzie. Wszelkie naśladownictwo prawem zastrzeżone

„MIMOZA-MOTOR”



WYTWORNE MYDŁO
 TOALETOWE

Tanie, wytworne,

najciekawsze, najbardziej urozmaicone i posiadające najbogatszą treść,
nowe pismo kobiece w Polsce

Ż Y C I E i M O D Y K O B I E C E

wychodzi od kwietnia 1925 r.

C O M I E S I A Ć

[nakładem Polskiego Towarzystwa „Ruch” Sp. Akc. w Warszawie

Współpracownictwo wybitnych osób ze sfer literackich, artystycznych, społecznych, gospodarczych, sportowych, krawieckich i. t. p. Nowele, Powieści, feljetyony, oraz aktualne artykuły, wiadomości i porady w sprawach życia kobiecego, gospodarstwa domowego, wychowania dzieci, higieny, mody, robót ręcznych, sztuki stosowanej i szycia w domu.

Każdy zeszyt zawierać będzie najmniej 24 strony tekstu bogato ilustrowanego, w czym 12 stron mód oraz tablicę kroju za zł. 1.50, w prenumeracie zł. 4.50 kwartalnie.

prenumeratę miesięczną „ŻYCIE i MODY KOBIECE“

przyjmują

*wszystkie księgarnie w Warszawie i na prowincji
oraz księgarnie Tow. „Ruch”*

JEDENASTY ROK ISTNIENIA

JEDYNY W POLSCE DWUTYGODNIK BIBLIOGRAFICZNY

PRZEGLĄD BIBLIOGRAFICZNY

POD REDAKCJĄ

prof. HENRYKA MOŚCICKIEGO

Wychodzi punktualnie 1 i 15 każdego miesiąca

Przynosi w każdym numerze:

KOMPLETNĄ BIBLIOGRAFIĘ Druków z całego terenu Rzeczypospolitej Polskiej, opracowaną na podstawie danych, gromadzonych przez Wydział Prasowy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych

Na treść „Przeglądu Bibliograficznego” składa się poza tem:

Dłuższy artykuł, poświęcony ogólniejszym zagadnieniom *bibliografii, literatury, krytyki literackiej, wybitniejszym wydawnictwom i książkom* i t. p. — przy zapewnionem współpracownictwie *najcenniejszych sił naukowych i literackich*.

Dział „Nowości Księgarskich”, zawierających recenzje *o najważniejszych wydawnictwach bieżących*.

Obraz *całokształtu produkcji wydawniczej polskiej* w dziale „Ze świata książek”.

Recenzje *wybitniejszych dzieł literatury francuskiej, angielskiej i niemieckiej* w dziale „Z literatur obcych”.

Treść *najważniejszych czasopism polskich* w „Przeglądzie czasopism”.

Wyjątki z recenzyj *najwybitniejszych krytyków polskich* w „Głosach prasy”.

„Kronika” *najważniejszych zdarzeń w świecie wydawniczym*.

„Przegląd Bibliograficzny” daje zatem obraz całego ruchu wydawniczego w Polsce i najciekawszych jego przejawów zagranicą.

Jest on niezbędnem czasopismem dla każdego interesującego się najważniejszymi przejawami kultury.

„Przegląd Bibliograficzny” prenumerowany przez wszystkich księgarzy polskich, jest najlepszem pismem do ogłoszeń księgarskich, antykwarskich, pomocy naukowych i szkolnych, materiałów piśmiennych i t. p. Do ogłoszeń o książkach poszukiwanych i zaofiarowanych.

CENA NUMERU 40 GROSZY

Prenumerata kwartalna: w Warszawie (bez odnoszenia do domu) zł. 2.—; z przesyłką pocztową (w Warszawie i na prowincji) zł. 2.50; zagranicą zł. 3.—

Ceny ogłoszeń: Cała strona zł. 70.—; pół strony zł. 40.—; $\frac{1}{4}$ strony zł. 23.—; $\frac{1}{8}$ strony zł. 12.—, $\frac{1}{16}$ strony zł. 7.—. W rubryce „Książki poszukiwane i zaofiarowane”: wiersz jednoszpaltowy 50 gr.

Okładek płócienny do rocznika 1924 dostarcza administracja pisma po cenie 2 zł. za egzemplarz. Na poleconą przesyłkę należy dołączyć 50 groszy.

Adres Redakcji i Administracji:

Warszawa, Zgoda 12, telefon 178-14, 104-32.

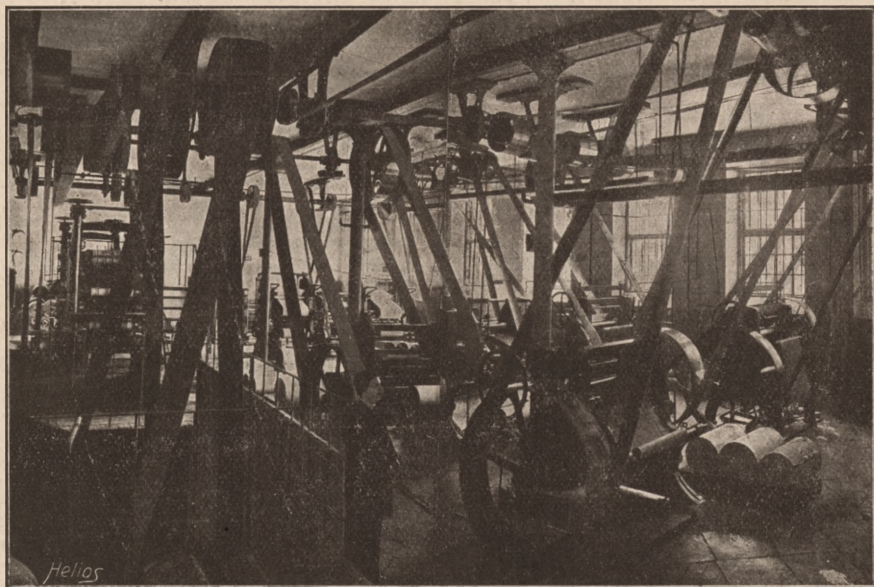


*Znaczk
do zbiorów
ilustr. cennik 1.50*

największy skład w Polsce

*Unia Esperantista
Filatelisto*

Jerzy Krzyżanowski, Łódź, Andrzej a. l.



Jedna z sal fabrycznych Tow. Akc. „J. Franaszek”

Towarzystwo Akcyjne

„J. FRANASZEK”

Istnieje od roku 1829

Magazyn detaliczny ul. Krakowskie Przedmieście № 15 Telefon 1-72

OBICIA PAPIEROWE (Tapety) wyrobu własnego i zagranicznego



**FORTEPIANY
I PIANINA**
WIELKOPOLSKIEJ FABRYKI
FORTEPIANÓW I PIANIN
ANTONI DRYGAS

DOZNAŁY

UZNANIA WIRTUOZÓW
ŚWIATOWEJ SŁAWY
SKŁADY FABRYCZNE
W POZNANIU
ODDZIAŁ W WARSZAWIE
ŚWIĘTOKRZYSKA 27
ROK ZAŁOŻENIA FIRMY 1898

FARBY

NAJWIĘKSZA W POLSCE ZAŁ. W R. 1880 FABRYKA FARB I LAKIERÓW
W. KAPIŃSKI & W. LEPPERT.

LAKIERY

WARSZAWA - JEROZOLIMSKA № 30.
OFERTY NA ŻĄDANIE.

POKOSTY

